

11 565

157

Vol. 34. P. 34



944

Midway

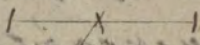
Midway

1/10

# PODRÓŻ MALOWNICZA

PO

## NAJCIEKAWSZYCH OKOLICACH ZIEMI NASZEJ.



PODŁUG

HUMBOLDTA I INNYCH ZNAKOMITYCH PODRÓŻNYCH  
I BADACZY NATURY

DLA

MŁODZIEŻY PŁCI OBOJĘJ

PRZEZ

BRONISŁAWĘ KAMENSKĄ.

*Nr 377*

18 C.K.S.Z.M. 69  
WST.  
BAK. JNY. 70.

BGIOŚ, ul. Twarda 51/55  
tel. 22 69-78-773



Wa5168777

WROCLAW.

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY ZYGMUNTA SCHLETTERA.



Treść niemieckiej książki zbawia-  
na należycie w myśl roz-  
porządzenia Wys. c. k. Ra-  
dy szkol. kraj. z d. 28. sty-  
cznia 1886 l. 15985, mi-  
mybranka w niżej przy-  
ciw wyszczególnionym  
w tem rozporządzeniu  
względom.

Wrocław, 29. marca 1886.



W. Gunders



# Spis Rzeczy.

Ocean.	Strona
1. Ocean międzyzwrotnikowy . . . . .	1
2. Ocean lodowaty . . . . .	10
3. Trąba morska . . . . .	14
4. Spotkanie się dwóch okrętów . . . . .	16
5. Rafa koralowa . . . . .	19
6. Rozbójnicy morsey . . . . .	23
Chłopiec Okrętowy . . . . .	26
Rzut oka na Indyje Wschodnie . . . . .	53
Arab i Koń . . . . .	77
Obrazy Ameryki . . . . .	93
Pożar okrętu . . . . .	128
Polowanie na Węża . . . . .	136
Pożar Stepów na wyspie Świętej Trójcy . . . . .	162
Ludzie i Zwierzęta w Indjach Wschodnich.	
1. Charakter i przesady Indyan . . . . .	167
2. Okrucieństwo Indyan . . . . .	171
3. Sipahi . . . . .	174
4. Poświęcenie Indyanina . . . . .	176
5. Oswajacz węzów i słoni . . . . .	179
6. Polowanie na aligatora . . . . .	181
7. Królestwo zwierząt w Indjach . . . . .	183

Krokodyl .....	191
Sahara .....	196
Polowanie na dzikie kozy .....	212
Podróż do Chin .....	223
Podróż na Etnę .....	244
Karnawał Rzymski .....	251
Corricolo Neapolitańskie .....	255
Dwaj myśliwi w Alpach .....	258

---

# O c e a n.

---

## 1.

### **Ocean międzyzwrotnikowy.**

Między zwrotnikami przedstawia morze dziwnie piękne widowisko. Promieniami słonecznymi ogrzane wszystko się tam porusza z cudowną siłą życia; po falach morskich roją się mieszkańcy wszelkiej postaci i wielkości płynący za okrętem, jakby jednostajność morskiej podróży różnaitością widoków umilić chcieli. Ale ze zjawisk gorącym pasmom właściwych żadne tak nieuderza jako stada latających ryb. Ja przynajmniej byłem w zachwyceniu, kiedym po raz pierwszy ujrzał tych morskich latawców wydobywających się z fali i pięknym kształtem i cudownemi barwy migających w powietrzu, dopóki im skwar słoneczny ich pletw nieosuszy.

Ryba latająca ma cztery skrzydła, które jój zarazem służą za pletwy kiedy się zanurza w morze; dwa w bliskości głowy są tak wielkie jak cała ryba, dwa zaś drugie są



o dużo krótsze. Mają one pewną gibkość którą im wilgoć nadaje; skoro więc oschną, ryba musi się zanurzyć w wodzie, ale wnet wylatuje w powietrze. Siła jej muszkułów piersiowych ułatwia jej latanie; wszakże mimo korzyści, jakie jej zapewniła przyroda, ryba ta otoczona jest zewsząd niezliczonemi niebezpieczeństwami i musi się mieć bardziej na ostrożności, niżli którekolwiek morskie stworzenie. Mięso jej delikatne jest przysmaczkiem dla żarłocznych potworów ścigających ją w wodzie, a jeżeli jej się uda umknąć tym drapieżcom i frunąć w powietrze, tu czatują na nią żarłoczne ptaki, co jak piorun spadają na dół, ledwo co uniosła się nad fale. W nocy zapewne uciekając przed morskimi potworami, w ogromnych rojach chroniły się latające ptaki pod ścianami naszego okrętu, i co rano łapano ich dosyć na wykwiłtne śniadanie naszego kapitana. Ze wszystkich zaś ryb drapieżnych najstraszliwszym wrogiem temu biednemu stworzeniu jest pewien rodzaj delfina zwany doradą. Zdobycz swą ścigając czyni on skoki jako drapieżne zwierzęta lądowe z gatunku kotów, robi susy na trzydzieści kroków i chwyciwszy łup przepada w głąbę czyniąc na powierzchni szerokie kręgi, które wśród ciszy marszczą się daleko na zwierciadle morskiem.

Dorada jest najpiękniejszą ze wszystkich rybą, żadna też niema takiej gibkości jak ona. Trudno sobie wyobrazić cudowną grę kolorów jej łuski, która mieni się w srebrnej, złotej, błękitnej i fioletowej tęczy. Nieraz po godzinach siedziałem i przypatrywałem się drżącym barwom téj cu-

downej ryby, jak pełna życia kręciła się i wyskakiwała nad fale. Dorada rzadko płynie rojem, najczęściej w parze. Głowa jej krótka, kadłub wysmukły i kształtnie zbudowany, a ze wszystkich zwrotnikowych ryb jest najsmaczniejszą. Złapana usypia prędko jak i inne morskie ryby, a podczas ostatniej jej walki ze śmiercią, gra kolorów nabiera niewypowiedzianej piękności.

Bonit ma grzbiet niebieskawy a brzuch srebrny i połyskujący, jest zaś bardzo pospolity i dla żarłoczności swój łatwy do złapania. Tegoż samego gatunku jest tuńczyk czyli tunelek, ale bonit jest większy i grubszy a tak ciężki, że często przeszło cetnara waży. Tuńczyk jest żółtawy i zielony, ale barwę ma mocną, brzuch jego ma białość srebrną zmieszaną z kolorem grzbietu.

Lecz ze wszystkich międzyzwrotnikowych ryb najpospolitszą jest świnka morska. Płynie zawsze w wielkiej gromadzie; szczególnież zaś, jeżeli wiatr się zbiera, przybliża się do okrętu, tak że z której strony się go zoczy, z tej można z pewnością na wiatr rachować. Z uciechą przyglądałem się świnkom morskim igrającym w około statku i przypominałem sobie trafne wyrażenie pewnego żeglarza, który je porównywał do sfory psów uparcie biegnących za wozem myśliwskim. Majtkowie brzydkiem i niewłaściwem nazwiskiem ochrzcili to stworzenie; naturalisci policzyli o rodzaju wielorybów. Skórę na grzbiecie ma że płą, na brzuchu białą i w tych miejscach jest ona Wien na pół cala, ale nad głową i na szyi na dwa cale.

Mięso czarne i olejne, wymoczone przez kilka dni, da się jeść.

Do osobliwości morskich, które mię zawsze dziwiły, należą tak zwane pokrzywki morskie, których kształt podobny jest do żagli; a że często płyną w niezliczonych rojach, zdaje się więc jakoby się widziało nader liczną flotę drobniuchnych okręcików i szuka się na nich Liliputowych żeglarzy. Jestto stworzenie delikatne, niemal przezroczyste, którego wierzchnia część podobna jest do żagli połyskujących wszystkimi barwami tęczy. Kto je weźmie w rękę, poczuje piekący ból w palcach i stąd to pochodzi w wielu językach nazwisko tego zwierzątka.

Podczas ciszy nawiedzały nas często haje czyli wilki morskie. Złapaliśmy kilku z tych wodnych rozbójników a mianowicie jednego olbrzymiej wielkości. Oficer okrętowy kazał zatknąć na haku słońcę i wrzucić ją do wody; żarłoczność potworu przywiodła go zaraz na zgubę. Haja uwiesiła się; zwołano kilkunastu ludzi, ale kapitan obawiał się, że lina będzie za słaba i niewytrzyma rzutów hai; kazał więc popuścić postronka i niepierwój ciągnąć aż ryba dobrowolnym szarpaniem się zmęczy. W rzeczy samej haja coraz mniej się wydzieraa, w końcu uspokoiła się zupełnie. Wtedy zarzucono drugą linę i pociągnęła. Haja szarpnęła mocno ale nieoderwała. Z niemałym wysiłkiem wydobyto ją na okręt i rozłożono na pokładzie, gdzie tak straszliwie walić ogonem że druzgotała wszystkie deski. Na szczęście pokład był duży i zostało



miejsca do straszliwych poruszeń, wszakże dla zapobieżenia wszelkiemu wypadkowi jeden z majtków przyskoczył i ogromnym drągiem po dwakroć zwałił ją w łeb, drugi zaś siekierą odrąbał ogon. Potwór zerwał się raz jeszcze, ale już po raz ostatni; czarna krew popłynęła, kadłub począł się trząść i wkrótce skostniał. Jeden z ciekawszych chciał otworzyć paszczę dla przypatrzenia się pięciu rzędom kłów, ale na czas wstrzymał go oficer mówiąc, że haja aczkolwiek na pozór martwa, może w skutek konwulsyjnego drgnienia odciąć rękę temu, coby się ważył zbyt wczesnie paszczę jój otwierać. Na dowód wzięwszy drąg wepchnął go w paszczę aż do brzucha, a skostniały już niemal potwór przymknął paszczę i kły głęboko wbił w drzewo.

Każdemu znana jest żarłoczność hai, a majtkowie opowiadają chętnie rozmaite wypadki, w których owe tygrysy oceanu wielką grają rolę. Niektórzy nawet utrzymują że haje napastowały ludzi chociaż nie w wodzie, ale temu zaprzecza sama już budowa zwierzęcia. W częstych mych podróżach spotkałem mnóstwo hai, a niewidziałem nigdy aby one więcej nad głowę z wody wystawiały. Ich górna szczeka jest długa, sztywna i dotyka bezpośrednio kości pacierzowój; aby więc uchwycić zdobycz dolną szczeką, muszą się rzucać bokiem, czegoby niebędąc w wodzie czynić niemogły.

Żeglarze utrzymują iż haja ma tak mocne powonienie, że płynie za okrętem, w którym się znajdują chorzy. Wiem z własnego doświadczenia że, kiedyśmy na oceanie

spokojnym łowili je na haki, zaledwo w godzinę po złapaniu się takiego potworu, już otoczyły go haje i pożerały jego ścierwo. Okręty z niewolnikami, na których tylu tych nieszczęśliwych leży ściśniętych w najniższym pokładzie i z których codziennie kilku wyrzucają trupów, zawsze mają za sobą orszak hai bardzo liczny.

Wszystkie morskie stworzenia uciekają przed hają, jedne tylko piloty nietylko przed nią nie stronią ale owszem, małe te rybki zaledwo na pół stopy długie nieustannie jęj towarzyszą. Pływa ich po pięć do sześciu koło hai, a jeśli stracą swego obrońcę, zdaje się jakby niewiedziały gdzie mają się udać; a nawet haja bez nich jest jakby zakłopotana, bo ilekroć je zgubi, wraca się, kręci niespokojnie, dopóki na nowo nieodszuka. Niepodobna odgadnąć co jest powodem dziwnej tej przyjaźni, ale bez wątpienia haja potrzebuje niezbędnie usługi pilotów, — tylko w czém — niewiadomo. Być może że piloty mają bystry wzrok i pokazują hai zdobyycz, nieopuszczają jęj zaś nigdy, chyba wtedy kiedy haja się złapie na hak i dostanie się na pokład, a nawet wówczas płyną przez kilka dni, dopóki nieodejdzie ich nadzieja połączenia się z swym opiekunem. Mięso hai jest twarde i bardzo trudne do strawienia, wszakże smakuje dosyć jeźli się je zbije, przyciśnie ciężarem przez kilka godzin i mocno zaprawi octem i pieprzem. Pilot jest koloru żółtego z czarnemi, poprzecznemi paskami; mięso jego bardzo dobre, ale trudno go złowić.

Z pomiędzy powietrznych nadmorskich mieszkańców

wspomnę o fregacie, tak zwanym ptaku drapieżnym, który niezawodnie należy do najchyższych i najwyżej się w górę wzbijających. Fregata zazwyczaj wiruje bardzo wysoko i nieustannie łeb zwraca na lewo i na prawo zapewne aby zoczyć swą zdobycz. Nieraz wzlatuje tak wysoko że jęj dojrzyć można tylko jako czarny punkcik na błękitném niebie; lecz skoro rój pływających rybek wyskoczy nad wodę, w mgnieniu oka spuszcza się fregata, zanim biedne stworzenie potrafi się schronić do swego żywiołu. Prawdziwie niewypowiedzianą jest chyżość tego ptaka, bo dowiedziono po wielekroć że przestrzeń mili w ciągu jednéj minuty ubieży. A jakież to wzrok musi on posiadać, kiedy z takiej wysokości potrafi dojrzyć pływających rybek. Kadłub fregaty niejest wielki, ale rozciągnawszy skrzydła jest ona szeroką na piętnaście do dwudziestu stóp. Ogon rozpięty w półkole; piora ma czarne, tylko podbrzusze jest białawe.

W krajach międzyzwrotnikowych wszystko nosi cechę bujnej przyrody; codzienne zjawiska mają w sobie coś wspaniałego, czego byśmy napróżno gdzieindziej szukali. Cóż za widok przedstawia słońce, kiedy otoczone różnobarwnymi chmury zapada w morze. Trzeba być na podrównikowym oceanie, aby ten urok konającego dnia w całym ogromie pojąć. Fosforyzacya morza w gorących pasmach jest podobném zjawiskiem do zorzy północnej, oba mają w sobie tyle wielkości i majestatyczności jak żaden inny ziemski fenomen. Stałem przejęty niemy podziwem,



kiedym po raz pierwszy ujrzał promieniejący ocean w nocy. Przed oczami rozciągało się morze o srebrnych bałwanach, a z pod okrętu prującego fale wytryskały tysiące iskier tak mocnego i mieniącego koloru, jak najpiękniejszy fajerwerek. Od czasu do czasu obraz przybiera postaci ogromne; niezmierne błyszczące ciała przewalają się po oceanie, bezkształtne, zarżące purpurą massy przepływają pod bałwanami, płomienie skaczą po nad morzem lub obłoki fosforyczne wałęsają się po fali. A te wszystkie cudowne postacie to są ryby i inne morskie stworzenia, których skoki i żywe poruszenia rozniecają światło fosforyczne.

Bywało żem przez miesiąc co noc oglądał fosforyzacją, a zawsze przedstawiała mi ona obraz równie świeży i czarowny. Wprawdzie morze błyszczy we wszystkich pasmach, ale kto niewidział go w gorącym, ten ma bardzo słabe o tém zjawisku pojęcie. Ilekroć burza się zbliża lub duszna panuje atmosfera, tylekroć morze silniejszym tryska ogniem.

Już więc z tego samego powodu ocean błyszczy mocniej pod równikiem. Skoro słońce się skryło i noc rzuciła zasłonę na niezmierne przestrzenie oceanu, wtedy z głębi jego czeluści jakoby nowe występują promienie dla przyświecania żeglarzowi. Wszędzie migają się nieskończone miliony promieniejących punkcików mniejszych lub większych, które albo wnet znikają albo żywszego nabierają światła; wszędzie morze pryska ogniem czyto na

szczycie wyniosłych bałwanów roztapiających się w sobie, czy w pręgach które wiosło za sobą zostawia, czy też w tym długim pasie jaki się ciągnie za płynącym okrętem i świeci długo, długo, aż zniknie powoli i nieznacznie.

Lecz i słońce w zwrotnikowych krajach uderza wspaniałością, o której gdzie indziej niemają pojęcia. Strzelając czerwonymi promieniami wynurza się rano powoli, i nadaje barwę rozlicznym obłokom, które fantazyi widza przedstawiają się raz jako kolossalne góry i wulkany, drugi raz jako morza i doliny. Jednocześnie to wspaniałe oko niebieskie rozsypuje światło na wszystkie strony, mgły sine i wilgotne opadają, morze z zwierciadlaną swą pokrywą wzbiera lub opada tak statecznie jako puls u zdrowego człowieka. Czasem na widokręgu pojawia się blada, promieniująca chmura; jestto posłaniec nadchodzącej burzy co naraz cały ten spokój zamiesza. Wtedy grzmoty i błyskawice wałą się jakby chciały rozłupać kulę ziemską, spada ulewa głośno pluskając w morze, bałwany poczynają się piętrzyć, wiatr huczy rozdzierając zwierciadło morza, które się zrywa i ciska pianę i krople wysoko, jakby w szaleństwie swém chciało walczyć z chmurami. Po tém wszystkiém jakoby dla odpoczynku, zmęczonemu oku zajaśnieje tęcza i miłym obrazem kończy straszny dramat natury. Skoro woda i powietrze wrócą do równowagi i spokoju, niebo odsłania na nowo przeźroczysty swój błękit, po nad fale w płaszczy wyskakują ryby i z głębi oceanu zbliżają się do powierzchni odlegli jego mieszkańcy. Jeżeli zaś słońce zachodzi za-

chmurzone, wtedy niebo i morze wdziewają szaty równie piękne, równie cudowne a dotąd niewidziane. Na lazurowej powłoce nieba błyszczą z osobna najżywsze kolory: czerwony, żółty, pomarańczowy i fioletowy, lub mieszają się w nieskończonych odcieniach i odbijają się jeszcze mocniej od powierzchni oceanu. A gdy na zachodzie słońce żegna się z morzem i jaskrawe wysyła promienie chcąc nimi przedrzeć się przez chmury, od wschodu występuje błądy księżyc i srebrnym, rozmarzającym światłem wszystkie władze umysłowe człowieka do snu kołysze, tylko fantazyą na swych czarownych porywa promieniach. Wiatry chłodzą skwarną atmosferę, gwiazdy spadające magicznie oświecają powietrze, a niebieski firmament z srebrnymi gwiazdami przegląda się w morzu, tak że człowiek, kiedy się wyrwie nagle z zadumania, mniema iż z pod stóp jego ustąpiła woda i że go dokoła otoczyło gwiazdziste niebo.

---

## 2.

### **Ocean lodowaty.**

Jakżeż często, mówi pewien żeglarz, wychodziłem na pokład, kiedyśmy się zbliżali do morza lodowatego, dla przypatrywania się tym małym pływającym przedmiotom na fali ciemnobłękitnej. Są to małe zwierzątka rozmaitej postaci, barwy i wielkości; majtkowie zowią je mułem



morskim, ponieważ tworzą pewien gatunek galarety, ale właściwie ich nazwisko jest meduza. Karmią się niemi wieloryby i dlatego znajdują się ostatnie wszędzie gdzie się nachodzą owe meduzy.

Cóż wam powiem o połowie wielorybów? Jestto rzemiosło ciężkie, niebezpieczne, chociaż ma wiele ponęty. Wyjeżdżaliśmy na połów często. Kilka podróży wypadło nam pomyślnie, ale inne, w ciągu których byliśmy ciągle dręczeni obawą, zostawiły po sobie bardzo nieprzyjemne wspomnienie. Dopóki pora służy, wszystko idzie dobrze; ale kiedy nastaje słońca, niebezpieczeństwo jest wielkie. Niezapomnę nigdy jednej wyprawy, na której włosy mi posiwiały, a przecież odbyłem przeszło dwadzieścia dwie większych podróży. Dokoła poprzyczepiały się do nas kry, popłynęliśmy na północ, kiedy wiatr począł silnie dąć. Morze nabrzmiało, burza trwała przez kilka tygodni. Mało mieliśmy światła dziennego, a choć go i mieliśmy, mgły zalegały tak gęste że nic widzieć niedozwalały. Tymczasem poczynaliśmy spotykać góry lodowe, które wiatr pędził na nas z taką szybkością, żeśmy nieraz niemałą mieli trudność umknąć im zawczasu. Liny okrętowe pokryły się lodem, i chcąc je ściągnąć i skrócić musieliśmy je pierwój oblewać wrzącą wodą, ale i załoga przemarzła. Do tego dodajcie te noce długie i straszliwe, podczas których bałwany wznosiły nas wysoko i naraz zrzucały w głębia, a myśmy niewiedzieli czy za każdą razą okręt nieuderzy o krę i niepotrzaska się w kawały. Do około

nieprzejrzana ciemność; wiatr huczał okropnie i groził że nam zamknie powrót zamroziwszy wody za nami; ze wszystkich stron rzucały się ogromne, czarne bałwany, między którymi białość lodu tu i owdzie przebijała.

Choćbym o wszystkich tych okropnościach zapomniał, nigdy nie wyjdzie mi z pamięci owo kołysanie się gór lodowych przez cały miesiąc, kiedy burza się nad nami srożyła. Wiadomo bowiem że góry lodowe jestto zamrznięta woda rzeczna, którą wicher odrywa lub bałwany morskie zwolna odsypują. Lód wprawdzie pływa, ale zanurzony jest głęboko w wodzie, tak że góra lodowa wysoka na pięćset stóp, pod powierzchnią morza sięga niezawodnie tysiąca i więcej stóp. Atoli woda dużo jest cieplejsza od powietrza, lód topi się prędzej w wodzie niżeli na powietrzu, tak że jeżeli góra taka przez długi czas pływa, spodnia część z czasem staje się lżejszą niż wierzchnia. Wtedy przewraca się góra i chwiejąc się wybiera położenie, w którym dalej może płynąć.

Znajdowaliśmy się właśnie w pobliżu takiej góry, która obok nas płynęła, ale rozpuściwszy wszystkie żagle spodziewaliśmy się ją wyprzedzić. Nagle z podwójną mocą wicher zaryczał, a jeden z majtków krzyknął: „Góra się chwieje!“ I w rzeczy samej tak było: wysoki jój szczyt nachylał się coraz bardziej ku nam i zawisnął tuż nad naszemi głowami. Los nasz zdawał się być rozstrzygniony, czekaliśmy rychłoli straszna góra się zwali i nas z okrętem podruzgoce. Upadliśmy na kolana, błagaliśmy

Boga, lecz lada chwila byliśmy pewni, że zginiemy pod straszliwym ciosem. Góra prawie do połowy się przewróciła i wisiała z ukosa nad nami, ale że waga jęj ciężyła nieco z boku, zmienił się kierunek pochyłości i z straszliwym łoskotem runęła w wodę; morze prysnęło bałwanami aż pod obłoki, a my w skutek siły z jaką krople wody wpadły nam w oczy, przez czas niejaki nic niewidzieliśmy. Ucichły na chwilę zwykłe bałwany, lecz morze skakało i tańcowało, co chwila ogromne massy wody ciskając. Okręt nasz podobnież skakał i chwiał się jakby szukał własnej zguby, a ciężkie żagle uderzały o maszt i strącały z siebie lód, który je pokrył z wierzchu.

Znowu innęj postaci góra zbliżała się ku nam, uczuliśmy na nowo burzę, ale ona mogła nam być tylko zbawieniem. Taką to była owa straszliwa podróż, na której posiwiały me włosy, a co gorsza — w ciągu której złapałiśmy tylko trzy ryby. Lecz w końcu trzeba było niebiosom dziękować, że nam dozwoliły wyjść całymi z tęg próby; bo w istocie była to osobliwa dla nas łaska Boża, że trzy okręty ocalały, kiedy ośmnaście innych wraz z załogą przepadło.

Na innęj wyprawie straciliśmy siedmiu majtków, chociaż nie z tęg samęj przyczyny. Między górami lodowemi Grenlandyi echo jest tak mocne, że najmniejszy szmer w dole odbija się na najwyższych szczytach. Jeżeli one zwilgotniały i mają się ku zupełnemu stopieniu, wtedy jedno powiedziane słowo roztrząsa je czasem całkowicie. Raz wypłynęło siedmiu majtków na łodzi i puściło się



pieczarą pod górą lodową. Tymczasem jeden z majtków nieostrożnie uderzył drzewem o łoż, i wnet huk tysiackrotnie pomnożony doszedł do szczytów, usłyszano trzask kruszącego się lodu i za chwilę ogromna masa zwała się w wodę, wciskając z sobą łoż i ludzi do wody.

### 3.

#### **Trąba morska.**

Trąba morska jest jednym z najdziwniejszych fenomenów, na które skazani są żeglarze na morzach podrównikowych. Najpospolitszą jest nad brzegami Afryki i zarazem i największą. Jednaką nie zawsze się pojawia, raz na jedném miejscu pozostaje, drugi raz przenosi się z miejsca na miejsce z rozmaitym chyżością. Zanim się pokaże, morze choćby było pierwój najspokojniejsze, poczyna się burzyć, szumić, pienie się i pluskać z straszliwym hałasem. Wkrótce ukazuje się rura lejkowata, która zstępuje z chmur i stara się połączyć z wzburzonym morzem. Czasem przychodzi do tego połączenia, ale rzadko. Tymczasem morze coraz straszniej się burzy, rura zstępuje coraz niżej wraz z chmurą, aż nareszcie wszystko zdaje się wiązać i powstaje słup wody wysokości pięćdziesięciu do sześćdziesięciu stóp, którego podstawą jest powierzchnia morza, a szczyt ginie w chmurach. Bywa że taki słup stoi tylko przez chwilę; lecz zdarza się też że postępuje

i grozi zgubą okrętowi, który ją spotyka; bo cisza jaka zwykle podczas tego zjawiska na oceanie panuje, pozbawia żeglarzy środków ratunku. Nie pozostaje im więc nic innego jak zniszczyć trąbę, zanim ich osiągnie, co im się udaje mocną kanonadą, bo wstrząśnięte strzałami powietrze niszczy równowagę trąby morskiej, która się rozpada i w morzu ginie. Lecz jeżeli trąba wytrzyma wstrząśnienie powietrza, wtedy majtkowie uciekają z pokładu i zamykają wszystkie drzwi i otwory, wszakże nietylko trzeba mieć aby okręt miał ginąć koniecznie. Mianowicie też większym okrętom prawie żadne niegrozi niebezpieczeństwo gdy trąba morska niemoże oprzeć się sile przyciągającej, jaką wywierają większe ciała na mniejsze; traci równowagę i w prostopadłym stanowisku słupa utrzymać się niemoże.

Trąby morskie niektórzy pisarze tłumaczą wirem powietrznym, który powstaje w skutek zetknięcia się dwóch wiatrów sprzecznego kierunku; ale wtedy jakże się z tym wirem pogodzi cisza zazwyczaj powstaniu trąby towarzysząca? Utrzymywano także że trąba morska aczkolwiek pozornie tak groźna, we środku jest wydrążona i że się składa z samej tylko piany która się tworzy w skutek wirowego obrotu, że zatem massa wody która w niej się mieści jest bardzo nieznaczna i okrętowi szkodliwą być niemoże. Wszelako wiadomo że kiedy trąba spada do wody, daje się słyszeć hałas nieznośny a raczej huk podobny do wodospadu, skąd wnosić należy że niemała ilość wody w niej się znajduje.

## 4.

**Spotkanie się dwóch okrętów.**

Była godzina ósma z rana; odbywszy długą chorobę czułem się zdrowszym. Zadzwoniono na wstawanie, bo o dziewiątej śniadano razem; ja zaś na pół senny, jakto mówią, przewróciłem się po raz ostatni, kiedy dało się uczuć mocne starcie, po którym nowe następowały uderzenia. Ocknąłem się zupełnie. Na pokładzie powstał okropny krzyk, słyszałem jak majtkowie biegali, wrzeszczeli, jak zsuwano drabiny i zwalano drągi, a od czasu do czasu zabrzmiał donośny głos komendanta. Z tego wszystkiego wniosłem że musiało się wydarzyć coś nadzwyczajnego; wybiegam z kajuty na pokład; niewiedziałem czy żagle skręcają, czy też okręt uderzył o rafę. Ale przypomniawszy sobie że jesteśmy na otwartym morzu, postanowiłem być spokojnym i na te hałasy wcale niezwążyć. Tymczasem wbiega do mnie jeden z podróżnych, a za nim żona i córka ukazują się we drzwiach spłoszone. Pytam co to znaczy.

„Zginęliśmy,“ odpowiada Francuz, „okręt tonie!“

„Cóż się stało?“ pytam znowu. Ale przestraszony podróżny nie daje mi żadnej odpowiedzi, tylko giestami każe mi się czémprędziej ubierać i uciekać na pokład. Na górze krzyki trwały nieprzerwanie; zerwałem się z łóżka i w mgnieniu oka byłem ubrany. Aby na pokład niewyjsć



nieprzystojnie, przybliżyłem się do zwierciadła i zawiązałem chustkę. Przez ten czas myślałem o śmierci.

Jakto? miałbyś ty umrzeć? — mówiłem sam do siebie. Cóżkolwiek bądź śmierć nie jest rzeczą przyjemną a jeszcze tak nagła. Byłem po trochu zdecydowany, ale mnie nadzieja nieopuściła, i w chwili kiedy wychodziłem na pokład, myślałem więcej o krewnych i przyjaciółach, niżeli o sobie.

Morze było nieco wzburzone, dookoła zaległa mgła tak gęsta że na sto kroków nic widzieć niebyło można. Otóż ta mgła była przyczyną naszego nieszczęścia. Z odnogi Ś. Wawrzyńca płynął bryg naładowany drzewem w kierunku południowo-wschodnim, a że go dla mgły nie można było dostrzedz, dopóki się tuż nie przybliżył, niepodobna było przeszkodzić aby nasz okręt z rozwiniętymi żaglami niewpadł na niego. Za pierwszém uderzeniem powikłały się liny i żagle że się rozplątać nie dały, a każdy ruch bałwanów nowego zetknięcia się był powodem. Tymczasem jedna z naszych lin poczęła z strasznym trzaskiem zmiatać wszystko z pokładu brygu; pękł główny maszt, ale majtkowie brygu szczęśliwie na okręt nasz dostali się.

Niemieccy podróżni płynący na naszym okręcie, bladzi i prawie bezprzytomni powybiegali na pokład i słuchali rozkazów kapitana; udało się odciąć liny, uderzenia trwały jeszcze może z kwadrans, aż nareszcie odłączyły się dwa okręty i bryg odpłynął. Niezawodnie cały ten wypadek miał swoją majestatyczną stronę, ale ona była za drogo

okupiona. Niemogę znaleźć wyrazu aby oddać wrażenie jakie na mnie sprawił widok zrujnowanego brygu. Maszty jego przed chwilą dźwigały z dumą szerokie żagle, a teraz wlokły się za statkiem bez żagli, bez ludzi i statek płynął oddany losowi. Kiedyśmy się już znajdowali w dość znaczném oddaleniu, że niezachodziła obawa powtórnego spotkania, kapitan wyprawił łódź z kilkoma majtkami dla przekonania się o stanie brygu. Przepadł na zawsze! Stér złamał się, obicie pękło i tylko ta okoliczność że statek był naładowany drzewem, wstrzymywała jego zatonięcie. Zabrano więc najpotrzebniejsze rzeczy, ubiór majtków, żywność, i złożywszy je na naszym pokładzie udano się po raz wtóry do brygu, aby go podpalić, bo się obawiano powtórnego zetknięcia się. Nowe więc czekało nas widowisko. Wzniosły się kłęby dymu, zajaśniały płomienie, lecz okręt nasz niemógł pozostać dłużej i rozwinął żagle.

Podobny przykład nieszczęścia tego rodzaju opowiada pewien kapitan amerykański w sposób następujący:

„Płynąłem raz na mocnym okręcie w pobliżu Nowej Funlandyi; częste mgły niedozwalały nam widzieć wśród dnia dalej nad pięćdziesiąt kroków, a noc była tak ciemna żeśmy największego przedmiotu w małej odległości rozróżnić niemogli. Kazałem zapalić latarnię na wielkim maszcie, na przodzie zaś okrętu postawiłem wartę aby strzegła od spotkania się z okrętami, które w tych stronach łowią wieloryby i zarzucają kotwicę. Nagle krzyknął majtek:

„Okręt przed nami!“ i ledwo te słowa wymówił, kiedyśmy już poczuli uderzenie. Załoga drugiego okrętu spała, nie wywiesiwszy latarni; przodem uderzyliśmy w sam środek, a wielkość i pęd naszego okrętu były tak mocne, że statek przewrócił się, zatonął w bałwanach i najspokojniej przez niego przepłynęliśmy. Kiedy po raz pierwszy dał się słyszeć trzask, widziałem kilku majtków na drugim statku wybiegających z kajuty. Wskoczyli z łóżek a ich krzyk rozzierający doszedł moich uszu, lecz siła wiatru była tak wielka żeśmy się wkrótce oddalili. Ten krzyk słyszę ciągle i niezapomnę go nigdy. Wśród ciemnej mgły krążyliśmy w pobliżu czas niejaki, wyprawiliśmy łodzie, strzelaliśmy z armat aby jeżeli można uratować którego z robotków — ale napróżno!

## 5.

**Rafa koralowa.**

W Suez wsiadłem na okręt płynący do Madrasu i nie bez pewnej obawy puszczałem się w tę podróż; jakóż szóstego dnia o drugiej z północy spotkało nas nieszczęście. Łoskot ze spodu okrętu dobywający się obudził mnie ze snu, a nawet wstrząśnienie wyrzuciło mnie z łóżka. Wnet usłyszałem głos kapitana: „Zginęliśmy!“

Czémprędzej wrzuciłem na siebie odzienie, weksel i złoto wsunąłem do worka z ceraty i wybiegłem na



pokład aby się dowiedzieć co się stało. Okręt z rozwinię-  
 temi żaglami wpadł na ławicę koralową, jedną po drugiej  
 spotykał skałę i już maszty się trzęsły i groziły rozsypa-  
 niem. Aczkolwiek kapitan niestracił zimnej krwi, trudna  
 była rada, tém bardziej że sternik i załoga indyjska ze  
 strachu odeszli od przytomności. Szepnąłem kapitanowi,  
 że jeden strach może wyleczyć drugi. Zrozumiał mnie  
 i uderzywszy kilku grubą laską przywrócił wnet posłu-  
 szeństwo. Wszakże trwoga odjęła im siły: drżeli i kła-  
 pali zębami jako mały. Nielepij się znalazła większa  
 część podróżnych a mianowicie też Włosi. Wielu z nich  
 mówiło tylko ojczystym językiem, przybiegali więc do  
 mnie płacząc, wyrzekając i pytając o radę. Ale mówi  
 przysłowie: radź sobie a Bóg ci poradzi — już dzień po-  
 czął świtać, a okręt nieustannie o skały uderzał. Widok  
 bliskiego brzegu dodał żeglarzom odwagi. Dopiero też  
 wtedy ściągnięto żagle, wyrzucono balasty i spuszczone  
 szalupy dla przekonania się czyli okręt niepopękł. Przeko-  
 naliśmy się żeśmy wpadli na ławicę, około pięćdziesiąt  
 stóp obwodu mającą, której ostre iglice wystawały  
 z wody. Na około morze było głębokie na sto stóp.  
 Korzystając z tego odkrycia wzięto kotwicę, niesiono ją  
 przez wodę i zarzucono w pewnej odległości, poczem  
 majtkowie skrewili żagle, bo kapitan się spodziewał, że  
 ten środek pomoże okrętowi do wypłynięcia. Z początku  
 mniemaliśmy, że usiłowania nasze nie zostaną bez skutku,  
 ale okręt niemógł się ruszyć, bo skała koralowa przebiła

tramę i w niej sterczała. Co gorsza tył okrętu stał dużo wyżej niżeli przód, trzeba było się obawiać, że powierzchnia wody zrówna się w końcu z przodem okrętu. Tymczasem w dość znacznej odległości spostrzegliśmy kilka bark napełnionych ludźmi powierzchowności nadzwyczajnej; nowa więc trwoga powstała, czyli to nie są rozbójnicy morsey, bo wtedy wpadlibyśmy z deszczu pod rynnę. Lecz że nas było czterdziestu a szalupy tylko dwudziestu pomieścić mogły, musieliśmy bądź co bądź, wołać na pomoc ludzi z bark. Poprosił mnie kapitan abym z dwoma podróżnymi udał się naprzeciw bark na jego szalupie. Wybrałem dwóch Anglików i we trzech popłynęliśmy do bark.

Wkrótce połączyliśmy się i ujrzeliśmy ze sto ludzi różnego narodu i barwy po większej części bez żadnego odzienia. Giestami i krzykiem przedstawiliśmy im nasze położenie i uprosiliśmy ich iż się udali za nami do okrętu. Większa część tych ludzi byli to Mahometanie indyjscy płynący pielgrzymką do Mekki. Naczelnik barki powiedział nam, że się znajdujemy o pięć mil od Dżyddy, gdzie pływająca karawana miała wylądować. Kapitan przybliżył się aż do skał, lecz wyraźnie zapowiedział że tylko kilka minut zabawić może, bo z całą swą załogą chce nocować w Dżyddzie. Kiedyśmy przybili do okrętu, dwóch Arabów wyskoczyło do wody dla przekonania się o stanie w jakim się spód okrętu znajdował. Oświadczyli że wkrótce tyle się porobi dziur że pompa niewystarczy. Powiedziałem więc podróżnym, aby wszystkie swe rzeczy wpakowali do barki

a szalupę zostawili naszym majtkom. Czterech dzielnych Arabów przyszło nam w pomoc i w ten sposób uratowano rzeczy podróżnych i po większej części moje; lecz barka już dłużej czekać nie chciała, bo tak była przepełniona, że bez niebezpieczeństwa płynąć niemogła. Na szczęście panował wiatr nam przyjazny i w ciągu sześciu godzin ukończyliśmy podróż do Dżyddy. Posłałem pozostałym na okręcie kilka łodzi na pomoc, a sam miałem się za szczęśliwego żem mógł przenocować w jakiejś stajni. Nazajutrz wróciły łodzie z kuframi, ale na okręcie naszym nie znalazły nikogo i wkrótce ujrzelśmy że okręt skołatany od wiatru i bałwanów, rozbity kilkakroć, rozsypał się na części. Niepokojny byłem o ludzi którzy pozostali na pokładzie; ale że w nocy dał wiatr gwałtowny, myślałem że towarzyszy naszych zapędził gdzieś w inne strony, i wyprawilem Arabów z wielbłędami i żywnością aby ich wyszukać na brzegu, sam zaś wsiadłszy na konia pojechałem w przeciwnym kierunku. Za powrotem dowiedziałem się iż część przybyła do nas, reszta zaś popłynęła do Dżyddy. Zdziwili się nader przyjemnie, kiedy ujrzeni rzeczy swoje u nas, które już za stracone na okręcie uważali.



## 6.

**Rozbójnicy morscy.**

Kapitan Holl na duńskim brygu „Anna“ znajdował się w Bahii w Brezylji pod koniec Października 1835. Dwudziestego t. m. zamierzał odpłynąć do Fernambuco, gdzie chciał złożyć ładunę i powrócić do Europy. Około południa przyszedł do kapitana człowiek w płaszczu podszarzonym i prosił go o chwilę rozmowy na osobności. Oddalili się obecni, obcy zaś po kilku słowach obojętnych, opowiedział interes.

„Jestem rodem z Florencyi i zowią się Zernetti; od dwóch miesięcy mam w Bahii gabinet figur woskowych, ale mi się w mieście tém nie powodzi. Musiałem nawet zaciągnąć długi, których zapłacić w téj chwili niemogę, mam więc zamiar udać się do Fernambuco, gdzie wkrótce tyle zarobię pieniędzy, że moich wierzycieli w Bahii zaspokoję. Ale Brezyljanie są nieubłagani; napróżno im zaręczałem, że im całą należytość z Fernambuco odeślę, zagrozili mi że, jeżeli się do jutra nieuiszczę, zabiorą mi cały gabinet. Aby tego uniknąć postanowiłem odpłynąć potajemnie. Okręt pański odbija jutro ze świtem, obiecuję więc panu za przybyciem do Fernambuco odwdziaczyć się jak należy, bylebyś tylko w nocy przyjął moje paki, które już będę miał w pogotowiu, i które strażnik, mój dobry znajomy, bez trudności przepuści.“

Kapitan miał coś do zarzucenia, ale przebiegły Florentczyk umiał go przekonać i pozyskać przyzwolenie na przyjęcie jego i jego gabinetu. Poczyniono natychmiast przygotowania i jeszcze tegoż samego wieczora figury woskowe znajdowały się na statku. Florentczyk, skoro kotwicę ściągnięto, począł rozmawiać z załogą; przeszła noc i dzień cały spokojnie. Zręcznie potrafił się dowiedzieć o wartości ładunki, ale często schodził na spód dla przekonania się, jak mówił, czy jego figurom nie szkodzi kołysanie się statku. Te nieustanne odwiedziny obudziły w załodze jakieś podejrzenie, lecz wkrótce o niém zapomniano; bo czegoż się mieli obawiać majtkowie silni i dobrze uzbrojeni, przeciw jednemu człowiekowi.

O północy kiedy część załogi spała, warta posłyszła w sklepie okrętowym gwałtowny łoskot. Majtek chciał uwiadomić o tém kapitana, który zszedł do kajuty, ale przekonał się, że było już po niewczasie, bo w głosach błagających o ratunek, rozróżnił głos kapitana. Ledwo miano czas przyjść do siebie, kiedy na pokład wybiegło dwunastu ludzi dobrze uzbrojonych. Rozpoczęła się rzeź, ludzie ci stali się panami okrętu; porucznik, sternik i kilku majtków padli nieżywi i trupy ich wrzucono do morza. Jeden tylko chłopiec okrętowy i majtek, który nie spał, korzystając z powszechnego zamieszania, wskoczyli po cichu do łodzi i odpłynęli bez żywności, bez kompasu, tylko z nadzieją w Bogu i boleścią w sercu po dokonaniem nieszczęściu. Udało im się przecież dopły-

nać do brzegów Brezylji, gdzie swemu konsulowi donieśli o tém, co się stało.

Dowiedziano się później, że mniemany Florentczyk Zernetti było rozbójnik morski, którego okręt się rozbił i który szesnastu z swój bandy ukrywszy w pakach, użył tego przebiegu dla zabrania statku Duńczykom.



12 x 9

x 3

# Chłopiec Okrętowy.

## 1.

W porcie Havre stała wielka ilość okrętów, między którymi odznaczał się piękny bryg nazwiskiem Triton, którego kapitan właśnie zamierzał odpłynąć do Nowej Funlandyi na połów sztokfiszey. Na pokładzie okrętu wszystko było w ruchu; już zapakowano ostatnie baryłki wina i wódki, mięsa solonego i mąki; przygotowano wędy i sićcie i zatoczono ogromne beczki z solą. Już kilka razy, szalupa odpłynęła od brygu i przypłynęła nazad, przywożąc nowe pakunki, gdy ostatnią razą przybył na niej chłopczyk mogący mieć lat około dwunastu; nieśmiało wszedł on na okręt i drżąc zbliżył się do jednego majtka, co właśnie podniósł się od roboty wysypując popiół z fajki. — Mój Panie, rzecze chłopczyk cichym głosem obracając w rękę zieloną axamitną czapeczkę.

Na to słowo „Pan“ rozśmiał się głośno majtek. Ja żaden Pan nie jestem, ale po prostu Michał, cóż chcesz chłopcze?

Panie Michale ... chciałem się was spytać, czy nie potrzebujecie chłopca okrętowego?

To nie moja rzecz, nie wiem. Tam jest kapitan — widzisz go, idź do niego, ten co stoi między ludźmi z długą fajką — czerwony na twarzy. Zowie się Krysztof; idź śmiało do niego.

Chłopiec zbliżył się do kapitana.

Czegóż chce ten dudek? zawołał kapitan ujrawszy zbliżającego się chłopca.

Chciałbym być przy was chłopcem okrętowym.

A czy znasz rzemiosło? bo z resztą o nic nie chodzi, odrzekł Krysztof, który był właśnie w dobrym humorze.

Nie brak mi ochoty, wszystkiego łatwo się nauczę.

Gracki chłopak! podoba mi się. Coś ty za jeden?

Pytanie to zakłopotало nieco młodego, spuścił głowę i zarumienił się; w krótkce jednak zebrał się w sobie, i widocznie wzruszonym głosem odpowiedział: Nazywam się Jérzy.

Czém jest twój ojciec?

Jestem sierota, z cicha wybąknął chłopiec wlepiwszy oczy w ziemię.

To doskonale, tym lepiej, zawołał kapitan, i to mówiąc wyciągnął szeroką wielką rękę a tak spaloną na słońcu, że koloru skóry dostrzedz na niej nie było można. Jérzy podał mu małą drobną rączkę, która w ogromnej dłoni kapitana znikła jako śledź w paszczy wieloryba. Krysztof nie zważając z kim ma do czynienia, ścisnął rękę Jérzego tak, że ten, gdyby go wstyd nie było, byłby głośno z bólu krzyknął.

Michale! zawołał kapitan puściwszy rękę dziecka, oto nowy nasz chłopiec — daj mu co do roboty, przywiąż szalupę i niechaj ściągną kotwicę.

Powoli Kryzstofie! wielkim głosem zawoła kapitan sąsiedniego statku, w podeszłym już wieku będący, za wczasu odpływasz; czy nie boisz się aby cię kra nie spotkała? Kiedyśmy się puszczali za młodu, dopiero w połowie Maja ładowaliśmy sól, a tu się jeszcze Kwiecień nie skończył.

Zamiast odpowiedzi uśmiechnął się Kryzstof; na lewo i na prawo puścił z ust długie i gęste kłębydy mu, poczem dał znak do odbicia. Wnet wiatr dmuchnął w żagle, majtkowie ściągnęli liny i wśród radosnych okrzyków wszystkich, życzących szczęśliwej podróży, wspaniały bryg odpłynął z portu. Oj, te kry! z cicha mruzcili starzy żeglarze, dziś mamy dopiero 25. Kwietnia.

Było to zaś w roku 1738.

## 2.

Wyspa Nowa Funlandya leży na oceanie atlantyckim o kilka mil od brzegów Labradoru i ma obwodu 200 mil geograficznych. Dokoła otaczają ją ławy piaszczyste, z których największe leżą od wschodu i południa. Na tych ławicach ciągnących się pod morzem więcej nad sto mil



i zbliżających się do powierzchni morza tak dalece że o 30 stóp można się już dostać do dnia, poławiają się zazwyczaj sztokfisz. Te ławy są zapewne szczątkami jakiejś wielkiej wyspy, której podstawy rozsypały się w odległej przeszłości, może w skutek gwałtownego trzęsienia ziemi. Być też może że ten pas ziemny z lądem stałym północnej Ameryki się łączył, bo cieśnina Belle-Isle oddzielająca Nową Funlandyą od Labradoru jest tylko na kilka mil szeroka.

O ile znamy Nową Funlandyą, wszędzie ukazują się strome skały, tu i owdzie góry lasami zarosłe, miejscami wąskie nieżyzne doliny, w których dzikie porastają krzewy. Klimat jest tak zimny że grunt do żadnej uprawy niezdolny.

W pierwszych dniach po odbiciu od brzegu mało na Józego zwracano uwagi; podobało mu się to rzemiosło, bo go bawiło nowością i nieobciążało zbyt ciężką pracą. Zmieniło się wszakże wkrótce. Pewnego dnia kapitan zawołał go chcąc mu dać jakowyś rozkaz; lecz Józef choć słyszał, przypatrywał się ciekawie grze morskich odmetów, a myślał sobie że zawsze na czas przyjdzie do kapitana. Ale Krysztof był przyzwyczajony żeby w mgnieniu oka rozkazy jego wykonywano — tupnął więc tak mocno na chłopca, że dziecko przeleknione uciekło na drugi koniec okrętu.

Wstyd go było iż kapitan tak się z nim obchodził — oburzało go iż go najgorzej ze wszystkich traktowano, lecz majtkowie zobaczywszy to głośno śmiać się poczęli.

Już więc chciał się odezwać i uzalić, kiedy jeden z majtków schwycił go za rękę i zagroził że dostanie różgi skoro tylko słówko piśnie. Cóż miał robić biedny chłopczyzna, milczał, cierpiał, ale słuchał. Wszakże od téj chwili widziano go często płaczącego w ukryciu, i wzdłuż wodnych pręgów które okręt po za sobą na morskiem zwierciedle rysował, tęskny wzrok posyłał ku ojczyźnie, i z ust jego mimowolnie dobyło się nieraz westchnienie za matką.

To ty masz matkę? zapytał jednego razu Michał, zszedłszy go właśnie, kiedy ciężko wzdychając matki przyzywał.

Mam matkę i ojca, uciekłem od nich potajemnie, bo mnie ciągnęła ochota zostać marynarzem. O mój Michale, jaki ja biedny!

Wszakżeś mówił kapitanowi żeś siórotą.

Skłamałem, bom się lękał aby kapitan nie odesłał mnie do rodziców, skoro mu powiem ich nazwisko.

Więc oni wcale nie wiedzą o tobie.

Nie, niewiedzą wcale. Chciało mi się koniecznie być majtkiem, a mój ojciec był przeciwny temu. Oboje z matką na parę dni wyjechali z domu, chcąc odwiedzić przyjaciół mieszkających o trzy mile od Granville, a w domu pozostałem ja tylko i moja babka. Nazajutrz po ich odjeździe uciekłem z Granville, przybyłem do Havre, a jakby przeznaczenie pchało mnie na morze, przybyłem w téj właśnie chwili, kiedy szalupa po raz ostatni od lądu odbijała.

I czemuś sobie tak rychło nasz stan obmierził?

Biją mnie, kapitan łaje i wymyśla.

To czemuż na to zważasz głupcze, kije przyuczają do wytrwałości, a żeś raz dostał parę szcztuków, to jeszcze o tém gadać nie warto. Masz za to morze, te drobne przykrości ono ci wynagradza — to jedyna i prawdziwa ojczyzna człowieka.

Chyba ryby a nie człowieka, odpowiedział nieśmiało.

Ryby — mówił dalej majtek, będziemy mieli z niemi dosyć do roboty i to ze sztokfiszami. Tą razą jak mi się zdaje połów wypadnie pomyslnie.

O już od dawna, zawołał chłopiec, miałem ochotę przypatrzeć się jak to łapią sztokfiszę; jeszcze był malutki, kiedy mi ta myśl przychodziła, wujaszek mi bardzo wiele o tém opowiadał.

Moje dziecko, to jest ciężka praca, przykry mozól, ściągając rybę i to przez kilka miesięcy na morzu pokrytém lodami i pod niebem wiecznie śnieżnemi chmurami zamgloném. Nie przyjdzie tym do głowy co jedzą sztokfiszę, ile to pracy kosztuje aby go złapać. Chociaż i my mamy czém się pocieszać, kieliszek wódki na Nowej-Funlandyi lepiej smakuje jak najlepsza jamajka w gospodzie pod Słońcem w Havre.

Mój Michale, żebyś się na mnie nierozgniewał, tobym się prosił, opowiedz mi jakto łapią sztokfiszę, bo z tego co wujaszek powiedział, nic już nie pamiętam.

Siadaj przy mnie, wprawdzie nie obaczysz majtka



aby tracił czas na gawędzie z chłopcem, ale jak zostaniesz admirałem, mówić uśmiechając się, pamiętaj że ci był życzliwszy od innych. Słuchaj uważnie.

### 3.

„Do połowu sztokfiszy, mówił dalej majtek, najdogodniejszą jest wielka ławica leżąca na wschód Nowej Fundlandyi, a szczególnie téż przy jój wschodnim brzegu. Jest on tu bowiem tak poszarpany, zarzucony skalistemi wyłomami i dno ciągle się zmienia, bo w jedném miejscu morze nad 200 stóp nie głębsze, w drugiem i o tysiąc nie dosięgniesz gruntu. Ciężka mgła pokrywa zazwyczaj wielką ławę; nieustannie dmą nad nią wichry i chmury pędzą jedne za drugimi. Morze to z jednej strony bije o ściany ławicy i znowu się od niej odbija, a nad samą ławicą w małej odległości od brzegów powierzchnia wody jest tak spokojna jak w porcie, chybaży już wielka burza gnała od oceanu.

Sztokfisz ma zwyczajnie 3 do 4 stóp długości a waży od 12 do 20 funtów. Rozmnaża się bardzo szybko, znajduje w samicach nieraz po 9 milionów jajek. Jest zaś tak żarłoczny że nie tylko inne ryby połyka a szczególnie śledzie, ale wszystko co napadnie, kawałki żelaza, drzewa i inne rzeczy do trawienia niezdolne, które na powrót

z siebie wyrzuca. W rzekach nie ujrysz go nigdy i kryje się zazwyczaj w głębi morza, tylko czasami zbliża się do brzegów. Przebywa zwyczajnie w północnej części morza atlantyckiego, a jest jedną z najużyteczniejszych ryb, bo używają go bardzo wiele i połów jego mnóstwu ludzi daje zatrudnienie. We wszystkich krajach go jedzą. Świeży jest najsmaczniejszy i najdroższy, ale w tym stanie nie da się przewieść daleko; przywożą go więc solonego i wędzonego albo téż tylko solonego jak śledź. W piérwszym razie zowią go sztokfiszem, w drugim w innych krajach nazywają go laberdam, W Norwegii głowę jego dają krowom, bo doświadczenie pokazało, że potłuczona i zmieszana z roślinami morskimi lepszym jest dla tych zwierząt pożywieniem, niż trawa, lub siano, i przydaje im mléka. W Islandyi wnętrznościami jego karmią bydło, w Kamczatce są one zwykłym pożywieniem psów, które tam zaprzęgają do sanek. W innych krajach używają go do oświecania, bo wątroba którą także jeść można i inne części ciała dają przewyborny tran, który się bardzo powoli pali. Jé się także ikrę albo téż wrzuca się ją do siéci przy połowie serdeli aby ich tym więcéj zwabić.

Pod Nową Funlandyą połów sztokfiszy zaczyna się w końcu Maja a kóńczy w Październiku. Łapią się na wędki długie czasami na 2000 łokci. Nie takie to są wędki jakimi się w domu pewno bawiłeś; do sznura co 2 łokcie przywiązany jest mały hak, na nim osadzony kawałek solonego sztokfiszka. Co wieczór 16 takich wędek wy-

wywiesza się z szalupy, a skoro statek naładował już dostateczną ilość ryb, składa ładunek swój na brzeg, gdzie rozpoczyna się dalsza przyprawa.

W tym celu nad samym brzegiem stawiają budynek, tak aby szalupy dla lepszego wyładowania do samego gmachu mogły dotrzeć. W pierwszej części budynku jest skład solny, z dwoma wielkimi stołami, w około którego ustawione stołki dla oprawiających ryby. Wielką warzęchą wybięra jeden człowiek sztokfisz za statku i kładzie na stole, drugi przerzyna mu gardło i brzuch i posuwa dalej sąsiadowi, który odcina głowę, wyrzuca wnętrzności i wątrobę na bok odkłada, poczem posuwa znowu dalej; czwarty płata rybę na dwoje; a to wszystko dzieje się z taką szybkością, że niespełna w półtorej minuty 10 sztokfiszów jest oprawionych. Piąty soli, ale ten już siedzi przy osobnym stole, a od tego jak zna swoje rzemiosło, zależy dłuższe lub krótsze utrzymanie rybiego mięsa. Nasolwszy układa je w naczyniu i tak przez kilka dni pozostawia, poczem pakują je w podziurawione spodem szuflady i wstawiają do morza; tutaj jeden z robotników wchodzi po kolana w wodę i mięką szmatą wyciera nasolone połcie oczyszczając z soli i mułu. Wtedy wywiesza się je dla osuszenia; rozkłada się na szerokich tratwach ku słońcu przewracając ustawicznie w ciągu dnia a na noc składając na sobie. Wpakowane połcie leżą brzuchem na skórze pierwszej włożonych, a ten sposób przyczynia się do prędszego osuszenia. Coraz bardziej zwiększa się ich ilość, tak że



w końcu złożone w ten sposób wyglądają jak stóg siana. Raz jeszcze wystawia się je i suszy na słońcu, poczem jako towar do zwyczajnych pak kupieckich ładuje.

Jedna kropelka deszczu może zepsuć nie tylko tę połączoną na którą spadała, ale całą pakę, a nawet całą ładugę okrętową. Kiedy więc ryba schnie, nie można być dosyć o pogodę troskliwym, a gdy najmniejsze grozi niebezpieczeństwo deszczu, należy natychmiast rybę grzbietem do góry obracać.

Ileż to trudów mój Jérzy, ile kłopotów użyć trzeba przy każdej wyprawie. Przez 4 miesiące my co się tém trudnimy obiadu zjeść nie mamy czasu, posilając się czémkolwiek na dorywczu i ledwie cztery godziny wśród doby przeznaczamy na sen.“

Skończył Michał, i zostawił Jérzego, który począł trochę żałować iż tak lekkomyślnie na tak wielką i uciążliwą zerwał się podróż. Lecz żale były niewczesne; nie pozostawało nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość i poddać się losowi.

## 4.

Bryg na którym się młody nasz bohater znajdował, dopłynął już 50 stopnia północnej szerokości, kiedy spotkał ogromne kry lodu. Nagle, było to 29 Maja, zatrząsł

się statek i ze wszystkich stron dał się słyszeć krzyk przestraszu. Stało się wielkie nieszczęście, jedna kra uderzyła o bryg w ten sposób, że w jednej chwili pęknął od spodu. Woda buchnęła gwałtownie i okręt tonął z taką szybkością, że o ratunku dla ludzi myśleć nie było podobna; wszystko było w największym popłochu; jedni tu, drudzy owdzie biegali, a każdy chciał się naocznie przekonać czyli już niema żadnego środka ocalenia. Jedni padłszy na kolana błagali wszechmocnego Boga o pomoc, inni krzyczeli, płakali i załamywali ręce, a inni jeszcze spuścili szalupę i wołali na kapitana, aby z nimi razem wsiadł.

„Do ostatniej chwili pozostanę na okręcie,“ zawołał nieulekniomy marynarz; ale ostatnia chwila się zbliżała, bo niebezpieczeństwo wzrastało z niewypowiedzianą szybkością. W pośrodku nieszczęśliwych stał Józef; osłupiałe oczy wlepił w morze i ze strachem słuchał co ten lub ów majtek powiada. Widział on jak statek coraz głębiej a głębiej się zapada; już woda doszła do okien, już była coraz bliżej pokładu, a wtedy jakby dopiero co pojał niebezpieczeństwo życia ukląkł, oczy i ręce wznosił w niebiosy i zawołał:

„O Matko, moja droga Matko, już cię więcej nie obaczę!“

Wtedy zwróciwszy się do kapitana, którego ten okrzyk bólesci uderzył, rzekł:

„Krysztofie! jakież ja nieszczęśliwy! — chęć moja do podróży morskich stała się powodem, iżem się przeniewie-

rzył rodzicom. Jakże okropną musiała być dla nich moja ucieczka! Ja tutaj umrę i oni mi nieprzebaczą. Nieprawdaż kapitanie, że to wielkie nieszczęście umrzeć mając na sumieniu swém łzy rodziców.“

„Co ma wisić nie utonie,“ odparł rubasznie Krysztof i klepiąc chłopca po ramieniu dodał: „Zbierz się w sobie, przywiąż się mocno do mojej nogi i oddaj się w opiekę Matki boskiej.“

Tak też uczynił Jérzy. A był wielki czas, bo woda już weszła na statek, z obu stron wlewała się gwałtownie i w jednej chwili okręt zniknął ze wszystkiém co na nim się znajdowało, z majtkami, kobietami i dziećmi.

Jérzy stracił przytomność, a kiedy po mejakim czasie przyszedł do siebie, ujrzał się z kapitanem na dwóch deskach razem zbitych. Z wieloma innymi zapadł on w głębią wody, ale dzielny kapitan razem z chłopcem potrafił się na wierzch wvdobyć. Tak więc w pierwszej chwili dwóch tylko wyrwało się śmierci, lecz zguba ich aczkolwiek spóźniona zdawała się być nieuchronną.

Na wszystkie strony oglądali się szukając ratunku; na próżno. Po nad bałwany lekko wzruszonego morza nic innego dojrzyć nie było można, jak tylko mniejsze lub większe góry lodowe, a zbliżająca się noc widok ten jeszcze straszliwszym czyniła. Nakoniec ujrzał kapitan wielką płaską krę, i po nadzwyczajném wysileniu udało mu się do niej dopłynąć, wrzucić na nią chłopca i samemu się wydrapać.



Ubiór Krysztofa składał się z wełnianej koszuli, długich spodni i pończoch, ale biedny Jérzy był prawie całkiem nagi i na głowie nie miał nic; kapitan zaś uniósł z sobą kapelusz. W ten sposób skostniali od zimna stali czas niejaki na krze, kapitan wyszukiwał środka ratunku, młodzieniec utonął w wspomnieniach domu ojcowskiego i zalał się łzami, które mu to wspomnienie wydobyło. Jakżeby oni teraz gorzko płakali, gdyby wiedzieli że ich jedyne dziecko oddane na pastwę morskich bałwanów.

Z zapadającą nocą mgła coraz dokuczliwszą się stawała i spełniała miarę ich nieszczęść, bo zimno zwłaszcza téż dla przemokłych było tak dotkliwe, że kapitan musiał ustawicznie budzić chłopca, bojąc się aby wśród snu nie umarł. Wziąwszy go więc za rękę obwozdział na około kry, ale w krótkce nowe cierpienie poczęło ich dręczyć, to jest głód.

W ten sposób przepędzili nieszczęśliwi bezsenną noc, a gdy dzień świtać począł, ujrzeli czterech ludzi na tratwie niezmiernie daleko będących. Widok ten dodał im siły, bo łatwiej znosimy cierpienie jeśli je dzielimy z innymi. Nasi nieszczęśliwi starali się zwrócić na siebie uwagę towarzyszków cierpienia, lecz usiłowania ich były daremne, bo ich nie spostrzeżono.

Pod wieczór ukazał się wielki okręt trzechmasztowy w téj saméj stronie, w której ujrzeli tratwę. Można sobie wyobrazić, jak nieprzerwanie śledził kapitan wszelkich ru-

chów statku; mimo pilnego szukania nie mógł już dostrzedz owych czterech ludzi, których widział rano, skąd wniósł że ich wyratowała załoga okrętowa i że i jemu przyjdą na pomoc. Pokrzepiła go ta nadzieja. Na wiosle które z sobą w chwili rozbicia okrętu zabrał, zatknął kapełusz i przypiął chustkę od szyi. Tym sposobem chciał on się dać poznać i z wielką niecierpliwością oczekiwał, aby ku niemu wyprawiono łódź. Wszakżeż inaczej zapisaném było w wyrokach Opatrzności. Po półgodzinnym spoczynku okręt rozwinął żagle; mimo lodów puścił się swym biegiem i w krótkce znikł z oczu nieszczęśliwych rozbiteków.

Długo ścigali go wzrokiem, długo wyteżali oczy w to miejsce gdzie im się po raz ostatni ukazał, wreszcie Jęrzy straciwszy wszelką nadzieję bez sił upadał do nóg Krysztofa. „Kapitanie, przemówił cicho, więc nas czeka śmierć z zimna i głodu?“

Krysztof nie odpowiadając mu, sięgnął ręką do kieszeni; w jednę znalazł kawałek przemoczonego suchara i obojętnie podał go chłopcu. Młody rzucił się nań z chciwością i już chciał połknąć, kiedy sobie wspomniął, że to był jedyny kawałek.

„A cóż dla Was kapitanie,“ rzecze boleśnie odejmując suchar od ust i podając go kapitanowi.

„Jédz tylko, jédz,“ odrzekł tenże z wysileniem, a już tych słów malec nie dał sobie drugi raz powtórzyć.

Nierównie straszniejszą była noc następną, przeziębli,

zgodnieli, tém bardziej upadali na duchu im z większą spodziewali się pewnością, że rychły ratunek wyrwie ich z nieszczęścia. Zasiadł Krysztof w ponurém milczeniu, głowę chłopca wziął na kolana i spiekłe jego wargi rychłą śmierć znamionujące zwilżał kawałkiem lodu.

„Jakżeż zimno kapitanie, jakże mnie serce boli!“ od czasu do czasu wybąknął Jérzy ledwie zrozumiałym językiem, a potem znowu wołał: „Matko, droga matko, jakże ja mogłem cię opuścić!“

I jakby za karę téj ucieczki w owéj strasznej chwili zbliżającej się niejako śmierci, w myśli poczęły mu krążyć wszystkie ulubione sprzęty rodzinnego domu. Przed oczyma stało mu jego łóżeczko. O Boże! cóż za wielka różnica między owém ciepłym i miękim pośłaniem a tą twardą, mokrą, i zimną krą. Zdawało mu się że przed nim stoi wieczerza z zwykłą starannością przyprawiona, a na stole leży kawałek suchego chleba, który mu dawano zamiast wieczerzy, kiedy był niegrzeczny. O! cóżby on dał, gdyby dzisiaj choć połówkę tego kawałka mógł dostać.

Tak wśród piekielnych męczarni i skarg bezowocnych upłynęła długa noc.

---

## 5.

Kiedy ze świtem opadły mgły, podróżni nasi ujrzeli baryłkę z winem, którą bałwany podrzucały. Kapitan do-



był z siebie reszty sił, i po nadzwyczajnej pracy udało mu się ją pochwycić. Ten napój pokrzepił ich siły.

„Kapitanie,“ rzecze Jérzy po którego żyłach poczęło krążyć ciepło, „o jednej rzeczy zapomnieliśmy, a taby nas niezawodnie pokrzepiła.“

„O czémże to?“ zawołał zadziwiony Krysztof.

„O modlitwie i wezwaniu pomocy boskiej. Gdyby nam to wcześniej było przyszło na myśl, bylibyśmy już dawno wyratowani.“

Westchnął Krysztof, a było to pierwsze jego westchnienie od dawnego czasu.

„Tak jest kapitanie,“ rzecze Jérzy klękając, „ile razy matka moja miała zmartwienie modliła się i zawsze jój to przynosiło pociechę. O tém mi często mówiła i musi to być prawda, bo ona nigdy nie kłamie. Mój drogi kapitanie, klękniéj razem ze mną, a obaczysz że to pomoże.“

Czy malec słowami swojemi potrafił przekonać starego marynarza, czy téż tenże życzeniu jego chciał zadość uczynić, dosyć że ukląkł koło chłopca i modlili się razem.

„Panie Boże,“ wzniosłszy ręce do niebios pokornie modlił się Jérzy, „ja wiem żeś zbłądził i żeś zasłużył na karę, ale Ty Boże zmiłuj się nad moim ojcem, którego tak ciężko zmartwiłem, ulituj się nad nieszczęsną matką, która tyle łez po mnie wylała, spraw ażeby ten poczciwy kapitan z mojej winy marnie nie ginął. Matka moja tylekroć mi to powtarzała, że w Tobie jest jedyna nadzieja, więc ja

ufam w Ciebie, wyrwij nas Stwórco wszechmocny z śmierci nieochybniej.“

„Najświętsza Panno,“ dodał Krysztof — „ratuj nas w tém niebezpieczeństwie, ślubuję Ci, że jeśli mi szczęśliwie wylądować dozwolisz, kupię na Twoją cześć najpiękniejszą świecę woskową i spalę ją przed Twoim ołtarzem.“

Po tych słowach przeżegnał się i wstał — i o cudo! Zaledwie oczom swym mógł wierzyć: wiatr pędził ku nim pustą szalupę.

Wtedy drząc z radości zawołał: „Jérzy Bóg nas wysłuchał, patrzaj!“

A kiedy szalupa uderzyła o krę, wskoczyli do niej, a to była też sama łódź, do której w chwili rozbicia brygu wołali go majtkowie; ale on do niej nie wszedł, bo sumienie kazało mu pozostać na statku aż do ostatniej chwili. Kapitan był to człowiek surowych obyczajów, ale teraz z skruszoném sercem ujrzał cudowną rękę Opatrzności, która mu tak niespodzianą zesłała pomoc. Ożywiony nadzieją pochwycił silnie wiosło i na ślepy los począł niém kierować. Płynęli tak czas niejaki; w tém kapitan ujrzał, że może o jakie dziesięć mil oddaleni są od lądu. Zręcznie wymijając kry, przeprowił się szczęśliwie i w kilka godzin obaj rozbitki wysiedli na ląd.

## 6.

Pierwszy wyskoczył Krysztof, przypatrzył się brzegom i wrócił po chłopca, który drząc od zimna i osłabienia nie mógł o własnych siłach dostać się na brzeg. Na szczęście niebo było pogodne, promienie słoneczne ożywczo poczęły działać na obydwóch; więc pod ich błogim wpływem pokładli się i głęboko zasnęli. Jak długo spali, nie wiedzieli sami — lecz skoro się ocknęli, okropny głód doskwierać im począł. Kapitan jak widzieliśmy nie tracił łatwo nadziei; im cięższe spotykały go przygody, tym więcej w sobie do ich zwalczenia znajdował siły. Przechodząc się więc koło brzegu szukał muszli i tyle ich znalazł, że nie tylko własny głód uspokoił, ale i chłopca nakarmił i kapelusz napełnił czubato. Jérzy przypomniał sobie, że takie muszle często jadał w domu ojcowskim, ale z rozmaitemi przyprawami przyrządzone, a przecież nigdy mu tak nie smakowały, jak te surowe, które z niemałym trudem przyszło mu rozłupywać.

Kapitan posilony począł rozmyślać o przyszłości i chciał rozpoznać okolicę, aby się dowiedzieć czyli w niej mieszkają ludzie. Lecz nowy kłopot. Osłabiony kilkodzielnym głodem Jérzy nieprzywykły do zimna i wilgoci tak opadł na siłach, że w żaden sposób za Krysztofem iść nie mógł — ten zaś nie chciał go odchodzić, bo się obawiał, że może dzikie zwierzęta, najpewniej niedźwiedzie,



w krajach północnych liczni goście, napadną i poszarpią chłopca.

W takiej niepewności leżeli obydwu na trawie i ogrzewali się od promieni słonecznych, kiedy chłopiec wydał nagle okrzyk radości. To co obaczył tak silnie go uderzyło, że nie mógł słowa wymówić i drżącą ręką wskazał na statek, który płynął wzdłuż brzegów w odległości ledwo kilku mil. Zadrgnęło staremu serce, poskoczyli w górę i poczeli krzyczeć, co tylko w piersiach mieli głosu, ale szum bałwanów morskich zagłuszał ich okrzyki i majtkowie zdawali ich się wcale niespostrzegać. Wszakże Opatrzność postanowiła ocalić ich. Jeden z majtków przyglądając się mało znanej dotąd wyspie przypadkiem skierował perspektywę na to właśnie miejsce, gdzie się znajdowali nasi rozbitki. Widział ludzi dających widocznie jakieś znaki i oznajmił to kapitanowi. Wkrótce ujrzał Krysztof, że spuszczone szalupę na morze, do której wsiadło kilku ludzi i kierowało ku brzegom.

Któż opisze uczucie jakie się w téj chwili obudziło w sercu Krysztofa i Józego. Stary marynarz płakał z radości, porwał malca na ręce, całował go i łzy obydwóch zmieszały się razem. — „Klękniemy kapitanie,“ rzecze pobożny chłopiec, „i podziękujmy Bogu.“ Usłuchał go stary, uklęknęli obadwa i podziękowali Panu za cudowne ocalenie.

Tymczasem szalupa zbliżyła się do brzegu; byli to majtkowie angielscy. Wysiadłszy chcieli wziąć obydwóch

i zanieść na statek, ale kapitan rzecze: „Tylko chłopca zanieście, ja jeszcze mam dosyć siły i sam się zawłokę.“

Ledwo przybili do okrętu, otoczyli ich wszyscy i każdy się starał przynieść im jaką pomoc. Żona kapitana wzięła chłopca pod swoją opiekę, i pod jej czułą pieczę, malec w kilka dni wydobrzał. Wkrótce spotkali statek francuski, a znajdujący się na nim majtkowie poznali Krysztofa, tym bardziej że statek był także z Hawru. Z serca podziękowali Anglikom, a że okręt francuski płynął właśnie do Granville, w kilka tygodni przybyli do ojczystego miasta Jérzego.

Tyle cierpień wspólnie zniesionych przywiązało Krysztofa do chłopca; uważał go jako swego syna, chciał wziąć z sobą i o rozstaniu mówić sobie nie dał. „

„Słuchajcie kapitanie,“ rzecze mały, „nie mogę pójść z wami dopóki mnie rodzice nie przebaczą i nie błogosławią. Dom mego ojca leży o kilka kroków od portu, pobiegnę tam natychmiast.

„Zgoda,“ rzecze Krysztof; „ale jeżeli o ósmej rano nie będziesz u mnie pod złotym Jeleniem, to ja pójdę po ciebie do domu twego ojca. Jak on się zowie?“

„Pleville,“ odpowiedział chłopiec, i uściskawszy serdecznie kapitana poleciał jak strzała do rodziców.

Było to już późno pod wieczór. Ulice nie były oświetlone, ale Jérzy znał miasto na pamięć, i zatrzymawszy się przed jednym ogródkiem wskoczył na mur, na którym

stanął na chwilę i czekał, jakby go nagle opuściła ta wola, co go gnała do domu rodzicielskiego. Serce było mu gwałtownie; zeskoczył z muru, przysunął się do bramy, trzy razy podniósł rękę, chcąc zadzwonić i trzy razy się znowu cofnął.

„Nie, zanim się im pokażę, muszę przód wiedzieć czy oni żyją, co robią i czego się mam spodziewać.“ To powiedziawszy wdrapał się znowu na mur i usiadł na nim po cichu. Bystro śledził oczami, czyli kogo drogiego nie napotka; ale że nikogo widać niebyło, spuścił się powoli i przeszedłszy ogród dostał się na podwórze. W ciągu dnia gorąco było nieznośne, w pokojach więc pootwierano okna, Jérzy z ogrodu ujrzał swoich rodziców, siedzących przy wieczery. Schylił się, prawie pełznął do okna i tłumiąc w sobie oddech słuchoł rozmowy rodziców. W pokoju świeciła się lampa, rodzice siedzieli przy stole, a dziewczyna im posługiwała.

„Czy miałeś jaką wiadomość z portu,“ zapytała męża swego pani Pleville.

„Dzisiaj spodziewają się,“ odrzeczł pan Pleville, „przybycia statku. Jak tylko zjém, pójdę do gospody majtków, może znajdę między przybyłymi którego co z naszym Jérzym się spotkał.“

„Jakże chcesz mój drogi,“ szepnęła wzdychając matka, „niewiemy nawet na jakim statku popłynął. Mój Boże! skoro tylko słyszę o rozbiciu jakiego okrętu, choćby nawet rybacka łódź zatoneła, zaraz mi się zdaje, że tam było



moje nieszczęśliwe dziecko.“ I po tych słowach znowu łzy puściły się po licach stroskanój matki.

„Jadłabyś lepiej; to niepoczciwe dziecko ciebie i mnie wpędzi do grobu. O, żeby on tu był, dałbym ja mu,“ rzekł stary podnosząc groźnie rękę.

„Sądziś żebyś go zdołał bić; mój Boże! gdyby on tu był, jakżebym go ucałowała, do piersi moich przycisnęła!“

Już dłużej Jérzy wytrzymać nie mógł; jednym skokiem był w pokoju i leżał u nóg matki.

„Ukarzcie mnie drodzy, kochani rodzice, zasłużyłem na karę, ale przebaczone ojcze, bo syn twój bardzo dużo wycierpiał.“

Któż opisze zdumienie i radość rodziców! Gdzież się podział gniew ojcowski, zapomniał stary o groźbach, niecierpliwy, wyrwał matce z objęć syna, całował go, płakał. „Wszystko przebaczone mój synu, zapomniane mój drogi!“

Kiedy przeminęła pierwsza chwila gwałtownej radości, rodzice posadzili go między sobą i kazali mu opowiadać wszystko, co go spotkało. Tak téż uczynił Jérzy. Z przerażeniem i łzami współczucia dowiedzieli się o jego nieszczęściach, przerywali opowiadanie wykrzykami przestachu, bóleści, westchnieniami. Dziękowali Bogu, a kiedy skończył, znowu go matka wzięła w swoje objęcia i rękoma ująwszy za głowę całowała go i przypatrywała mu się, jakby się chciała przekonać, że zdrów, że nie

zmarł na morzu, i że niedźwiedzie nie zjadły go na wyspie.

Tymczasem ojciec wstał, wziął laskę, kapelusz i chciał wyjść.

„Gdzież idziesz?“ zapytała matka.

„Pójdę poszukać kapitana, podziękować mu od nas obojga; bo gdyby nie jego ojcowska opieka, niemielibyśmy już naszego dziecka.“

Nie długo się bawił, i wkrótce wrócił z kapitanem. Nie było słów pocziwych, któremiby matka nie dziękowała, nie było w domu nic smacznego i kosztownego, czego by mu nie przyniosła ażeby go godnie uraczyć.

Zjadłszy wieczerzę Krysztof zapalił fajkę, rozsiadł się wygodnie i począł puszczać gęste kłęby dymu.

„No i cóż Jérzy,“ rzecze, „co myślisz o życiu morskiém?“

„Pewnie ci się odechciało być majtkiem?“ zapytała matka.

„A ja zaś myślę przeciwnie,“ zapytał kapitan, „dopiero teraz musi mieć ochotę poznać nasze życie ze strony lepszej, weselszej.“

Jérzy spojrział na kapitana i uśmiechnął się milczkiem. Postrzegła to matka; zasmucona, głosem łagodnego wyrzutu przemówiła do niego: „Jakto, czybyś nas jeszcze raz opuścił?“

„Moja matko, czyby cię to gnięwało, gdybym przyszedł do ciebie w mundurze kapitana okrętu jak wujaszek?“

„Ależ moje dziecko, jeśli ci ojciec inny stan przeznaczył.“

„Słuchaj żono,“ ozwie się pan Pleville, „skoro te wszystkie cierpienia jakich doznał nie odstraszyły go od życia morskiego, to już musi być ono dla niego powołaniem.“

„Bo też niema nic piękniejszego,“ przerwał stary kapitan, „trącając kieliszkiem o kieliszek gospodarza. „Wierzaj mi Pani, morze jest prawdziwym żywiołem dla człowieka, ten ocean wspaniały, prześliczny, ogromny, taki cudowny nawet w chwili rozbicia okrętu. Cóż wy tu macie na tej małej ziemi? jaby tu nie mógł wytrzymać; usnąłbym na wieki jak ryba którą z wody wyjmą. Niech żyje morze! Zdrowie Pani! Jutro mój Jérzy kupujemy świecę, a pojutrze, jeśli rodzice pozwolą, w drogę. I to mówiąc jednym łykiem wychylił szklanę.“

## 7.

Jérzy Pleville z zapałem poświęcał się swojej służbie. Odbывszy kilka podróży do Nowej Funlandyi, pod kierunkiem dzielnego Krysztofa wyuczywszy się gruntownie marynarskiego rzemiosła, został mianowany porucznikiem na statku wojennym. Wkrótce potem wypłynął z swoim statkiem z Granville, ale go napadły dwa angielskie korsarskie okręty. Krwawa nastąpiła bitwa, Francuzi bili się



zacięcie, lecz kula armatnia urwała młodemu ich dowódcy nogę, Pleville upadł bez zmysłów i dostał się w niewolę.

Wymieniono go wkrótce, i zamianowano porucznikiem na statku jego wuja, gdzie w czasie nowój walki kula armatnia urwała mu drewnianą nogę. „Wołajcie chirurga!“ zawołał kapitan widząc go upadającego.

„Stolarza, nie chirurga,“ śmiejąc się rzekł Pleville. — Jeszcze raz w roku 1759 stracił swą drewnianą nogę, kiedy dowodził korwetą z którą napadł na trzy statki angielskie i zabrał takowe. Pogorszony stan zdrowia zmusił go do opuszczenia służby na morzu. Zamianowano go więc admirałem portowym w Marsylii.

W roku 1770 kiedy ciągle admirałem portowym zostawał, dał dowód nadludzkiej odwagi i miłości bliźniego, który historia przez długie czasy pamiętać będzie.

Angielska fregata *Alarme* pod dowództwem kapitana Jerwisa (późniejszy lord Sanct-Vincent) oderwana burzą od floty, zapędzoną została do zatoki marsylskiej. Tu czekało ją oczywiście niebezpieczeństwo rozbicia. Doniesiono o tém grożącym nieszczęściu admirałowi portowemu. Udał się natychmiast na miejsce, zabrał z sobą ludzi i kazał spieszyć na pomoc angielskiemu statkowi. Noc była czarna i burza tak straszliwie ryczała, że nikt nie śmiał się z miejsca ruszyć; rozgniewał się admirał, ale go nikt nie słuchał. Wtedy serce jego podszeptało mu radę na którą by może nie jeden wpadł, ale trzeba było takiej odwagi, znajomości i zręczności jakie on posiadał, aby plan swój

szczęśliwie wykonać. Grubą liną obwiązał się u pasa, ze szczytu skały kazał się spuścić do ryczącego morza, które bałwany swoje rozbijało o ostry brzeg. Po nadzwyczajnych wysileniach udało mu się dopłynąć do fregaty, która w kilka minut później jużby się stała pastwą fal. Zręcznym manewrem udało mu się skierować fregatę do portu; ale nie dość na tém, że okręt i mnóstwo ludzi od zguby ocalał, kazał wszystkie szkody zrządzone naprawić, tak że fregata we dwadzieścia dni potém w najlepszym stanie do Anglii odpłynęła.

Zdumiona tak pięknym postępkiem admiralicya londyńska upoważniła kapitana Jerwisa, aby z fregatą swoją powrócił do Marsylii i w jój imieniu admirałowi ofiarował srebrny serwis. Współcześnie dołączono mu następane pismo:

„Panie admirale! Przysługa jaką Pan oddałeś naszej fregacie *Alarme*, obudziła podziwienie całej Anglii. Przedsięwzięcie tak śmiałe i szlachetne zasługiwało, iżby je Bóg szczęśliwym uwieńczył skutkiem. W sercu znalazłeś prawdziwą nagrodę; ale prosimy Pana abyś jako rękojmię trwałej z naszej strony czci, zechciał przyjąć dar który Ci kapitan Jerwis w naszym imieniu doręczy.

Lecz postępek jego znalazł słodsza dla serca w późniejszym czasie nagrodę. W roku 1778 syn jego dostał się w niewolę angielską. Skoro się o tém dowiedziała admiralicya w Londynie, uwolniła go natychmiast i dozwoliła wybrać mu kilku towarzyszy, z którymi swobodnie do kraju powrócił.

Życie Plevilla było szeregiem pięknych i szlachetnych uczynków. W roku **1797** zamianowany został ministrem marynarki. Polecono mu objechać zachodnie brzegi Francyi, i na kosztą podróży wyznaczono **40,000** fr. Wróciwszy oświadczył, że go droga tylko **8** tysięcy kosztowała i **32,000** chciał nazad wypłacić. Nieprzyjął kasyer tych pieniędzy, niechciał ich téż u siebie zatrzymać Pleville i postanowił zbudować po sobie użyteczny dla kraju pomnik, i taki jest początek telegrafu paryskiego marynarki.

Sławą i dostojenstwami zaszczycony (mianowano go bowiem później senatorem i wielkim oficerem legii honorowej) umarł Pleville w r. **1805**, a życia swego osiemdziesiątym.



## Rzut oka na Indye Wschodnie.

— 2  
1.

Z pomiędzy większych podróży morskich, droga do Indyj, Wschodnich jest najnudniejsza; bo wędrowców nuży jednostajność nieba i wody, i bardzo ograniczona jest ilość miejsc spoczynku. Podróż tę odbyłem pewnego razu na statku angielskim, i przybywszy do Kedgeree wymówiłem sobie miejsce na okręcie, którego kapitan płynął z depeszami do Kalkuty. Kiedyśmy przybyli do Indyj, zapuściliśmy się w szerokie i wspaniałe koryto Gangesu. Kapitan statku od dzieciństwa odbywał tę niebezpieczną przeprawę i chętnie zwracał naszą uwagę na wszystkie osobliwości kraju. Ukazawszy nam kilka niebezpiecznych miejsc w rzęce, rękę skierował ku ławicy piaskowej i rzekł: „Patrzajcie Panowie, przed kilkoma laty na tej ławie o mało okręt się mój nie roztrącił, bo jednej młodej damie przyszła ochota kierować stérem. Nieśmiały jój się sprzeciwiał stérnik; a kiedym ją upominał, że ta śmiałość

może nas wszystkich o nieszczęście przyprawić, śmiejąc się odpowiedziała, że umie tak dobrze stérować jak i ja. Tymczasem z nadzwyczajną szybkością przybliżaliśmy się do ławicy; widząc to niebezpieczeństwo, skręciłem tak gwałtownie stérem, że młodej kobiécie obie ręce zwichnął; oburzyli się na to przytomni podróżni, zerwali się ku mnie widząc że młoda dama zemdłała, ale uspokoili się wnet, skorom im pokazał, że krok mój nieludzki uratował wszystkim życie. W rzeczy saméj, okręt ledwo o pół łokcia oddalił się od ławicy i byłby się niechybnie roztraskał, a wtedy w jednéj chwili pożarłyby nas aligatory. To się nierzadko zdarza, ale téż i nie zawsze, bo widzicie Panowie co tu trupów pływa po rzéce.“

„Skąd się biorą te trupy?“ — zapytałem.

„Koryto, którém płyniemy,“ odpowiedział kapitan, „jest ramieniem świętój rzéki Gangesu, a mieszkańcy mniemają że ono ich zawozi prosto do nieba. Dla tego tutaj nie grzebią zmarłych, ale wrzucają do wody; nieraz nie czekają nawet śmierci, i skoro widzą że się stan chorego nie polepsza, topią go w rzéce. Powiadają nawet, że w ten sposób niemało ludzi bogatych pozbyli się krewni z tego świata. Jeśli zważymy tę niezliczoną ilość trupów, którą corocznie do Gangesu wrzucają, to przyznamy że aligatory są prawdziwém dobrodziejstwem dla kraju, bo rzékę i powietrze oczyszczają od szkodliwój zgnilizny. Aligatorom dopomagają lądowe zwierzęta drapieżne; bo kiedy woda w czasie wezbrania morza występuje i trupy

osadza na brzegu, przybiegają szakale i sępy i pożerają zmarłych. Gdyby więc nie aligatory i haje czyli wilki morskie, gdyby nie sępy i szakale, niemoglibyśmy tutaj żyć. Spójrzcie na tego płynącego trupa, na którym siedzi kruk; to czarne co przy nim z wody wystaje, jestto głowa aligatora polującego na łup.

Wszyscy spojrzeli w wskazanym kierunku. W kilka chwil aligator który nam się zdawał podobny do czarnego pnia, dosięgnął trupa, otworzył przednią część paszczęki i razem z potworem znikła zdobycz w zamulonej wodzie.

„Ta okolica“, prowadził dalej kapitan, „jest ową wyspą sławną tygrysami, a jeszcze bardziej sławną przez ofiarę dzieci. Czyście Panowie o tém słyszeli?“

„Słyszeliśmy“, odezwał się jeden z przytomnych, „lecz jeśliś Pan był naocznym świadkiem téj straszliwej uroczystości, chciał ją opisać.“

„Moi Panowie, raz tylko byłem przy tém i za nic w świecie niechciałbym drugi raz toż samo widzieć. Już rząd wstrzymał nieco te okrucieństwa. Więcie zapewne że Indianie wierzą, iż chcąc odwrócić obecne lub przyszłe nieszczęście, trzeba dziecko swoje poświęcić dla przebłagania bóstwa. Kwiatami ustrojeni, w pewnym dniu, w licznym orszaku kapłanów i przy hucznej muzyce, płyną na łodziach ku téj wyspie. Ktoby ujrzał ten pochód weselny, mniemałby że jadą na świetną uroczystość a nie na krwawy i okrutny dramat. Widno że z tém miejscem zaznajomiły się już haje i aligatory, bo w owym dniu



zbiérają się nader licznie tam, gdzie się ta ofiara odbywa. Jeszcze dzisiaj dreszcz mnie przechodzi, kiedy o tém wspomnę. Boże mój, cóż za straszliwy obraz! ten wrzask motłochu, wściekłe podżeganie kapłanów, upajający odgłos muzyki, płacz dzieci dobywających się z wody, pasowanie się drapieżnych zwierząt, które niemal z rąk okrutnych rodziców wyrrywają dzieci, i to morze purpurowe krwią i jasnemi kwiatami, oh! to okropne!“

„Jeden wypadek bardziéj mnie nad to wszystko przeraził. Kobieta pewna uczyniła ślub, ale w niéj odezwały się macierzyńskie uczucia, których stłumić nie mogły nawet najciemniejsze przesady. Od roku do roku zwlekała wypełnienie ślubu. Kiedy dziewczynka jéj miała już lat 13, niespodzianie spotkało rodzinę nieszczęście. Głośno odezwali się kapłani że bóstwo obrażone, i że tylko tém je przebłagać można, jeżeli córkę kobieta owa poświęci. Zdaje mi się że jeszcze widzę tę dziewczynkę. Zaślepieni rodzice zdjéli z niéj złote wisiorki i suknią. Łódź na której się znajdowali, bliżéj niż inne stała lądu i woda była płytka. Kiedy więc ją wrzucono do wody, zerwała się i zanim ją aligator doścignął, uciekła na ląd.

Myślicie że się ocaliła? Gdzietam — głosem oburzenia krzyknęli kapłani, doścignęli ją okrutni rodzice, i chociaż we łzach cała i na klęczkach błagała litości, długim drągiem wepchnęli do wody. Płynął właśnie ogromny aligator; z przestrachu padła bez zmysłów, kiedy paszczękę otworzył i chciał ją porwać. Nie sądzę aby

cierpiała dużo nieszczęsna, chociaż strach jój musiał być okropniejszym jak cierpienie. Ten jeden wypadek utkwił mi mocniej w pamięci, niżeli ofiary innych dzieci które krwawemu bóstwu oddają.“

## 2.

Opowiadanie to przeraziło wielce wszystkich przytomnych tak, że czas niejaki upłynął zanim rozmowa zwykłym biegiem toczyć się poczęła. Liczne aligatory któreśmy spostrzegali w rzęce, znowu zwróciły na siebie naszą uwagę i dziwiliśmy się, jak mogą je mieszkańcy uważać za świętych. „Co dziwniejsza,“ rzekł kapitan, „że chociaż te potwory tylu ludzi pożerają, to przecie Indyanie nie mogą się wstrzymać od kąpieli w tej świętej rzęce, i chociaż codziennie ktoś z kąpiących zniknie, pozostali wracają nazad do rzeki. Mniemam że kiedy oni wypełniają ten święty obowiązek, śmierć uważają jako wyrok bóstwa i nieomylny paszport do nieba. Przed parą laty kilku łotrów skorzystało z tego przesądu. Nie daleko stąd jest miejsce, gdzie mieszkańcy zwykli się kąpać od wieków, i nikt o żadnym przypadku nie słyszał. Nagle znikła pod wodą jedna z kąpiących się kobiet, i odtąd co dzień powtarzało się toż samo nieszczęście. Z początku składano winę na aligatora, ale później odkryto, że łotry

ukryli się w trzcinnie na drugim brzegu świętej rzeki, która tutaj nie jest zbyt szeroka, ale głęboka. Kilku z pomiędzy nich mieszało się zwykle z kąpiącymi, i zanurzywszy się zręcznie przywiązywało sznur do nogi kąpiącej się kobiety, reszta zaś za danym znakiem ciągnęła ofiarę na brzeg. Dziwicie się Panowie dla czego ci mordercy tyle sobie trudu zadawali, ale trzeba wiedzieć, że znakomite i bogate tutejsze damy noszą na sobie ozdoby wielkiej wartości, na ramiona i nogi wkładają ciężkie złote bransolety, których nawet w kąpieli nie zdejmują. Że zaś mniemany aligator wybierał w ten sposób ubrane damy i dziewczęta, to dało powód do domysłów i odkryło prawdę.“ Tymczasem morze zaczęło wzbierać — popłynęliśmy ku jednej wielkiej wsi i tak nieznacznie zapuszczaliśmy się w głąb kraju. Tutaj zbiegowisko ludzi i odgłos hałaśliwej muzyki dały nam znać, że coś niezwykłego się dzieje. Powiedziano nam, że rajah tej wsi udał się do odległego kościoła dla wypełnienia ślubu i że powinien być już wrócić, a jeszcze go widać nie było. Mieszkańcy czynili przygotowania do tańców dla prześlągnięcia bóstwa, obawiali się bowiem, aby ich rajaha nieszczęście jakie nie spotkało. Wkrótce doszliśmy do pagody, gdzie miała się odbyć uroczystość. Kilkunastu ludzi tańcowało; byli zupełnie nadszy, a długie ich i czarne włosy spadały do połowy ciała. Najrozmaitszych skoków z nadzwyczajną chyżością dokonywali; wszystkie członki ciała wykręcali, a rękoma i nogami ciskali jakby szaleni. Raz tworzyli z siebie krzyż, i kiwali gło-



wami, tak że ich długie włosy łączyły się z sobą w środku; znowu odskakiwali od siebie i kręcili głową z taką zwinnością, że w oczach nam się ćmiło. Wszystkim tym niedorzecznym ruchom towarzyszyła brzęcząca muzyka; przed bramą pagody stał siwobrody bramin i laską bambusową takt wybijał. Po niejakiem czasie dał znak. Zmordowani tancerze stanęli, zawiązali włosy na czole i ustąpili miejsca drugiemu orszakowi, który nówce rozpoczął płasy. — „Czy to jest religia?“ zapytałem odwracając się ze wstrętem.

„Spójrz Pan na tych ludzi,“ odpowiedział mi jeden z towarzystwa, „musi ich pobudzać silne przeświadczenie iż takowej czei domaga się od nich bóstwo, bo inaczej czyżby mogli znieść tyle trudów?“

„Moi Panowie,“ odezwał się kapitan, „niejestto wcale najnierozsądniejszy z obrzędów, który im religia nakazuje. Byłem świadkiem przed kilkoma laty obrządku niemniej straszniejszego jak ofiara dzieci o której wam mówiłem. Wiadomo wam że dawniej wdowy braminów szły dobrowolnie na stos za zwłokami swych mężów. Nieraz skłoniła ich do tego miłość, lecz częściej silna wiara w szczęśliwą przyszłość na tamtym świecie, obok pewności okropnego losu jaki ich na tym miał spotkać. W tym kraju wdowa jest powszechnie pogardzana. Jasnych szat ani żadnych ozdób nosić jej nie wolno; do niej należą prace najniższych służących; nie wolno jej inaczej spać jak tylko na gołej ziemi. Natomiast wedle nauki braminów dobrowol-

nie ofiarującą się wdowę czekają rajske rozkosze, i temi obietnicami tyle kobiet potrafili zaprowadzić na stos, że w roku o którym mówię przeszło 300 wdów poświęciło się na śmierć ogniową. Wśród śpiewów i muzyki idzie nieszczęśliwa ofiara w najpiękniejsze szaty przyodziana i kwiatami uwieńczona. Otaczają ją krewni i przyjaciele, ozdoby swoje na upominek rozdaje przytomnym, i z promieniejącém obliczem wstępuje na stos, który aby prędsiej się palił, topioną tłustością oblewają. Jak powiedziałem, byłem przytomny jednemu takiemu obrzędowi. Wdowa była piękna i młoda, obok niej niesiono dziecko kilkomięsczne, na które ukradkiem rzucała niespokojny, trwożliwy wzrok. Z początku w rysach jęj twarzy przebijał jakiś wysoki spokój ducha, ale kiedy poczęto przyrządzać stos, nagle w jęj obejściu zaszła zmiana. Im bardziej budziła się ze sztucznego upojenia, tym mocniej rosła jęj trwoga. W tém dziecko zapłakało. Niewiasta wyrwała się z rąk przyjaciołek i porwawszy dziecinę przycisnęła ją gwałtownie do serca i błagała wszystkich przytomnych o ratunek. Widzieli bramini iż dłużej zwlekać nie mogą, bo inaczej niewiastę zupełnie opuści odwaga; kazali więc oddalić dziecko, usunąć się krewnym i wiedli nieszczęśliwą na stos. Ale ona szamotała się tak gwałtownie i bojaźń śmierci tyle jęj dodała mocy, że kapłani musieli użyć wszystkich sił, aby ją wepchnąć na stos. W tej chwili chcąc zgłuszyć jęj krzyk rozdziérający uczyniono wielki hałas, zahuczały wszystkie trąby i piszczałki. Nie-

szczęsna usiadła i głowę zmarłego małżonka według zwyczaju przytuliła do łona; wtedy płomienie otoczyły ją do koła, i wyrwały ją naszym oczom. Jeszcze raz starała się wydobyć z męczarni śmierci, już chciała zeskoczyć ze stosu, ale ją zatrzymano długimi drągami. Krótką była jej męka; gwałtowny ogień dwa ciała wnet przemienił w popiół. — Dzisiaj rząd angielski najsurowiej zakazał wszystkich tych okrutnych widowisk, ale w głębi kraju, dobrowolnego spalenia się liczne zdarzają się przykłady. “

Tymczasem wróciliśmy na statek, a kapitan licznemi opisami uprzyjemniał nam podróż. Między innemi opowiadał o strasznych pokutach, jakie Indyanie wkładają na siebie wiedzeni szalonym fanatyzmem. Przedewszystkiém odznaczają się kapłani żebrzący, którzy czynią ślub, że się nigdy ani myć, ani czesać nie będą, włosów ani paznogi obcinać; rok po roku żyją pod gołym niebem, śpią na ziemi i karmią się korzonkami. W ten sposób pędząc życie bez pracy, nieużyteczne, i jako zwierzęta; mniemają przecie, że się dosługują wieczystych rozkoszy w raju. Najcięższe utrapienia zadają swemu ciału, ranią je i kalęczą, rozżarzają na niem węgle, w błocie kręcą się w kółko cały dzień. Przez cały miesiąc stoją na jednej nodze, albo ramiona zakładają sobie za głowę tak, że ich niepodobna rozerwać. Inni ściskają sobie ręce, że aż paznogie wrosną do ciała; inni znowu łańcuchami każą się zawieszać na drzewach i huśtani wiatrem w powietrzu karmią się tém co im poda litość przechodniów. Inni je-



szcze zakopują się w murowanym grobie tak wielkim jak ich ciało, z małym otworkiem u wierzchu, którądy pobożni ludzie wpuszczają im pożywienie,

Drugiego dnia podróży rozbiwszy namiot nad brzegiem rzeki, mieliśmy sposobność przypatrzenia się naocznie takim pokutnikom. Jeden z nich długą żelazną dzidą, której końce połączone były ciężkim pierścieniem, przebił sobie oba policzki. Prosililiśmy go, aby wszedł do naszego namiotu. Uczynił to, ale usiąść niechciał, bo zrobił ślub że stać będzie przez lat piętnaście. Dla odpoczynku oparł się o ścianę i opowiedział nam, że już lat **13** docho-  
wuje ślubu. Z początku kiedy go sen zbierał, kazał się przywiązywać postronkiem do drzewa; nogi mu napuchły i okropnych bólów stały się przyczyną. Teraz już się tak przyzwyczaił do stania, że oparty o drzewo zasypia spokoj-  
niej, jak inni w łóżku. Lecz na tych pokutach nie przestał, pokazał on nam dłoń lewą ściśniętą, która mu od lat **12** niebyła do niczego przydatną, bo paznogie wpiły się w ciało, i wrosły między kości. Oprócz tego żył przez cały rok zawieszony na gałęzi. To umartwienie było dla niego najstraszliwsze i najwięcej w niem wycierpiał. Patrząc się na niego więcej zbierało nas oburzenie niżli litość, — daliśmy jałmużnę temu bohaterowi nierozumu i pożegnał nas uszczęśliwiony naszą hojnością.

Następnego dnia przybyliśmy do Kalkuty. Miasto pałaców w całym blasku rozwinęło się przed naszemi oczyma. Naprzód opłynęliśmy twierdzą, której fortyfikacye prost-

padle z rzeki wystają; dalej widzieliśmy warsztaty okrętowe i nieprzejrany masztowy las; dalej piękne spacerów z wspaniałymi pałacami, świeżymi drzewy; nakoniec niezmierną masę domów i wystającą z nich niezliczoną moczynie, kopuły, minaretów, ostrzów pagody i szeroki krajobraz kończył się licznym szeregiem domków wiejskich, połyskujących z daleka świeżością i zielenią otaczających je gajów.

### 3.

Najulubieńszą zabawą Anglików w wschodnich Indyach jest polowanie na tygrysy. Wprawdzie zabawa ta wyępiając najokrutniejsze i najkrwawsze ze wszystkich stworzeń zwierzę, przynosi mieszkańcom niemałą korzyść, ale też z wielkimi połączona jest niebezpieczeństwem. Przeżywszy lat kilka w Indyach opowiem to, com sam widział albo co mi wiarogodni ludzie z własnego doświadczenia powtórzyli.

Tygrys zazwyczaj przemieszkuje w pobliżu wielkich rzek, gdzie mu lasy bambusowe porastające nad brzegami służą za kryjówkę. Tutaj czai on się na swoją zdobycz jak kot i w bezpiecznym miejscu dusi, skoro ją pochwycił w skoku. Nawet wielkie zwierzęta z łatwością unosi w paszczy; widziano go jak włókł konie i bawoły w najchyższym pędzie. Tak wśród marszu angielskiego szwadronu,

tygrys jeźdźca zerwał z konia i uniósł go tak szybko, że go doścignąć niebyło podobna. Inny wskoczył na słońia, ujął Anglika siedzącego w siodle i zarzuciwszy go na grzbiet poleciał. Ze wszystkich flint zmiierzono ku niemu, ale z obawy aby kula nie trafiła człowieka, zostawiono go własnemu losowi. Anglik spadłszy ze słońia z tygrysem, stracił na chwilę przytomność; ale gdy go gałęzie drzew, wśród których tygrys się przeciskał, i ocuciły ujrzał się na grzbiecie straszego zwierzęcia, z niemałym wysileniem dobywszy z za pasa pistoletu strzelił w łeb tygrysowi. Strzał chybił, tygrys mocniej ścisnął zęby i jeszcze większemi sunął skoki. Ból odjął znowu Anglikowi przytomność, lecz wkrótce ocucił się po raz wtóry, i po raz wtóry próbował się wydobyć z straszliwej paszczy. Wyciągnął drugi pistolet, i strzelił tą razą lepiej; kula przez łopatkę przeszła do serca. Przyjaciele znaleźli człowieka bez przytomności obok zabitego tygrysa; dzięki nadzwyczajnej pieczy wrócił Anglik do życia, i tylko utratą nogi opłacił to rzadkie doświadczenie uratowania się z paszczy najdrapieżniejszego ze wszystkich zwierza.

Podobny wypadek spotkał młodego oficera, którego tygrys ściągnął także ze słońia i powłókł za sobą. Miał on tyle przytomności umysłu, że jedną ręką schwycił zwierza za ucho, a drugą wydobywszy pistolet z kieszeni strzelił mu w brzuch. Jeszcze z jakie tysiąc kroków włókł tygrys swoją ofiarę, aż upływem krwi zmęczony puścił nareszcie; właśnie téż nadbiegli towarzysze podróży, dobili



tygrysa, a oficera oddali lekarzom, który w nagrodę swego męstwa mianowany został kapitanem.

„Lecz nie zawsze tak szczęśliwie kończy się walka z tygrysem; bo rany, które on zadaje, głębokie są czasem nad ćwierć łokcia i zwyczajnie bywają śmiertelne, choćby nawet ofiara z paszczy się wydobyła. Temu to przypisać należy przesąd mieszkańców, że ukąszenie kłów tygrysiich jest śmiertelnie zjadliwe. Jeżeli tygrys dręczony jest głodem, nie wstrzyma go nawet ogień, który wszystkie inne drapieżne zwierzęta odstrasza. Tego dowodzi nieszczęśliwy los pewnego Anglika, który z kilkoma przyjaciółmi usiadł pod cieniem drzewa i rozłożył ogień; nagle piorunujący ryk tygrysi rozdarł ich uszy i w téjże chwili zwierz uniósł nieszczęśliwego. Wszyscy wystrzelili za zwierzem z którym się połączyła tygryśnica, i dosięgli go szczęśliwie; Anglik złany własną krwią przyczołgał się do ognia; wdrapał się czémprędzej na łódź, którą odbił od brzegu. W téj saméj chwili wściekła pokazała się tygryśnica; chciała skoczyć, ale już łódź była za daleko; stanęła więc na brzegu i wlepiła ślepie w człowieka, który wszakże mimo wszelkiej pomocy lekarskiej we 24 godzin skończył.“

Jeżeli tygrys najadł się, do czego za każdą razą potrzebuje barana albo ćwiartki wołu, leży gnuśnie, ucieka nawet od człowieka, szuka ustronnego miejsca aby tam spokojnie trawić. Pewien podróżny opowiada, że zapuściwszy się za zającem wszedł do gęstwiny i z wielkim przestрахem ujrzał tam tygrysa. Zwierz w téj chwili

obudził się ze snu i spojrział rozdaśanym wzrokiem, lecz potem podniósł się, i z wolna i spokojnie usunął się przechodząc koło służących, którzy właśnie konie ubiérali. W gęstwinie widziano napół zjedzonego wołu.

Powiadają że na polowaniu strzelono do tygrysa, którego wzięto w gęstwinie za dzika. Odszedł spokojnie nie szkodząc nikomu, a w miejscu jego leża znalezione niedogryzioną owcę.

Przytomność umysłu a częściej traf szczęśliwy ratuje ludzi od tygrysów. Silny wzrok straszy to zwierze podobnie jak lwa, bo ono się boi oczów ludzkich. W ten sposób ocalił się oficer, który nie mając żadnej przy sobie broni spotkał wielkiego tygrysa. Przez kilka godzin odważnie wpatrywał się w niego i nakoniec zmusił do ucieczki. Nadzwyczajne przypadki straszą częstokroć tygrysa i do ucieczki skłaniają. Pewien Anglik siedząc na słońiu w czasie polowania z przestachem spotkał tygrysa, który nie mniej jak on przestraszony, stuliwszy ogon czémprędzej uciekł. Podobnież zaręczano mi za prawdę następnego zdarzenia.

W Maju roku 1833 w skutek gwałtownej burzy w miejscu pewnym nastąpiła powódź, która zalała posiadłości Pana Campbell, tak że z trzech tysięcy ludzi, którzy tam żyli, tylko 700 zdołało się ocalić. Ci zaś schronili się na dach i balkon swego domu. Już dom był tak napchany że dla jednego człowieka niebyło więcej miejsca, kiedy ukazał się ogromny tygrys ze spuszczoneym ogonem, i widocznie wśród największego strachu przeciskał się między

ludźmi. Wszedłszy do pokoju gdzie się znajdował Pan Campbell, wcisnął się w kąt i położył jak pies. Natychmiast pan Campbell pochwycił za strzelbę, wymierzył celnie i zabił na miejscu.

## 5.

Z urzędowego sprawozdania pewnego małego okręgu przekonać się można, jak wiele jeszcze tygrysów znajduje się w Wschodnich Indyach i jak wielu ludzi ginie ofiarą ich żarłoczności. Jakóż w jednej okolicy 84 osób w ciągu roku od tygrysów zginęło; wsie zaś położone bliżej lasów bambusowych tak często były przez tygrysów nawiedzane, że mieszkańcy zupełnie je opuścili. Gdzie człowiek zginął od tygrysa, wbijają tam drogę z czerwoną chustką na znak i budują chaty. Tam zbierają się podróżni na modlitwę; lecz jeżeli w tém miejscu kogoś drugiego tygrys zgładzi ze świata, to już takiego uważają Indianie za grzesznika a jego śmierć za wyrok boży. Jeżeli na dwóch ludzi jednakie pada podejrzenie zbrodni, obu rzucają tygrysowi, a ten którego on sobie za pożarcie wybiera, uważa się jako przekonany o zbrodnią.

Często jeden z takich potworów w całej okolicy sprawia okropne spustoszenie. Tak naprzykład w pewnym wąwozie rozłożyła się obozem tygrysica z dwoma małemi, i co dzień po kilkoro ludzi dusiła. Jednego razu rzuciła



się na **12** kuryerów, skąd taki padł strach, że przez kilka tygodni niebyło żadnej komunikacji między dwoma miastami. Droga tamtędy wiodła tylko dla pieszych. Nikt więc nie ważył szarpnąć się na potwora, chociaż wysoką cenę na to nałożono. Pewien Anglik przebywał tę drogę w Palankinie niesiony przez **8**<sup>iu</sup> ludzi. Lecz ci skoro zobczyli tygrysię, nie chcieli iść dalej; a że Anglik nie rozumiejąc ich słów, nie wiedział o co chodziło i upierał się aby go w górę niesiono, zostawili go samego i uciekli. Podróżny byłby zginął niechybnie, gdyby się nagle niepokazał oficer z oddziałem **40** żołnierzy. Ci starali się zbliżyć do zwierzęcia, ale tygryśica skryła się do jaskini i z niej nie wychodziła dopóki stali żołnierze. Potém rozpoczęła na nowo rozboje, aż ją ubili na wielkiem polowaniu. Powiadają, że **50** ludzi zdusiła.

Do polowania na tygrysy zwyczajnie używane są słoń — konie jako bojaźliwe są nieprzydatne — słoń zaś silniejszy jest od tygrysa, i kiedy między nimi dwoma wytoczy się walka, najczęściej go słoń położy. Słoń stara się swego przeciwnika podnieść trąbą w górę, ale jeżeli tygryśowi uda się złapać go za trąbę — wtedy słoń zginął. W ogólności zwierzęta te zalecają się wielką roztropnością w polowaniu na wszelkie zwierzęta żarłoczne. Książęta indyjscy odbywają na nich wielkie polowania, na które sprowadzają po kilka tysięcy pieszych i jezdnych. W tym celu wybiera się wielki plac zarosły trawą i trzcina bambusową, a na drzewach urządza się wysokie strzelnice.

Wtedy zapalają trawę i trąbami i strzałami wypędzają tygrysów. Z wściekłością rzucają się one na słońce i wtedy je witają strzałami i dzidami, celniejsi zaś mierzą ze strzelnic. Na takich kosztownych wyprawach upoluje się nieraz 20 lub 30 tygrysów. — Ale więcej nad nie, do oczyszczenia Indyj z téj plagi przyczyniła się odwaga kilku Europejczyków. Tak n. p. jeden Niemiec dosyć wielką wyspę oczyścił ze wszystkich zwierząt drapieżnych; inny własną ręką zabił 360 tygrysów. Skoro tylko mieszkańcy spostrzegą miejsce, w którym tygrys ukrył reszty łupu, czém prędzej budują strzelnicę i z niej strzelają do zwierza, kiedy wraca do żeru. Nie raz dla uwolnienia się od nich kopią fossy. W północnych Indjach jest zwyczaj, że w tych miejscach, w których tygrys przebywa, rzucają liście pomazane lepem. Skoro on na nie stąpi i nie może się z nich otrząść, gniewa się, porusza coraz gwałtowniej, jeszcze więcej liśćmi oblepia, wpada w wściekłość, kręci się w kółko, przewraca, zalepia sobie nos, uszy, oczy, i straszliwie ryczeć poczyna. Wtedy nadbiegają Indyanie i z łatwością go zakłuwają. Kilka jeszcze przykładów prawdziwie cudownego ocalenia z tygryskich pazurów przytoczę. Kapitan stojący w Bombay polował pewnego dnia z dwoma przyjaciółmi i niespodzianie napadł na tygrysa. Tygrys leżał na przeciwnym brzegu małej ale głębokiej rzeczki; obok niego rozciągnięty był trup człowieka okropnie poszarpany. Nagle podniósł się i spojrzał przybyłym w oczy, jakby chciał sobie wyszukać wieczery na następny

dzień. Zagrzmiały wszystkie strzelby; ciężko raniony zwierz padł. Kapitan nie wątpił, że strzały były śmiertelne; nie mając więcéj kul nabił siekańcami, przebył rzekę i chwycił się właśnie gałęzi drzewa chcąc się wydrapać po stromym brzegu, kiedy tygrys na niego się rzucił. Tyle tylko nasz kapitan miał czasu, że z flinty jeszcze raz wypalił — potem padł na ziemię. Potwór aczkolwiek w bruchu miał trzy kule i ładunek siekańców, przewracał nieszczęśliwego kilka minut po ziemi, jakby się chciał nim bawić. Nareszcie ogromną łapę położył na ustach swojej ofiary. Kapitan przez czas niejaki wytrwale znosił ten ciężar, ale kiedy zwątpił, że tygrys dobrowolnie swą łapę usunie, otworzył nieco usta i ugryzł go w nogę z całą siłą. Ten śmiały podstęp udał się, jednakże tygrys cofając z gniewem łapę, zdarł oficerowi część policzka i poszarpał nos. Poczém jakby zmęczony odsunął się na bok, ale ślepie wlepił w nieszczęśliwego. Kapitan chociaż z niego krew się lała i dotkliwie znosił cierpienia, nie drgnął nawet na chwilę, dopóki towarzyszy swoich w pewnej odległości nie ujrzał. Wtedy zebrał się co miał tchu w piersiach i krzyknął na pomoc. Ale tchórzliwi przyjaciele zoczywszy zwierza, czémprędzej uciekli. Tygrys wstał i to paszczą, to łapą, włókł lub zataczał ofiarę do jaskini. Kapitan chcąc uniknąć śmiertelnego ukąszenia wpakował zgiętą rękę w paszczę swemu nieprzyjacielowi. Tygrys skruszył mu ramię, ale i ten nowy ból musiał znieść ów człowiek wytrwale, bo nawet jednego okrzyku boleści nie



wydał. Wtedy tygrys przysunął się i przyłożywszy paszczę do ust wahał, jakby się chciał przekonać czy jeszcze żyje, poczem oddalił się o dziesięć kroków i znowu wrócił i znowu wahał. Za każdym zbliżaniem się tygrysa musiał nieszczęśliwy wstrzymywać oddech. Dopiero po długiej godzinie męki poczęły się objawiać skutki odebranych razów — tygrys chwiał się, przeciągł, i wreszcie padł nieżywy. Jeszcze przez godzinę leżał spokojnie kapitan, potem wstał i próbował powlec się; ale ciężkie rany utrudniały mu ruch. Na szczęście nadeszło kilku chłopów, którzy go zanieśli do swych namiotów i troskliwie pielęgowali. Przez pięć miesięcy nie wstawał z łoża; w ciężkich boleściach zwątpił o swém wyleczeniu, lecz dzięki troskliwej pieczy i pomocy doktorów wrócił do zdrowia zupełnie.

Inną razą tygrys porwał oficera angielskiego. Na szczęście na oficerze wisiała flinta, której pasy szamotały się między kłami tygrysa i niedozwolily mu ścisnąć paszczy. Z gniewu cisnął swoją zdobycz na ziemię i poleciał. Oficer lekko ranny ukazywał potem flintę, której zawdzięczał swój ratunek. Na jednej lufie widać było ślady wciśniętego kła.

Przed 30<sup>a</sup> laty zdarzył się niesłychany wypadek świadczący o ogromnej przytomności umysłu pewnego półkownika, który wzrostem o sześć stóp przechodził i siłą ciała przenosił wszystkich. Rozłączywszy się z towarzystwem na polowaniu ujrzał tygrysa, który właśnie

się ułożył chcąc na niego skoczyć. Półkownik zapomniawszy nabić flinty rzucił ją na bok i z rozwartemi ramionami przyjął tygrysa, a potem literalnie zadusił na śmierć; jedna tylko łapa pozostała wolna zwierzęciu, i nią zdarł mięso ze szczęki półkownika. Tygrys był wprawdzie młody, ale dość silny aby zmódrz nieuzbrojonego człowieka.

## 6.

W dzikiej okolicy wśród lasów na czele małego oddziału odbywał marsz pewien młody oficer, kiedy z pobliskiej wsi przystąpili do niego ludzie i oznajmili że wśród dnia ukazał się wielki tygrys i już kilku ludzi zabił lub zranił śmiertelnie. Najlepsi strzelcy na próżno do niego strzelali, skąd wnoszono że albo zwierze albo kule były zaczarowane. Oficer zarzucił na ramię dwie dubeltówki i ruszył na wskazane miejsce. Za przybyciem do wsi całą ludność ujrzał w wielkim popłochu. Każdy widział tygrysa, lub zdało mu się że go widzi i co chwila krążyły fałszywe pogłoski. Ludzie powyłazili na dachy lub drzewa, jedni tam drudzy owdzie wskazywali, a inni z różnych stron pędzili w pośpiechu twierdząc że ich tygrys ściga. Po długim szukaniu udało się nareszcie oficerowi znaleźć tygrysa. Położył się on w kępie drzew w ogrodzie

przy chłopskiem mieszkaniu. Ponieważ mieszkania Indyan ze wszystkich stron są otwarte, udało się oficerowi, będąc samemu ukrytym, zmierzyć się do zwińrżenia i kulę wpakować mu w szyję. Zerwał się z bólu i wściekłości tygrys, przyskoczył do chaty; ale że tam wroga swego nie widział, zwrócił się i pośpieszył ku lasowi; w ten czas chłopi jako wojsko rozproszone rozbiegli się na wszystkie strony. Tą razą trzeba było wyszukać jakiegoś miejsca wznioślejszego, bo krzewy i trawa wysoka ukrywały tygrysa. W tym celu już się oficer na drzewo wdrapywał, kiedy tygrys zoczywszy go wyszedł z gęstwiny. Na szczęście oficer miał dosyć czasu zmierzyć się i wystrzelić, kula zwałała zwierza, ale się znowu podniósł i kręcił w koło z wściekłości i bólu. Wtedy drugi strzał z innój lufy trafił tygrysa, ale i tą razą nie śmiertelnie. Wściekłość i zażartość jego zwiększała się coraz bardziej, ale był to gniew szalony; bo najprzód rzucał się na drzewa, a potem zwracał się dopięro ku widzom — ci ostatni byli dość daleko, a przytém dosyć przezorni, że ilekroć tygrys na nich spojrział, uciekali zawczasu. Oficer mógł się nazwać szczęśliwym, że zmieniawszy stanowiska nie wpadł w oczy zwińrżeniu; bo dwie jego nienabite flinty nie na wieleby mu się przydały. Tygrys miał dwie kule w szyi a jedną w głowie, a przecież zdawał się być w pełnój sile; późno dopięro wrócił się do wsi i schronił do stajni. Lecz i tam ruszył za nim oficer z nabitą strzelbą.

Zbliżywszy się pod szafas począł w ścianie bambuso-



wój wiercić dziurę, a skoro to spostrzegł tygrys, rzucił się na ścianę i zmusił swego nieprzyjaciela do ucieczki. Udało się zwierzęciu między szparami głowę i łapy wystawić, oficer zaś w odległości 8<sup>iu</sup> kroków wpakował mu kulę w ucho. Wyrwał się tygrys ryknawszy okropnie, sunął w sąsiedni ogród i skrył się w gąszcz. I tam poszedł za nim niezmordowany strzelec, skrywszy się dla obrony za drzewo. Ujrzał go tygrys, powstał i mruczając spojrzał w oczy; w tém nowa kula zwała go na ziemię. Kiedy chłopci widzieli go leżącego, przybyli z drągami i wkrótce dobili. Był to największy tygrys, jakiego w owój wsi widziano, otrzymał pięć ran, a każda mogła być śmiertelna.

Jak wielka jest różnica między charakterem tygrysa a lwa, okazuje się z następnego przykładu. Lew nie tylko jest silny ale dumny i wspaniałomyślny; tygrys zaś, jak o tém niezliczone świadczą dowody, bez potrzeby okrutny. Dobry mój znajomy Pan W. z jednym kapitanem i dwoma innymi przyjaciółmi jechał na słoniu polując na lwa. Nie ujechali daleko, kiedy spotkali lwa i zabili go. Ledwo nabili strzelby, kiedy głośny ryk innego lwa oznajmił im w pobliżu. Któs z towarzystwa wsiadł na konia i pośpieszył donieść o nim drugim. Lecz zaledwo o sto kroków się oddalił, kiedy ujrzał że go zwierz ściga.

Spiąwszy konia ostrogami puścił galopa i udało mu się rzeczywiście dotrzeć na miejsce gdzie go inni czekali. Siadłszy na słoniu puścili się razem w stronę, z której słyhać było poryk lwa. W téj samej chwili śmiało prze-

ciw nim wyskoczył odważny nieprzyjaciel. Wszystkie strzelby ku niemu zmierzono o dwadzieścia kroków, wypalono i wszystkie trafiły. Lew jakby go nic nawet nie drażnęło, jednym skokiem siedział już słoniowi na głowie. Na szczęście dojeżdżacz, który jechał na słoniu, był człowiek odważny i do podobnych spotkań nawykły; żelaznym hakiem zastawił się i począł kłuć lwa — zwierze zsunęło się, lecz wnet z tyłu przyskoczyło i jednego jeźdźca wyparowało z siodła. W tém kula przez mordę przeszła mu w kark, zeskoczył lew a słoń popędził dalej. Ledwo go można było wstrzymać w przestachu i wtedy Pan W. postanowił zsiąść i ścigać pieszo straszego nieprzyjaciela. Odradzali mu towarzysze i tylko z szlachetności udali się za nim, jakoż znaleziono znowu lwa gotowego do walki — rzucił się natychmiast na Pana W. który z prawej lufy wystrzelił, ale nie miał dość czasu aby z lewej wypalić. Widząc ten skok zwierzęcia dwaj towarzysze stracili przytomność, bo że i dotąd wytrwali, było na nich za wiele, uciekli więc i skryli się w gęstwinie. Bronił się Pan W. strzelbą, ale srogi nieprzyjaciel powalił go na ziemię. W téj stanowczej chwili kapitanowi spaliło na panewce, musiał więc cofnąć się wołając o pomoc. Tymczasem lew nie uczynił nic złego powalonemu przeciwnikowi — położył się tylko w pobliżu i pilnował go.

Tymczasem poczęło się ściemniać. Kapitan który nie mógł znieść niebezpieczeństwa przyjaciela, oczyścił flintę i wrócił czém prędzej na miejsce. Lew stał ciągle

przy Panu W. który leżał bez ruchu. Kapitan zmiérzył, i zabił lwa. Pan W. otrzymał lekką ranę i pojechał z kapitanem, a z nimi połączyli się obaj trwożliwi przyjaciele. W ciele lwa znaleziono dziewięć kul, dopiero ostatni strzał przerwał mu organ życia.



## Arab i Koń.

---

### 1.

W pewnej Oazie pustyni Egipskiej osiadło nieliczne plemię niegdyś koczujących Beduinów. Był to jeden z niewielu szczątków dawniej wielkiej potęgi Wehabitów, którzy się oderwali od nauki Proroka i gardzili koranem.

Już słońce zaszło i nagie skały pustyni skryły się w mroku wieczornym, za którym rychło zesza zupełna ciemność nocna. Nieliczne plemię zebrało się przed białym namiotem około starca Selima patryarchy, słuchając dawnych dziejów i mądrych przypowieści, kiedy ze wschodu nadciągnęła cała karawana, która Oazę wybrała za spoczynek i w pobliżu rozbiła namiot. Zapłaciwszy zwyczajny podatek, rozłożyli drzewo i wkrótce zajaśniał ożywczy ogień. Przy nim zasiadł naczelnik karawany. Był to kupiec arabski, z którego rysów można było poznać chytrego i przebiegłego człowieka. Koło niego na bogatym dywanie rozłożyli się towarzysze i zanim ugo-

towała się baranina z ryżem, niewolnicy podali fajki i czarną kawę. Przyłączyli się Beduini. Stary Selim opowiadał o wielkich czynach swoich przodków — o wielkim nauczycielu, o owym sławnym Szeiku Sehudzie pierwszym księżęciu Wechabitów, poczem tak dalej mówił:

„Nie miałem jeszcze lat 16<sup>tu</sup>, kiedym się po raz pierwszy z wojną spróbował. Wielu nieprzyjaciół zabiłem, powiadano żem się przyczynił do zwycięstwa, obdarowano mnie zato bogatym turbanem ze złotymi frendzlami. W dwudziestym roku byłem już chorążym, nosiłem piękną jedwabną szatę, którą mi dano wraz z złotolitym pasem. Wkrótce potem najpiękniejsza córka Szeika została moją żoną. Cześć i bogactwa spłynęły na mój dom. Na wrogach ojczyzny w licznych bojach zdobyłem mnóstwo kosztownych dywanów, wspaniałych szat, pierścieni, łańcuchów i wszelkiego rodzaju kosztowności; a kiedym przy zdobyciu Mekki ocalił młodego Saida, który był przyjacielem od serca naszego Emira Sehuda, przywołał mnie książę do siebie i dozwolił wybrać ze stajni najpiękniejszego konia. Była to klacz, biała jako piana morska, chód miała wspaniały i oczy jako dwa żarzące węgle. Poczem książę tak się do mnie odezwał: Młody jesteś a już w chwale posiwiasteś na usługach kraju, walczyłeś dzielnie i zwycięzko, memu najlepszemu przyjacielowi uratowałeś życie. W nagrodę tych pięknych czynów od dziś dnia zostajesz Szeikiem twego pokolenia i to zwierzę nieporównanej piękności należy do ciebie.“

Tu starzec się zatrzymał, z piersi wydobyło się westchnienie, stłumionym głosem mówił dalej: „A dzisiaj czémże jestem? Biedny opuszczony starzec bez żony i dzieci, bez potęgi i bogactwa. Żona umarła, poginęli synowie, skarby zabrali Egipcyanie; nic mi się mi zostało, nawet moja klacz ukochana — bo i ta zginęła z synem. Ale nie! jój córka przepyszna klaczka Nera została mi na szczęście. Ona to i mój wnuk Josuf — oto jedyne, drogie zabytki dawniej potęgi. Josuf jest dumą mego serca, klacz okiem mojej duszy. Bo zaprawdę, piękniejszego konia w całej puszczy nie zobaczysz! Zanim odjedziesz, rzekł zwracając się do kupca, każę ci wyprowadzić Nerę.“

Było już późno; skoro więc starzec skończył rozeszli się wszyscy na spoczynek. Kupiec serdecznie uściśnął starego, życząc mu i jego towarzyszącej spokojnej nocy.

Cisza i noc ciemna zaległa pustynią, kilka tylko gwiazdek nad Oazą błyszczało. Uroczysty spokój przerywany cichym szmerem strumyka — wszystko usnęło, tylko nad brzegiem strumienia siedział człowiek; głowę wsparł na rękę i oczy nieoderwanie wlepił w wodę. Był to Josuf wnuk Selima. Opowiadanie starca, jego czyny bohaterskie, jego zwycięstwa — to wszystko rozdrażniło żywą fantazyą młodzieńca, rozbudziło uspioną ruchliwość, i spędziło sen z oczu chciwego sławy. „Nędzny jestem i ubogi,“ mówił do siebie, „nicem nie przyniosł dla sławy i uczczenia mego imienia. Nie dla mnie życie pasterskie, bo od dzieciństwa w żyłach mych czułem krew boha-



terską. Ale skąd turbana, skąd broni dostanę? umrę z boleści, jeśli mi dłużej przyjdzie wieść mój żywot niesławny.“

Wśród takich rozmyślań przepędził noc. Jeszcze o świcie zdybał go przy źródle kupiec, który przyszedł dopełnić obrządku umywania. Z niemałym zdziwieniem ujrzał młodzieńca i zapytał o przyczynę bezsennie strawionej nocy.

„Spać nie mogę,“ odpowiedział Josuf; „ten płaszcz wełniany ciąży mi, skorom usłyszał czyny bohaterskie mych przodków — dążę do chwały, zwycięstwa i bogactw; ciąży mi ten miecz, bo chciałbym mieć złotą zbroję.“

„Nic łatwiejszego,“ odrzekł kupiec, „Zadika godna wnuczka Wohaba bohaterska niewiasta i Faisol dzielny młodzian jeszcze w tym roku z wiernymi Mohabitami wyruszą na Egipcyan.“

„Ale ja jestem biedny,“ z rozpaczą wykrzyknął młody Beduin, skąd wezmę pieniędzy aby klaczy mojej sprawić piękną uzdę i złotej broni nakupić, iżbym mógł godnie jako wnuk mego dziada wystąpić?“

„Pokażcież mi tę klacz, o której tak wiele mówicie,“ zawołał kupiec.

Zerwał się Josuf, poskoczył do namiotu i z dumą wyprowadził najpiękniejsze zwierze, któremu może nigdy Arabia nie wydała podobnego. „Prawda, wspaniały koń,“ podziwem przejęty zawoła kupiec. „I ty się skarzysz

jeszcze na nędzę. W całym pokoleniu niema ci równego bogacza, 3000 piastrow zapłacę ci od razu za twoją klacz.“

Josuf stanął przerażony, słowa kupca ubodły go jak sztyletem. „O nie,“ zawołał, „Nery mojej nigdy nie sprzedam, tej pieśczoły mego dziada, chwały mego domu, choćbyś dziesięć razy dawał tyle, nie, za nic jój nie pozbędę.“

„To już ja ci nie pomogę mój chłopcze. Wszystkie życzenia mógłbyś zaspokoić, najpiękniejsze szaty wdziać na siebie i jeszczeby ci wystarczyło pieniędzy na kupienie trzech innych klaczy. Mógłbyś być chorązym i dowódcą oddziału, ale nad sławę i zaszczyty droższą ci jest klacz twoja. Bądź więc czém jesteś i zostaw mnie w pokoju!“

Oniemiał Josuf — obok niego stała klacz i patrzyła smutnie jakby rozumiała każde słowo. Ciężka troska spadła na jego duszę, ciężka wszczęła się w nim walka. W zadumaniu ledwo spostrzegł, że karawana ruszała do odjazdu i że wszystko wybiegało z namiotu pożegnać podróżnych. Kupiec zanim wsiadł na wielbłąda, zbliżył się do niego raz jeszcze i rzekł: „Zowię się Hamad i mieszkam w Anegzy; jeżeli będziesz miał do mnie interes, to przyjedz w ciągu czterech tygodni, bo potem jadę do Kairu.“

Chciał odpowiedzieć Josuf, ale w tej samej chwili spostrzegł dziada jak z wieloma innymi otoczył Nerę i pieścił się z nią. Zamilkł więc, lecz oczami ściigał długo odjeżdżającą karawanę, uściskał klacz i począł płakać

gwałtownie. Nera zarząła i przypatrując się długo swemu panu, oparła łeb o jego ramię.

Od téj chwili znikły dla młodego Beduina dni radości, znikł umysł swobodny. Błakał się on samotnie i rozmyślał nad słowami naczelnika karawany, które mu w dzień i w nocy stały w głowie. Nie marzył o niczém tylko o bogatych łupach, o miastach zdobytych i zwalczonych wrogach. Dziwili się téj nagłej zmianie Beduini, lecz nikt jój nie mógł wytłumaczyć. Tak upłynęło kilka tygodni, kiedy ktoś z sąsiedniego pokolenia przybył z wiadomością, że Wechabici w górach ruszają się na nowo i pod Szeikiem Faisolem zbierają się na Mekkę. Dłużej już Josuf wytrzymać nie mógł, upadł do nóg starcowi i błagał go aby mu pozwolił iść na wojnę, bo inaczej nigdy nie będzie miał pięknych szat i naczyń złotych.

„A więc chcesz się bić nie dla prawdy i nie w obronie pocziwój sprawy, ale dla skarbów, dla zdobyczy chcesz mnie starego bezwładnego opuścić. Na wojnę peha cię próżność i chciwość. O mój synu upamiętaj się, ujrzyj te nikczemne bodźce, pozostań i nie opuszczaj starego, któryby nie przeżył straty ostatniego dziecka. Pozostań, proszę cię, rozkazuję tobie!“

Przytomni płakali, i wspierali prośby starca. Josuf nie mógł się oprzeć ich życzeniom. Uspokoił się, odszedł w milczeniu i zdawał się poznawać swój błąd. Wszakże w gruncie duszy inaczej było. — Zaledwo dzień zaświtał, wymknął się Josuf z namiotu, odwiązał klacz, wskoczył i



ostatni raz spojrzawszy na namiot starego, jak strzała poleciał w pustynią.

Wkrótce Josuf zajechał do Anegzy — wyszukał kupca i ze łzami oddał mu klacz. Chytry kupiec przyjął go gościnnie, stół zastawił napojem i pokarmem, lecz Josuf nie chciał nic przyjąć i rzekł: „Kończ prędko, wylicz pieniądze, bo mi serce pęka z żalu.“ Klacz stała smutna na dworze, jakby przeczuwała, co za los ją spotka. Josuf odebrawszy pieniądze od kupca zbliżył się do niej, uściskał na pożegnanie, i z rozdartém sercem oddalił się. Prędko zażądał nowego konia, kupił turban, obuwie, pas, broń, i odzież, a wszystko najlepszego gatunku. Próżność jego uspokoiła go wkrótce, i kiedy się ujrzał tak świetnie przybranym, zapomniał za jaką cenę nabył tych drogości. Skoczył na konia i popędził. Z pieniędzy nic prawie mu się nie zostało, tylko nadzieja owych skarbów, które miał zdobyć, dodawała mu sił. Mimo to cisnęły się wspomnienia o starcu i o koniu, kiedy posłyszał tentent konia i ujrzał jeźdźca. Ale jakież było jego zdziwienie! koń na którym ów jeździec pędził — była to jego Nera. Wkrótce po jego odjeździe przybył do kupca Szeik arabski i zoczywszy konia poznał w nim szlachetną rassę i nabył. Klacz skoro pana swego spostrzegła, zarżała, podniosła głowę, i przybiegła do Josufa. Po zwykłym powitaniu dowiedział się Szeik, który się zdziwił niemało nie mogąc klaczy wstrzymać, że Josuf dopięro co odprzedał ją kupcowi. Ale z oburzeniem usłyszał Beduin iż Szeik

**6000** piastrow za klacz zapłacił, i kupcowi, który go tak haniebnie oszukał, krwawą zaprzysiął zemstę. W ciągu rozmowy dowiedział się Josuf, że nowy jego towarzysz podróży był to Szeik Achmed, który w tęż samą dążył drogę; że służył w wojsku paszy Egiptu — wyuczył się od niego rzemiosła wojennego, i że teraz dąży do swoich, aby doświadczenia swego użyć na szkodę nieprzyjaciół.

Trzeciego dnia podróży obaj towarzysze wjechali w szeroką, pustą i skalistą dolinę. Ledwo uczynili kilka kroków, kiedy z poza skał wypadł orszak egipskich żołnierzy, a ich dowódzca krzyknął do Achmeda: „Podдай się zdrajco! Pasza zna twoje zamiary — podдай się nikczemniku!“ Achmed dobył miecza i bronił się walecznie poparty przez swych niewolników — ale Josuf uciekł i skrył się między skały. Strzelono za uciekającym, kula ubiła mu konia; prędko się jednakże wydobył, i wdrapał między skały.

Tymczasem jeden z egipskich żołnierzy przyskoczywszy z tyłu uciął głowę Achmedowi i kadłub jego zwałił się na ziemię, w chwili kiedy Josuf drapał się na najwyższy szczyt i przyglądał utarczce. Już jeden z Egipcyanów chwycił za konia, kiedy Josuf krzyknął głośno: „Nera, Nera!“ Klacz ledwo głos ten posłyszała, zaiskrzyły jęj się oczy — i jak błyskawica przedarłszy się przez szeregi przypadła do skały, skąd ją głos dochodził.

Wskoczył na nią Josuf i jak wichur mignął się tylko między skałami i wnet go Egipcyanie z oczu stracili.

Cóż za radość, konia swego odzyskał, ale na koniu było siodło Achmeda, a w nim jego kiesy napełnione białymi sztukami złota. Spotkawszy karawanę kupił od niej kosztowne makaty, drogie materye, bogate dywany, wielką moc wielbłądów i niewolników, bo próżność podszeptała mu plan, aby się podać za Szeika Achmeda i w miejsce zabitego stanąć na czele wojska. — Udało mu się jak zamierzał, wyprzedziła go wieść, i kiedy przybył na miejsce zebrania, Wehabici przyjęli go ze czcią i radością. Biesiady po biesiadach wyprawiano. Do wszystkich plemion Wehabickich wyprawiono gońców z doniesieniem iż Achmed przyjechał, i że wszyscy w umówionym dniu mają się zgromadzić, aby razem na Ibraima paszę uderzyć. Jeszcze więcej podziwienia niżeli Pan budziła klacz jego Nera i tak płynęły dni szczęśliwe oszustowi.

Ale gwiazda świetna ku zachodowi się miała i już całkowitem zagaśnieniem groziła. W kilka dni po przybyciu dowiedział się Josuf, że ciągnie tutaj kupiec z Anegzy i dla wojska przywozi potrzebne zapasy. Ta wiadomość nabawiła go wielkiego strachu — przez trzy dni wyjeżdżał na przeciw Hamadowi, chcąc bądź co bądź wykupić na nim milczenie. Nareszcie nadciągnęła karawana, kupiec z niemałym zdziwieniem ujrzał Josufa na Nerze i w książęcym przyborze. Drząc opowiedział Josuf kupcowi ostatnie wypadki, błagał go aby go nie zdradził i przyobiecował po książęcemu go wynagrodzić. Po chwili namysłu rzekł kupiec: Daj mi klacz a słowa nie powiem.



Z początku Josuf nie chciał o tém słyść, wszystkie skarby swoje mu obiecywał byle mu tylko klacz zostawił, lecz kupiec powtarzał jedno: „Nie dasz klaczy, to wszystko wypowiem.“ Przystał więc Josuf i przyobiegał w dniu odjazdu karawany za miastem z klaczą swą czekać na kupca. W trzy dni potóm pociągnął dalej Hamad. Czekał na niego Josuf, a zoczywszy ze smutkiem zsiadł z konia i z rozpaczą ścisnął go za szyję.“ „Towarzyszko mój młodości,“ wołał, „niegodziwy jestem człowiek, bo po raz drugi cię oddaję. Gdzież mnie to zawiodła duma i kłamstwo!“ Nie chcąc dłużej sobie serca rozdziierać oderwał się od konia, który za nim patrzył z tęsknotą, i uciekł na ustronie chcąc tam płakać noc całą. Jakóż dopiero nazajutrz wrócił do miasta i ze smutkiem opowiadał jako go zbójcy napadli, klacz mu zabrali, a on sam dzięki swemu męstwu i wybiegom zaledwo się ocalił.

Przybliżała się chwila powstania; ze wszystkich stron spieszyły orszaki Wehabitów z Szeikami na czele. Upłynęła ostatnia noc, tego dnia miał przybyć człowiek, na którym polegały wszystkie nadzieje, to jest Emir Faisol i bohaterska córka kapłana. Josuf jakby w torturach przewracał się na łożu. Duszę jego dręczył ciężki niepokój — on miał całemu wojsku wykryć sposoby do zwycięstwa, których nie znał — on miał wyjawić taktykę Ibraima o której nie słyżał. Ale próżność gnała go ciągle, kłamstwa po kłamstwach opowiadał dowódcom, zmyślone

zdawał raporta, a dręczony sumieniem i niepewnością widział zbliżający się dzień stanowczy.

Wehabici, jakto było można przewidzieć, przegrali bitwę i to z winy Josufa. Za późno spostrzegli się Szeikowie iż mu za wiele ufali; wojsko Ibraima na napad było gotowe, zuchwały pomysł tysiące okupiło życiem. Poginęło wielu dowódców, Josuf dostał się żywcem do rąk nieprzyjaciół. Odarto go z kosztownych szat, wrzucono nań ubogą koszulę, a związawszy nogi i ręce postronkiem z innymi więźniami zaprowadzono do obozu Ibrahima. Od jednego z jeńców dowiedział się Josuf, że Hamad kupiec z Anegzy, który obu stronom służył za szpiega i z obu ciągnął korzyści, napadnięty i zabity został przez Wehabitów. Klacz zaś Nera wpadła w ręce Ibrahima i stała się jego ulubioną. Następnego dnia przeznaczony był na rzeź jeńców, a zatem i Josufa — lecz Ibrahim postanowił wprzód wojsku wyprawić ucztę za świetne zwycięstwo i całkowitą klęskę nieprzyjaciół. Noc była. Na twardej ziemi leżał Josuf, boleść jego serca rozdrażniały okrzyki żołnierzy, huczna muzyka i śpiew niewolnic na chwałę zwycięzców. Długo brzmiały okrzyki i brzęczały pałasze — i dopóki trwała biesiada, dopóki całe wojsko czuwało, póty i warty dawały znaki — lecz wkrótce wszystko ucichło — znowu milczenie zaległo w obozie i ten spokój przypomniał Josufowi ową noc, kiedy po raz pierwszy zobaczył kupca Hamada; to wspomnienie z rozdartej duszy wydobyło

ły. „Dobrze mi tak,“ jęczał, „czemum nie słucał rady mego dziada, który mnie znał lepiej niżli ja sam siebie, czemu opuścił wszystkich, wżgardził przyjaciółmi i towarzyszami, nie miłość kraju ale próżność i żądza sławy gnały mnie do boju, słuszna więc że mnie jutro spotka szabla Mameluka. Obcy oszukiwali mnie nieraz, ale ja swoich zwodziłem, o hańbo!“ z gniewem zawołał, „i mój dzielny koń pozostanie w ręku wroga! klacz moja, jakżem się z nią obszedł! Nera, biedna Nera!“

Nagle uszu jego doszło znane mu rzenie — „koniu mój,“ krzyknął Josuf, „i ty się chcesz zemną pożegnać! poznałaś mój głos jakem ja twój rozpoznał.“ I tu mu się uśmiechnęła myśl raz jeszcze ujrzeć Nerę i uściskać ją. Cóż stąd choćby mnie nawet złapali, zabiją mnie na miejscu, a jutro się stanie to samo, wcześniej czy później o kilka godzin, to wszystko jedno. Myślą tą ożywiony począł się rozpręzać, kręcić nogami i rękoma; w namiocie spało wszystko, nawet strażę zasnęły. Josuf wydobył się z więzów, i słuchając rzenia Nery poszedł za namiot paszy, gdzie klacz jego z innymi końmi Ibrahima stała uwiązana. Na ziemi spali sładzy upojeni winem. Szczęśliwie doszedł więc Josuf aż do swego konia i płacząc oparł głowę swoją o łeb klaczy. Całował ją, pieścił, najsłodsze dawał imiona, a ona rżała do niego cicho i przyjaźnie. „Mój koniu,“ mówił, „musim się rozłączyć, jutro dla mnie śmierć, a ty piękną twą głowę poddasz złotej uździe Ibrahima. Nie będziesz już pieszczotą Selima, pociechą jego starości.



Nogi twoje nie wrócą do ojczystej ziemi, piersiami pruć nie będziesz stepowego wichru po niezmiernych płaszczynach. I temu wszystkiemu winienem ja. Twą wierność odplaciłem niewdzięcznością i za to umrę. Lecz ty przynajmniej musisz być wolna, koniu mój, ja ci zabrałem wolność i ja ci ją zwrócę, leć, leć, koniu, przebiegniej pustynią i powiedz moim, że Josufa słuszny los spotkał.“

Słowa te wypowiedział w najgłębszym bólu i gorzkim łzy roniąc. Zębami odgryzł rzemienie, któremi koń był przywiązany i w moment klacz była wolna. Ale roztropna klacz zrozumiała boleść swego pana instynktem, odgadła jego słowa; głowę spuściła więc ku ziemi, i jakby myślą jaką obudzona zębami uchwyciła pana swego za pas, podniosła go w górę i popędziła galopem. Z krzykiem zerwali się słudzy, ale Nera znikła wkrótce w ciemności nocy w niezmiernych pustyni obszarach, ukochanego pana niosąc w pysku. Przez góry i doliny, przez skały i piaski, pędził dziki biegun bez odpoczynku, i dniem i nocą dźwigając ciągle pana swego, którego przytomność odeszła. Nie wiedział jak długo go klacz niosła, i nagle jakby we śnie stanęła przed oczyną jego rodzinna Oaza, i źródło dobrze znane, i namiot dziada. Uczuł, że mu koń przeciął postronek na rękach, że próżno usiłował przyjść do siebie, zebrać siły, zachwiał się i padł obok swego konia nieprzytomny.

Zaświtał dzień; hłas jaki usłyszano, wywiódł na pole mieszkańców namiotu; pobiegli czempredzėj, i z ra-

dością ujrzeni Josufa i Nerę. Już się też i Selim podniósł z łoża; a zoczywszy oboje ulubionych, zapłakał z radości. Otrzeźwiono Josufa, lecz chociaż przyszedł do siebie, ze zmęczenia nie mógł mówić. Objął rękoma głowę ulubionego konia i przyciskał ją do serca ze drżeniem. Wszakże nadzwyczajne wysilenie oboje przyprawiło o śmierć. Josuf raz jeszcze otworzył oczy, błagalny wzrok skierował na dziada i ducha wyzionął; koń spojrzał na niego, po raz ostatni, polizał jego rękę skostniałą, i skończył życie.

---

## 2.

Pasza Mardinu od dawnego czasu porozumiewał się z jedným arabskiem pokoleniem chcąc odkupić piękną klacz. Nakoniec zgodzono się na cenę 60 kies, czyli blisko 2000 talarów. O wyznaczonym czasie naczelnik pokolenia przybył ze swoją klaczą na dwór paszy. Chciał jeszcze coś utargować pasza, ale Szeik odpowiedział, że jednego para nie odstąpi. Z gniewem wyliczył mu Turek sumę i powiedział, że 30,000 piastrów za konia to cena niesłychana. Arab spojrzał na niego w milczeniu, spokojnie złoto zagarnął do płaszcza, zszedł na dwór, i żegnając się z koniem, podszeptając mu do uszu kilka arabskich słów, potem głaskał go, oglądał i nagle wskoczył, a koń jak błyskawica zniknął.

Zazwyczaj bywają tu konie przygotowane zawsze do podróży. Każdy bogatszy ma przynajmniej dwa gotowe, na które dość tylko wrzucić uzdę, chociaż Arabi jeżdżą i bez uzdy, bo łagodnego ich konia dość ręką po szyi uderzyć, aby skierować na prawo lub lewo. Za kilka chwil już służba paszy ścigała Araba. Rumak jego niepodkuty z trudnością spuszczał się po bruku, droga więc z zamku była nader trudna. Natomiast słudzy galopowali jak wiatr i już mieli osiągnąć niewiernego kupca, kiedy rozwarzyła się dolina, Arab znalazł się w swoim żywiole, bo tu go już nie zatrzymały ani rowy, ani rzeki, ani góry. Jako wyćwiczony Jockey, który goni na wyścigach, nie śpieszy się, tak też i Arab jechał ile możliwości najwolniej, nieustannie oglądał się za ścigającymi i zawsze trzymał się w odległości strzału; jeśli oni pośpieszali, i on szybciej pędził; jeśli się wstrzymywali, i on koniowi zwalniał chodu. W ten sposób odbywały się te wyścigi, a słońce pod wieczór schyliło się ku zachodowi. Dopiero wtedy uderzył Szeik konia, pochylił się i wydawszy okrzyk puścił najtęższego galopa. Pod silnemi kopyty zagrzmiała ziemia, wkrótce pozostał tylko tuman kurzu jako wskazówka drogi, którą Arab uciekł.

W okolicach tych, gdzie promienie słoneczne niemal prostopadle na ziemię spadają, wieczorny mrok bywa bardzo krótki. W ciemności nocnej zniknęły ślady uciekającego. Turcy nie mając ani dla siebie pożywienia, ani wody dla koni, o kilkanaście mil oddalili się od domu i zajechali w ca-



kiem nieznaną okolicę. Cóż więc mieli począć. Musieli się wrócić i rozgniewanemu panu przynieść niepożądaną wiadomość, że jeździec, koń i pieniądze przypadły. Trzeciego dopiero dnia zmęczeni drogą i głodem ledwo się zawlekli na koniach do Mardinu. Ta im jedynie została pociecha, że nowy przykład zdrady Araba mieli przed oczami, chociaż koniowi musieli oddać wszelką sprawiedliwość i sam pasza przyznał, że 30,000 piastrów nie było za dużo.

Nazajutrz kiedy Imam wzywał do modlitwy, pod oknami swemi posłyszał pasza tentent koński, a na podwórzec spokojnie wjechał Szeik arabski. „Panie,“ zawołał on, „cóż chcesz teraz, pieniądze czy konia?“

## Obrazy Ameryki.

---

### 1.

Półwysep Florydy jest po większej części pokryty sosnowými lasami; grunt jego płaski, piaszczysty, w porze dżdżystej szeroko zalany, w lecie od skwaru słonecznego wysuszany, chociaż i w tym czasie nie rzadkie są bagniska, w których dzikie trzody gaszą pragnienie. Tu i owdzie napotka podróżny lasy dębowe; a im głębiej się w nie zapuszcza, tym świeższym i bardziej ożywiającem oddycha powietrzem; śpiew niezliczonego ptactwa mile drażni jego ucho, trawa bujnie porasta, kwiaty świecą błyszczącými farbami, i balsamiczna woń wieje wokoło. Z radością, zmęczony podróżnik słucha szemrania czystego strumyka, nad którym winograd i jaśmin rozpina gałązki, czépiając się drzew. Lecz ledwo odetchnął w tym uroczym cieniu, już spostrzega krążących tu i owdzie ludzi, z których każdy lekko przyodziany niesie siekiere na plecach. Schodzą się, witają, i rozpoczynają pracę. Są to drwale

ścinający wysokie dęby i spławiający je rzekami do warsztatów okrętowych.

Przed kilkoma laty, mówi pewien podróżny, miałem sposobność przyjrzenia się pracy tych drwalów. Z polecenia rządu Florydzkiego odbywałem podróże dla przekonania się o ilości pozostałych jeszcze dębów, których coraz bardziej ubywa. Pewnego wieczora przybywszy do brzegu, kiedym wśród dęszczy ulewnego kłopotał się o nocny spoczynek, przystąpił do mnie człowiek pewien i zaprosił mnie do chaty, która miała być nie opodal. Chętnie poszedłem za nim; zastałem u niego żonę, kilkoro dzieci i kilku innych ludzi, którzy podobnie jak mój gospodarz byli drwałami. Na wielkim stole zastawiona była wieczerza, do której mnie zaproszono jako gościa. Opowiedziano kilka wypadków, czyniono rozmaite spostrzeżenia nad porą roku i wkrótce pokładwszy się na skórkach niedźwiedziach usnęliśmy, spoczywając spokojnie aż do rana.

Pragnałem widzieć drwali przy robocie, i wyszedłem z nimi z domu. Z mile przedziéraliśmy się przez las snowy, a zaszedłszy na miejsce zastaliśmy tam już inne grono. Przywitali się i usiedli do posiłku. Śniadanie było wspólne i składało się z mięsa, ryb, kartofli, kilku rodzajai jarzyn, i kawy. Robotnicy mieli apetyt przynoszący zaszczyt zastawie. Tymczasem słońce podniosło się nieco wyżej, chwycono się ochoczo pracy. Gospodarz mój był przewodnikiem i dozorcą, siekiery tylko dla próby używał, reszta zaś, ludzie zdrowi i silni, poostrzywszy



siekiery poczęli rąbać dwa ogromne dęby, które po nie-małej pracy nareszcie runęły.

Wracając opowiadał mi mój uprzejmy gospodarz, że te prace trwają tylko przez kilka miesięcy do roku. Na lato opuszczają drwale osiadły kraj, a na zimę wracają znowu do Florydy. Jest wszakże wielu takich, co tu rodziny swoje przywiodło i wielkie pobudowało sobie domy, ale choroby i rozmaitego rodzaju przykrości nawie-dzają ich nieustannie. Gospodarz mój i jeszcze jeden czło-wiek z naszego grona należał właśnie do tych ostatnich. Przy wieczerzy opowiedział mi następny wypadek, który go spotkał przed czterema laty.

Pewnego dnia opuścił on chatę swą, zbudowaną nad rzeką i z siekierą na ramieniu ruszył do pracy. Była to zima, a w owej porze tak gęste mgły zalegają kraj, że o trzydzieści kroków nic się nie widzi. Z resztą lasy jedna-kowo wyglądają — drzewa podobne do drzewa, a trawa tak wysoko porasta, że jój nie przejrzy człowiek zwy-czajnej wysokości. Trudno rozpoznać kilka ścieżek, które sobie drwale poczynili i które się z sobą krzyżują; kto więc okolicy nie zna na pamięć, bardzo łatwo w niej się za-błąka — to się też przytrafiło naszemu drwalowi. Szedł już kilka godzin, a jeszcze na miejsce nie trafił, skąd wniósł, że zwykłe zebranie jego towarzyszy musi leżeć gdzieś w bok albo w tyle. Ujrzał też z przestraczem, że mgła znikła całkowicie, słońce świeciło z południa, a oko-lica była mu całkiem nieznaną.

Młody, silny, i świeżego umysłu, wytłumaczył sobie, że idąc zbyt prędko, zaszedł za daleko. Wrócił się więc, a zostawiając słońce w tyle, puścił się w odwrotnym kierunku. Tymczasem godziny biegły szybko, słońce zapadało coraz głębiej a okolica nie zmieniała się wcale. Stuletnie drzewa ogromne swe konary rozpinały, trawa stawała się coraz gęstsza, znikł wszelki ślad ścieżki, nie było widać żyjącego stworzenia, wszystko zaległo w śmiertelnej ciszy.

Tak więc jako dusza potępiénca na wieczną samotność wskazana błąkał się po téj zamarłej naturze, w tym kraju wiecznego cienia, gdzie jeszcze istota podobna jemu nigdy nie powstała.

Rzeczywiście, nic okropniejszego nad położenie człowieka, który się w odwiecznych amerykańskich lasach zabłąka. Z początku zdaje się, że okolica znajoma, lecz ktoby się chciał kierować i drzewa za wskazówkę swój drogi uważać, coraz bardziej się błąka, i w końcu nie wie, gdzie się znajduje. Już słońce rzucało czerwone promienie, które na dzień następny zapowiadały skwar, lecz połyski jego ciemniały, wkrótce widać tylko było ognistą tarczę na widnokręgu. Na raz zabrzączały roje owadów — zaskrzeczały żaby z mulistych wyskakując kałuż; z gniazd wyskoczyły wiewiórki, a chrapliwym głosem czaple zwiastowały swój powrót. Wnet téż z głębi zahuczała sowa, wiatr począł szeptać w gałązkach i zimna rosa spadała kroplami. Nawet księżyc na niebie nie było,

coby to straszne pustkowie oświecił. Zbłąkany nie mógł już dłużej wlec swych członków i na wilgotnej ziemi się położył. Gorąco modlił się do Boga, i prosił Go aby żonie i dzieciom lepszą dał noc niżli jemu; drżąc od zimna wyglądał światła dziennego. Kiedy ranek zaświtał, opadła zwyczajna mgła, nieszczęśliwy podniósł się z mokrego leża i upadł na duchu puścił się dalej w drogę, mało mając nadziei odkryć miejsce znajome. Nawet śladu drożyny nie było. Wszakże skoro tylko słońce wzeszło, począł rachować wiele ma godzin przed sobą, i przez gąszcz śpieszył się jak mógł. Ale próżnemi były wszystkie jego nadzieje. Dzień zeszedł na nadaremnych wysileniach, i znowu noc się zrobiła, a on ze zmęczenia, głodu i trwogi do ostatniej przychodził rozpacz. Piersi sobie szarpał, wyrywał włosy i tylko pocziwe zasady, które w serce jego wcześniej rodzice wpoili, wstrzymały go od samobójstwa. Dręczony głodem rzucił się na ziemię, i pożerał korzenie które dokoła rosły. Ta noc była jeszcze okropniejsza niżeli pierwsza. „Znałem dobrze moje położenie,“ mówił mi, „wiedziałem że na tej puszczy zginąć muszę, jeżeli Bóg mnie cudem nie wyratuje. Przeszło dwanaście mil zrobiłem a nie spotkałem strumienia, któryby moje pragnienie ugasił i spiekłe wargi odwilżył. Wiedziałem że bez kilku kropli wody zginę. Jedyłą moją bronią była siekiéra, na próżno ją ciskałem za sarnami i inną zwierzyną, która przechodząc o kilka kroków odemnie, jakby z zadumieniem na mnie patrzała. Ani jednego



zwierzęcia nie mogłem ubić, aby głód mój uskromić. O Boże mój, Boże uchronij was od podobnej próby!“

Cierpienia te pozbawiły go niemal wszelkiego pojęcia wszystkiego co go otaczało. „Raz,“ mówił on do mnie, „zmiłował się nademną Bóg i zesłał mi żółwia. Patrzałem na niego pełen podziwu i osłupiałej radości. Wiedziałem o tém że mnie doprowadzi do świeżej wody, jeśli za nim pójdę, ale głód i pragnienie nie dozwoliły mi tak długo czekać. Jednym cięciem rozplątałem go na dwoje, i z wściekłą chciwością spożyłem. W kilka minut została się tylko goła skorupa. O! żebyście wiedzieli jakem Bogu za ten posiłek dziękował; czułem, jakbym się drugi raz na świat narodził. Siedząc pod sosną patrzałem w niebo, myślałem o biednej żonie i dzieciach, i gorące powtarzałem dzięki, a wtedy zaufanie tak mocno we mnie odżyło, że byłem przekonany iż moją ścieżkę odzyskam.“

Trzecią noc przebył nieszczęśliwy pod drzewem, pod którym spożył smutną wieczerzę. Pokrzepiony mocnym snem puścił się w ciężką wędrówkę. Słońce weszło w całym przepychu, a drwał podobnie jak poprzedzającego dnia szedł w tym samym kierunku mając cień przed sobą. Ale i tą razą oko jego napotykało same tylko obce przedmioty. Już był bliskim rozpacz, kiedy ujrzał w trawie biegnącego szczura. W ten moment rzucił za nim siekiere i zabił na miejscu. Z chciwością pożarł go ze skórą i futrem, i posilił nim błakał się znowu w tym nieskończono-

nym labiryncie. Dzień schodził po dniu, tydzień po tygodniu.

Nieszczęśliwy drwal karmił się korzeniami, żabami, węzami; wszystko co w téj okropnej wędrówce spotkał na drodze pożerał chętnie, lecz nędzna ta strawa tak go wycieńczyła, że nie miał siły wlec się dalej. Według jego rachunku 40 dni upłynęło, kiedy nakoniec zaszedł nad brzeg pewnej rzeki. Poszarpana odzież, opadła z niego w kawałkach, zardzewiała i stępsiała siekióra, polepiły się włosy i przylgnęły do twarzy, a ciało było podobne do szkieletu powleczonego pargaminem. Przybliżywszy się do rzeki położył się na piasku i tak długo leżał oczekując śmierci, kiedy w gorączce zdawało mu się że słyszy uderzenie wiosła. Dobywszy reszty sił z piersi krzyknął, ale wydał zaledwo cichy jęk, który drzewa słabém powtórzyły echem; myśląc więc że to było marzenie, zapadł po raz wtóry w konające odrętwienie.

W tém po raz drugi doszedł go plusk na wodzie. Tą razą nie było to już złudzenie; wyteżył słuch skupiając w nim resztę życia, tak żeby usłyszał nawet muchę w powietrzu; z radością przekonał się że z uderzeniem wiosła dochodził go gwar ludzkiej mowy. Zadrżało serce biednemu. Zebrał się i wstał. Widział Opatrzność boską czuwającą, bo wkrótce go miały ujrzyć oczy ludzkie. Łódź opłynawszy wystający przylądek, śpiesznie posuwała się dalej. Skoro ją zoczył, krzyknął, a wiosłarze zatrzymawszy się patrzyli nań z zadumieniem. Zbliżono się do

brzegu, widzi że ludzie do niego przystępują, że go biorą na ręce, że go niosą na łódź, że jest ocalony!

Wypadek ten nie jest wymysłem; opisałem go jak mi ze łzami w oczach opowiedział drwal, a opisałem jeszcze w jego chacie pod wrażeniem świeżo usłyszanych słów, i wśród łkania żony, która może po raz dwudziesty będąc przytomną opowiadaniu, nie mogła stłumić wzruszenia. Dodam tylko, że las w którym się błakał ten nieszczęśliwy, zaledwo o dwie mile od jego chaty był oddalony, a rzeka do której doszedł, o dziesięć. Musiał więc, jak się to zwykle dzieje w podobnych wypadkach, krążyć w nieustanném kółku, a nadzwyczajna tylko siła jego konstytucyi i wyraźna opieka boska ocaliła go od zguby.

## 2.

Z jakąż radością, opowiada podróżny, którego powyższy opis odczytaliśmy, z jakąż radością wstępowałem zawsze do samotnej chatki leśnej, kiedy przez dzień cały kopiąc się w głębokich śniegach, ciało me wędził na północnych wichrach. W kominie palił się ogromny kłoc, który nie bez trudu zawleczono. Dobra gospodyni utulała synka swego do snu, a rośléjsi synowie i dziewczęta otaczały ojca wracającego z polowania. Do którejkolwiek bądź chaty wstąpiłem, wszędzie mnie przyjmowano z patriarchalną gościnnością. Posiliwszy się prostą, ale do-



statnią wieczszą, gawędziliśmy z gospodarzem i zawszem się czegoś nowego dowiedziały. Pod noc matka dobywała biblii, a ojciec głośno odczytywał rozdział. Była to prosta ale szczerą modlitwa, którą się wszystkim przytomnym i nieprzytomnym życzyło dobrej nocy. Zmęczone ciało wyciągałem na skórze bawolej, a futro niedźwiedzie służyło mi za kołdrę.

Jeden dzień wszakże, którym w takiej chacie przepędziłem w prowincyi Maine, mocniej mi nad inne stoi w pamięci. Późno wieczorem, przyszedłem do chaty i przepędziłem noc spokojną; zabiérałem się do dalszej podróży, kiedy nastąpiła taka nawałnica, że chętnie uległem prośbie gospodarza, który mnie w domu zatrzymywał. Zjadłszy razem śniadanie wzięto się do zwykłej pracy. Zawarczał kołowrotek gospodyni i jej córki, chłopcy wzięli książki do rąk, a stary opowiadał mi szczegóły spokojnego życia, które wśród swoich prowadził. †

„Precz stąd Matus,“ zawołała gospodyni na czarnego kota — „jużes mi dzisiaj ulewę wywróżył, a ciągle się kręcisz, jakbyś co gorszego przeczuwał.“ Zeskoczył kot, ja zaś zapytałem gospodarza, co jego żona przez te słowa rozumie. „Ot tak,“ odpowiedział mi, „przychodzą jej czasem do głowy osobliwsze myśli; zdaje jej się, że zwierzęta umieją prorokować. To co mówiła do kota, stosuje się do pożaru leśnego, który nas kiedyś dotknął. Od tego czasu wiele lat ubiegło, ale ona jeszcze drży na wspomnienie, jakby się to wczoraj stało.“

Już kilka razy słyshałem o leśnych pożarach, ale że, jak się zdawało, miałem przy sobie naocznego świadka, byłem ciekawy usłyszeć rzetelny opis. Gospodarz lubiący gawędzić wnet usłuchał méj prośby, i zaczął mówić jak następuje:

„Jest temu ze dwadzieścia lat, jak po wszystkich modrzewiach obsiadły gąsienice zielone na ośm cali długie. Podobny los spotkał i inne lasy iglaste, tak że w ciągu kilku lat poschnięte sosny i świerki zawaliły się, lub zasypały ziemię. Leżały pełne kupy drzewa iglastego, które dla smolnej swéj natury łatwo się zapala. Jakim sposobem, nie wiedzieć, dość że wszczął się pożar. Jedni przypisują go Indyanom, którzy mszcząc się na nas białych, albo téż chcąc sobie ułatwić polowanie, podkładali ogień; drudzy zaś powiadają, że pożar mógł stąd się rozpocząć, że jakieś ogromne suche drzewo zwało się na inne podobnież zeschnięte, a takim drzewom dosyć tylko potarcia aby z nich płomień wydobyć. Zająły się łatwo wysuszone liście, później gałązki i gałęzie, i tak pożar szerzył się stopniowo i doszedł do takiéj potęgi, że ludzka moc wstrzymać go już nie mogła. W ciągu kilku godzin morze płomieni zalało kilka mil na około. Zerwał się mocny wichur i z takim pędem niósł niszczący żywioł na chaty drwali, że mnóstwo rodzin zaledwo życie unieść zdołało, mienie swe całe na pastwę ognia zostawiając; było téż i takich nie mało, których płomienie pożarły.“

Tych właśnie słów domawiał mój gospodarz, kiedy

wiatr wpadł kominem i chatę na chwilę czerwono oświecił. Ze drzeniem poskoczyły niewiasty ku drzwiom, bo już im się zdawało, że pożar wszczął się na nowo w lesie, ale uspokoiły się wkrótce. „Biedne kobiety,“ zawołał stary, „moje opowiadanie roznieciło w nich trwogę. Jeszcze w oczach im stoi ten dzień, który nas wszystkich z domu wypędził.“ Ciekawość moja zaostrzyła się do tego stopnia, że go prosiłem o bliższe szczegóły tego smutnego wypadku.

„Dobrze,“ odpowiedział, „ale piérwój kobiety przyrzec mi muszą, że będą siedziały spokojnie, choćby nawet drugi raz wicher wpadł do komina.“ Potém uśmiechnąwszy się mówił dalej:

„W dawnój naszej chacie, która o pół mili stąd była odległa, spaliśmy spokojnie w nocy, kiedy rżenie koni i ryk naszego bydła w lesie obudził nas na parę godzin przed świtem.

Wziąwszy flintę wyszedłem za bramę chcąc się dowiedzieć, co za zwierz był powodem takiego niepokoju. Rżąc zrywały się konie, woły i krowy, rozbiegały się na wszystkie strony. Obchodząc dom słyszałem trzaskanie palących się krzewów i widziałem jak po za gęstwianą połykiwały już płomienie. Prędko skoczyłem do domu, obudziłem żonę, kazałem jój ubrać dziecko, zapakować nasze zapasy, włożyć co kosztowniejszego na konie i być gotowym do podróży. Za chwilę wszystko było gotowe, bo też każda chwila była droga.

Szybko uciekaliśmy z płomieni; moja żona, która wy-



bornie jeździ konno, trzymała się tuż za mną, ja zaś z tą oto dziewczyną, która w ówczas maleńkiem była dzieciątkiem, jechałem naprzód. Obejrzawszy się widziałem, że dom nasz stał już cały w płomiściach, i że ogień tuż tuż za nami pędził.

„Na szczęście przy mojej kapocie wisiał róg myśliwski, zadałem w niego ze wszystkich sił zwołując bydło i psy. W rzeczy samej bydło czas niejaki leciało za nami, ale woły i krowy, wściekłością jakąś porwane, zwróciły się i wskoczyły w gąszcz. Jużem go nigdy nie widział, nawet psy moje zwykle tak łaskawe, tą razą głosu mego nie słyszały i rzuciły się na trzodę danieli, która przed nami pędziła unikając śmierci ognistej.“

„Czasami dochodził nas odgłos rogów sąsiedzkich, skąd wnieśliśmy, że i innych tenże sam los spotyka. Tym czasem choć konie chyżo uciekały, płomień coraz się zbliżały; mając żonę i dziecko przed oczami, postanowiłem niczego nie oszczędzać by je ocalić, i wtedy przypomniało mi się jezioro może o milę od tego miejsca leżące, którego wody mogły wstrzymać pęd płomięni. Prosiłem żony, aby popędzała konia, i tak lecieliśmy w największym galopie. Często wszakże trzeba było się zatrzymywać. Zawalały nam drogę pokruszone drzewa i krzewy, jakby nas chciały w tém morzu ognia wraz z sobą spopielić.“

„Już na plecach czuliśmy spiekotę, żar duszący wyprzedzał nas w biegu, łuna pożaru uczerwiała widnokrąg. Ze strachem ujrzałem bladość twarzy méj żony — przyci-

skafem moją córkę do piersi, która mocną gorączką pałała. Kilka mil ubiegliśmy już na koniach, a kiedyśmy nareszcie przybyli do jeziora, czuliśmy się bez sił, zalani potem. Ledwo mogliśmy wytrzymać dym, nieraz płomiennie dochodziły aż do głów naszych, czuliśmy gorąco nieopisane.“

„Nad brzegiem wyszukaliśmy spokojne od wiatru ustronie, puściliśmy wolno konie gdzie je instynkt zawiedzie i po szyję zanurzyliśmy się w wodzie. Wskakując słabą mieliśmy nadzieję ocalenia się z płomienni. Ale woda uspokoiła ciało, a duchowi dodała odwagi.“

„Pożar szerzył się coraz dalej i coraz większe zajmował przestrzenie. Boże zachowaj was od podobnego widoku! gdzieś spojrzal, wszystko było czerwone, nawet sklepienie niebieskie zaczerwieniało lub pociemniało od ciężkich chmur dymu, które się wlokły na około. Ciała nasze odświeżały się w wodzie, ale głowy pałały od gorąca, i dziecko poczęło płakać tak przeraźliwie, żeśmy zwątpili o jego życiu.“

„Upłynął straszliwy dzień; wszystkim poczał do-  
skwiierać głód. Obok nas pływała dzika zwierzyna zapę-  
dzona ogniem do wody, nie troszcząc się bynajmniej  
o nasze sąsiedztwo. Mimo osłabienia zastrzeliłem jeża  
morskiego, i zjedliśmy jego mięso. Nie umiem Panu po-  
wiedzieć jak nam noc przeszła; pożar zaległ kraj cały, ze-  
wszad dymify się zgliszczą, a drzewa palify się czas długi,  
stojąc jako słupy ogniste, albo krzyżując się padały na sie-  
bie. Nagle spadły obłoki dymu czarnego, duszącego od-

dech, potem zasypał nas deszcz popiołu. Niepotrafię tej nocy opowiedzieć, ten widok, który mi utkwiał w pamięci, przewyższa wszystko, coby mógł powiedzieć.“

Tutaj zatrzymał się mój gospodarz i westchnął głęboko, widać że go to opowiadanie wzruszyło. Żona przyniosła nam garczek mleka, wypiwszy szklenicę prowadził rzecz dalej:

„Nad ranem skwar był wprawdzie mniejszy, ale dym rozszedł się z wolna i wiatr napędzał nam już nieco świeżego powietrza. Świeżość wody poczęła nam być nieprzyjemna, drżeliśmy jako w febrze, wyszliśmy więc z jeziora i przysunęli do drzewa sosnowego, które się paliło, aby się ogrzać. Co pocniemy? co się z nami stanie? Te myśli nasunęły nam się pierwsze, skoro gwałtowne niebezpieczeństwo minęło. Żona ściskając dziecko, również płakała. Poczuliśmy znowu głód, ale ten łatwo było uspokoić. Po jeziorze pływały daniele, zabiłem jednego, który głowę wystawił; upiekliśmy ćwiartkę, i poczuliśmy się wzmocnieni.

„Jeszcze w kilku miejscach paliła się okolica, było też niebezpiecznie przedziierać się przez tlejące zgliszcza, które mocniejszy wiatr mógł łatwo odżywić; mimo to nie podobna dłużej na miejscu zostawać. Odpocząwszy więc chwilę puściliśmy się w drogę. Przez dwa dni i dwie nocy błakaliśmy się między skałami, i szukając bezpieczniejszych ścieżek dostaliśmy się do lasów dębowych. Tutaj przyjęto nas w chacie leśnego gościnnie. Chwyciłem się



na nowo pracy, a jak Pan widzisz niebo pobłogosławiło memu dziełu. Żyjemy szczęśliwie i nie brakuje nam niczego.

---

3.



Na zachód Stanów Zjednoczonych Ameryki, o sto mil po za olbrzymią rzeką Missisipi, ciągnie się ogromny pas niezamieszkałego kraju, w którym nie widać ani osad białych ani też stałych siedzib któreby dzicy zakładali. Pas ten zwany Sawannami składa się z równin szerokich, miejscami trawą, miejscami też borami i krzakami zarosłych, i przetrniętych wieloma rzekami. Na tych żyznych i zielenią pokrytych smugach przebywają bawoły i buja dziki koń w pierwotnej swojej wolności. Wilki i niedźwiedzie polują na jelenie i daniele, a nad brzegami buduje się bóbr z nadzwyczajną zręcznością.

Jestto zwykłe miejsce polowania rozmaitych plemion indyjskich. Żadne z nich nie osiedla się tutaj stale, ale wszystkie zaopatrzywszy się w dziką zwierzynę a szczególnie w mięso bawole, opuszczają ten kraj otwarty. Ich polowania mają w sobie coś wojennego, bo też się za każdą razą gotują jak na wyprawę bojową, a często przy spotkaniu się dwóch pokoleń, przychodzi do krwawych zapasów. Przed kilkoma laty przyłączyłem się do licznego

towarzystwa, które tą niebezpieczną pustynię chciało przebyć. Kilku Indyanów mieliśmy przy sobie jako przewodników i tłumaczy, i bez nadzwyczajnych wysiłen przebyliśmy znaczną część łąk. Każden dzień podawał nam sposobność zaspakajania naszej myśliwskiej ochoty, podostatkiem mieliśmy zwiérzyny, ubiliśmy kilku niedźwiedzi, a Indyanie ze zwykłą sobie zręcznością łąpali dzikie konie. Jedna tylko zwiérzyna nie chciała nam się pokazać, dotąd nie widzieliśmy bawołów. Nakoniec jednego ranka po kilkogodzinnój mozolnej podróży przybyliśmy w otwartą okolice, kiedy nagle doszedł nas okrzyk radosny: Bawoły! Bawoły! W rzeczy samej troje czy czworo tych ogromnych zwiérząt ujrzeliśmy na oddaloném wzgórzu. Natychmiast młodzież zaczęła robić przygotowania do ulubionego polowania, my zaś puściliśmy się dalej aby wyszukać dogodnego stanowiska; ledwieśmy się rozstawili, zabiliśmy dwa z tych wielkich zwiérząt, i obładowawszy konie mięsiwem z tryumfem zakończyliśmy polowanie.

Po kilku dniach weszliśmy znowu na szeroką równinę, która okiecywała wyborne polowanie bawole. Postanowiliśmy się rozłożyć na dwa lub trzy dni obozem, aby sporządzić formalne polowanie i przygotować znaczny zapas żywności.

Jeden z naszych Indyanów, najzręczniejszy i najodważniejszy ze wszystkich myśliwych, skinął na mnie i towarzysza mego młodego hrabiego rodem Szwajcara, chcąc nas zaprowadzić na pewne stanowisko, gdzie bez wątpienia

zwiierzyna nie chybi. Przystaliśmy z ochotą. Ujchawszy zaledwie pół godziny, ujrzelśmy wnet wielu bawołów spuszcających się ze wzgórza. Chcieliśmy się do nich przybliżyć, ale nas spostrzegły i wróciły. Wtedy spiąwszy konia ostrogami popędziliśmy za niemi. Ogromna ciężkość głowy i karku bawolego utrudnia mu bieg pod górę, ale ułatwia za to spuszczenie się z góry. Korzyść była więc na naszej stronie; dopędzaliśmy je szybko, ale trudno nam było dotrzeć z bliska końmi, bo je odstraszał sam odór zwiierzęcia. Hrabia mając przy sobie dubeltówkę nabitą kulami wystrzelił. Wtedy bawoły zmięniły kierunek swego biegu i jak wściekłe spuściły się z góry. Że zaś pobiegły w rozmaite strony, każdy z nas wybrał jednego i tak rozłączyliśmy się z sobą. Ja miałem przy sobie parę starych pistoletów. Jestto najlepsza broń na polowanie bawole, bo jeździec w najtęższym galopie może wystrzelić do zwiierzęcia, kiedy szturmaki i flinty nie łatwo udźwignąć a z resztą z konia niepewny z nich strzał. Koń mój biegł szybko i miał krok pewny, wkrótce więc upolowałem jednego bawołu. Ale nagle koń stanął, począł się strachać, i nic dziwnego, bo mało który zwiierz przedstawia tak brzydki widok jak bawół ścigany przez człowieka. Małe jego czarne rogi wystają z pomierzwionych włosów, oczy iskrzą się jako węgle, z otwartej paszczy wisi wielki, suchy jęzór, ogon podniesiony do góry, a gęsta na nim kita miga się w powietrzu. Jednym słowem, jestto kompletny obraz przestachu i wściekłości.

Ledwom przymusił mego konia aby dotarł aż do ba-



wofu, lecz tą razą oba pistolety spaliły na panewce. Spróbowawszy dwa razy rozjątrzyłem widocznie bawofu, bo się zwrócił rozpaczliwie, ryknął i skoczył na mnie. Koń mój zakręcił się, stawiał dęba i gdyby nie szczęśliwe moje położenie, że z wyciągniętą ręką przechyliłem się na jedną stronę, byłby mnie bawół niezawodnie roztratował. Puściłem cugle koniowi, a kilka jego skoków uwolniło mnie od nieprzyjaciela, który zresztą tylko przywiedziony do oporu, nie ścigał mnie dalej, ale sam uciekł.

Stawszy się na nowo panem przestraszonego rumaka i nasypawszy świeżego prochu na pistolety, gonilem dalej za bawołem, który w ucieczce swój nieco się wstrzymał, chcąc mocniej odetchnąć. Zerwał się na nowo skoro się do niego zbliżyłem w galopie, popędził na przód i przedarł się przez krzewy i zarośla, kiedy sarny i wilki piorunującym pędem jego przerażone z leż swych pouciekały i na równinę przybiegły. Tymczasem przyparliśmy do głębokiego parowu ze skalistemi stromemi ścianami. Na pół skacząc na pół staczając się rzucił się bawół i leciał w głąb, my zaś musieliśmy pozostać na miejscu i dalszego zaprzestać ścigania. — Wracając tropem mojego konia w krótkce połączyłem się z Indyanami, którym szczęście nie sprzyjało. Było już późno, mimo to postanowili jeszcze raz spróbować, nim wrócimy do obozu. Wkrótce w pewnej odległości ujrzeliśmy stado bawołów pasące się nad brzegiem lasu. Postanowiliśmy zwiérzeta obejść do koła i pognać je w stronę gdzie leżał nasz obóz, bo ścigając je moglibyśmy się za-

puścić tak daleko, żebyśmy zbyt wielką drogę mieli do powrotu. Obszedłszy więc z daleka przezornie postępowaliśmy; wiatr wiał w stronę przeciwną, dzięki temu zwierzęta nas nie zwietrzyły. Zoczyły nas dopiero w odległości strzału; towarzysz mój ująwszy flintę wypalił z nieć tak celnie, że ogromnego zwierza natychmiast powalił. Ja zaś ubodłszy konia ostrogami popędziłem za trzodą, i wybrawszy ogromnego bawołu, od razu powaliłem go na ziemię.

Zsiadłszy z konia począłem się przypatrywać zabitemu zwierzęciu. Nie jestem myśliwym i tylko niebezpieczeństwa i niezwykłość tego polowania skłoniły mnie do niego. Pierwsza chwila zapału myśliwskiego minęła, teraz z litością przypatrywałem się biednemu stworzeniu, które wyciągając się konwulsyjnie i buchając krwią u nóg mych leżało. Nie mogłem go żywego zostawiać wilkom, które już krew jego zwietrzyły i wyły z daleka. Dobiwszy je więc z pistoletu przywołałem Indyanina, który odciął ozór i podarował mi go jako godło zwycięstwa.

Wkrótce połączyliśmy się z naszymi; w całym obozie panowała wielka ochoczość, dzień był pomyślny, bo 8 bawołów zabito. Ze wszystkich stron migają się ognie, a po całodziennych trudach z ochotą zabiéraliśmy się do wybornój pieczeni.

## 4.

Na początku roku 1814 pewien kapitan marynarki Stanów Zjednoczonych imieniem Barnard, zarzucił kotwicę w Nowej Islandyi chcąc zwiększyć swój ładunek futer. Już się był po szczęśliwém polowaniu gotował do odjazdu z téj niezaludnionej wyspy, kiedy nad brzegiem spostrzegł ludzi, którzy z wielkim pośpiechem zbliżali się do okrętu. Opowiedzieli mu że należą do załogi angielskiego statku, który się rozstrząsał o brzegi i że ich około 30 rozbitków znajduje się na wyspie. Nieszczęśliwi, między którymi były dwie niewiasty i dwoje dzieci, od kilku tygodni żyli wśród cierpień wszelkiego rodzaju, z rozpaczą widzieli zbliżający się swój koniec, kiedy jedno z nich dostrzegło amerykański okręt.

Ta okoliczność nabawiła kapitana niemałego kłopotu. Okręt jego był mały, z trudnością mogli się wszyscy pomieścić; z drugiej strony nie mógł tych nieszczęśliwych zostawić na wyspie, gdzieby niechybnie zginęli. Nakoniec ludzkość przemogła w nim wszelkie przeszkody, i jak było można pomieścili się wszyscy na okręcie. Wszakże przed odbiciem wypadało pomyśleć o zapasie żywności. Wziąwszy z sobą czterech majtków dobrych strzelców i podstatkiem prochu, puścił się po nad brzegi dla upolowania kilku niedźwiedzi i dzików; reszta zaś majtków i 30 Anglików została się na pokładzie.



Pod ówczas Stany Zjednoczone prowadziły wojnę z Anglią. Anglicy więc zanim weszli na pokład, wymogli na kapitanie przyrzeczenie, że ich jako jeńców nie odda, ale zawiezie do którego portu neutralnego w południowej Ameryce. Miłosierna pomoc, której im kapitan nie odmówił i starania jakie około nich łożył, były im rękojmią że przyrzeczenia dotrzyma. Wszakże zaledwo Barnard oddalił się od brzegu, poczęli się lękać o swoją wolność i tłumaczyć sobie, że kapitan wziął ich z sobą nie przez ludzkość, ale przez chęć odznaczenia się w swojej ojczyźnie, że na tak małym statku przywiózł tak wiele jeńców. Postanowili więc niewdzięczni opanować okręt. Napadli na pozostałych majtków, związali ich, i ściągawszy kotwicę odpłynęli do Rio-Janeiro. —

Tymczasem Barnard z towarzyszami swymi usilnie polował i nazajutrz pod wieczór wrócił na brzeg, — ale jakże się zdziwił, kiedy okrętu nie ujrzał. Z początku mniemał że się pomylił co do miejsca, lecz przy brzegu zoczywszy łódź przekonał się, że to nie była omyłka, ale okropna rzeczywistość. Łudził się jeszcze nadzieją że okręt zupełnie nie odpłynął, ale tylko dla mgły nie mógł być widziany, wszakże pod zachód słońca wyczyściło się niebo, widok rozwarł się szeroko i na ciemnych bałwanach nigdzie nie było widać żagli.

Napróżno nieszczęśliwi biegali koło brzegu, wstępowali na góry przyległe, rozpatrywali się na wszystkie strony — wszystko nadaremnie — okręt zniknął!

Chwila spokojnej rozwagi mogła być wykryć kapitanowi prawdziwą przyczynę jego nieszczęścia; wszakże przypuścić nie chciał, aby ludzie którym on życie ocalił, w tak nikezemny i niegodziwy sposób zdradzili go, i na taką samą niedolę wystawili, z której on ich ocalił. Kiedy się tym smutnym rozmyślaniami poddawał, z gniewem wybuchnęli pozostali majtkowie oskarżając go jako źródło ich nieszczęścia. Nie wymawiał się, owszem przyznawał że ciężką odpowiedzialność wziął na siebie oddając okręt załodze nieprzyjacielskiego narodu. Ale nieszczęście już się stało! Teraz chodziło tylko o to, aby rozważyć co należy czynić dla wyratowania siebie i towarzyszy.

Smutne było położenie pięciu opuszczonych. Wyspa na której pozostali rzadko była przez okręty nawiedzana, o rychłym więc ocaleniu myśleć nie było można. Tym czasem brakowało mieszkania, brakowało odzienia, brakowało żywności, bo Anglicy nie pomyśleli nawet o tém, aby dobroczyńcom swoim choć to pozostawić co mieli sami; wreszcie znajdowało się na wyspie wiele dzikich zwierząt, z tych zaś niektóre mianowicie niedźwiedzie niebezpiecznymi byli nieprzyjaciółmi. Jedyłą ich pociechą był dość znaczny zapas prochu i ołowiu, jak niemniej że im się pozostał wierny pies, który przy polowaniu rzeczywiste oddawał im usługi.

Wzięto się więc naprzód do zbudowania szałasów, a potem rozpoczęto wyprawę myśliwską dla zbierania zapasów żywności na zimę. To zaś mieli ciągle na pamięci, iżby

ile możności zapas prochu jak najbardziej oszczędzać; w ten sposób nie straciwszy jednego naboju z pomocą psa ubili wielką liczbę dzików. Natomiast niedźwiedzie i morskie cieleta trzeba było kulami zabijać. Na brzegu znaleźli zostawioną przypadkiem siéc i ta im posłużyła do połowu ryb. Znajdowali téż mnóstwo muszli i jaj ptaków nadmorskich, tak że wkrótce nie zbywało im na zapasach żywności, a futra zabitych zwierząt dostateczną dawały odzież.

O wszystkich więc potrzebach ciała starannie obmyślono; pięciu majtków mogło w spokoju oczekiwać dnia ratunku i wybawienia, gdyby się do obozu nie wcisnęła i w nim nie powiększała codziennie niezgoda i wzajemne nieukontentowanie. Czterech majtków zamiast się poddać konieczności, nie przestawali lżyć kapitana, i wyrzucać mu nędzny swój los. Zamiast silnie pracować, co było jedynym środkiem utrzymania ducha swego w świeżości, pędzili dnie nieczynnie, i kiedy już ostatnia dociskała ich potrzeba, na kilka dni cucili się z uspienia. Nakoniec postanowili odłączyć się od człowieka, którego uważali za sprawcę nie-szczęścia, i odstąpiwszy od niego pewnego dnia pod pozorem że chcą w drugiej stronie wyspy polować, odpłynęli i postanowili czekać przybycia okrętu na przyległej wysepce. Wprawdzie z dawna go oni przestali uważać za swego zwierzchnika, ale dręczyły ich jego upomnienia i przestrogi, które im dawał w wspólnym interesie.

Obciążony zwierzyną powrócił wieczorem Barnard do szałasu i wielce był zdziwiony nie zastawszy towarzyszy.



W srogim niepokoju przepędził noc bezsennie, przed świtem wstał jeszcze i postanowił ich szukać. Przerażony ujrzał że łódź zniknęła. Nędznicy opuścili go, i tak pozostał sam jeden w tém smutném pustkowiu. Ta myśl byłaby drugiego do rozpacz przywiodła, ale nasz kapitan był mężem nieużytej siły ducha. Wiedział on że tylko wyłożona czynność władzę jego z uspienia ocali. Postanowił zatem zwykłe swoje prace ciągnąć dalej, jeśli można z większym jeszcze zapałem.

Kto zna cierpienia samotności, kto wie jak ona człowieka demoralizuje i okrada ze wszystkich sił ducha, ten sobie wystawi smutne położenie Barnarda w ciągu następnych miesięcy. Ileż on wycierpiał przez surowe obejście się majtków, na ileż przykrych i haniebnych obelg nie był wystawiony! a teraz wzdychał i tęsknie wyglądał swych towarzyszy i nazwałby się szczęśliwym, gdyby oni wrócili srożej go jeszcze niżeli poprzednio dręczyć. Jeden mu tylko pozostał przyjaciel: był to wierny pies, który go nie opuścił wraz z ludźmi i który teraz, kiedy zapasy prochu były na schyłku, stanowił jedyny środek jego utrzymania.

Wśród niewypowiedzianych przykrości przepędził zimę biedny nasz kapitan, i dopiero nowa zieloność, którą wyspa okrywać się poczęła, nowe obudziła w nim nadzieje. Z nadzwyczajném wysileniem rozpoczął swoje prace, aby odpędzić melancholię, która władze jego duszy niszczyć poczęła. Raz wyprawiał futra cieląt morskich, drugi raz łowił ryby, to znowu z wiernym towarzyszem szedł na

polowanie, dość że jedna godzina nie przeszła mu w spoczynku. Dwa razy codziennie wdrapywał się na wysoką górę, która się wznosiła po nad jego szałasem i tęsknie patrzył w nieprzejrzaną przestrzeń wody. Nieraz imaginacya rysowała mu na zwierciedle morskiem to, czego sobie najbardziej życzył, to jest okręt, ale zawsze z zawiedzioną nadzieją powracał do samotnego mieszkania.

Jednego wieczora zmęczony polowaniem włókł się z wolna Barnard ku domowi, kiedy tęskne jego dumania przerwał widok kilku ludzi zbliżających się do niego nieśmiało. Byli to owi czterej majtkowie, którzy go błagali o przebaczenie. Zimę przepędzili na małej wysepce, i tam najcięższe dolegliwości przecierpieli, szczególnie zbywało im na żywności i stąd na liczne narażeni byli choroby. Przynękli także kapitanowi, że mu będą ciągle posłuszni, że go nigdy więcej nie opuszczą, i prosili go aby po raz wtóry przyjął ich do chaty i aby im jak poprzednio rad swoich i napomnień nie szczędził.

W radosném uniesieniu zapomniał poczciwy Barnard o wyrządzonej sobie przez tych ludzi krzywdzie, opatrzył ich żywnością, w szałasie przygotował łoża i dziękował Bogu, że mu znowu dozwala w ludzkim znajdować się towarzystwie. Ale kilkomiesięczne cierpienie nie wiele poprawiło majtków. Już po dwóch czy trzech tygodniach poczęli się użalać nad wielością pracy, którą im Barnard nakładał. Szczególniej jeden był podniętą do ustawicznej niezgody, i wpadł nawet na myśl zabicia kapitana, lecz

towarzysze ten niecny zamach odepchnęli ze wzgardą, oznajmili go kapitanowi i domagali się wypędzenia zbrodniarza. Odwieziono go więc wnet na najbliższą wysepkę, ale poczciwy Barnard w tydzień opatrywał go żywnością, a po upływie miesiąca kiedy ujrzał, że wygnaniec schnie z tęsknoty, przyjął go nazad do swojego domu. Samotność wpłynęła na niego skutecznie, bo odtąd panowała zgoda między pięcioma mieszkańcami wyspy.

Znowu wśród pracy i nieustannych zabiegów upłynęło pół roku. Proch już się zupełnie wyczerpał; nieszczęśliwi z przestraczem widzieli zbliżającą się zimę, zniechęcenie ogarnęło ich ducha; już nawet siła kapitana kruszyć się poczęła, już może bliskim był dzień kiedy pięciu ludzi, ofiary szlachetności jednego człowieka, ulegliby cielesnym i duchowym cierpieniom na mroźnym pustkowiu. Tymczasem we dwa lata po ich przybyciu na wyspę ukazał się okręt i dopełniła się miara ich nieszczęść. Był to statek angielski, który nieszczęśliwych przyjął i zawiózł do ojczyzny. Oburzony postępowaniem swych ziomków kapitan tego okrętu doniósł o całym wypadku swemu rządowi, który zdrajców ukarać, a zabrany okręt powrócić rozkazał.

---

## 5.

Przed kilkoma laty statek amerykański Orzeł odbił z Filadelfii w drodze ku Barbados i przez kilka dni używał



podróży szybkiej i pomyslniej, bo wiatr zachodni dał w jego żagle nieustannie.

Z wolna zmniejszała się ta szybkość, zbezwładniały żagle, i wkrótce brak wiatru był przyczyną, że Orzeł wpadł w prąd, który go z nadzwyczajną szybkością niósł na skały. O zarzuceniu kotwicy myśleć już było późno, ostre zęby widać było z tych skał, co się z morza prostopadle wznosiły; okręt posuwał się z szybkością i już z masztów ujrzeli majtkowie ogromną ławicę pod zwierciadłem wody. Wszystkie żagle rozpięto, ale usiłowania ludzi nie oparły się przemocy żywiołów. Nagle wstrząsnął się statek, lecz płynął dalej, potem uderzył raz drugi, a na ostatku trzeci. Rafy podniosły przód okrętu w górę, a tył chwiać się począł. Przy pierwszém uderzeniu o ławicę westchnęli majtkowie, ale trzeciemu zawtórował z głębi piersi okrzyk przerażający i straszny, który szumiące bałwany zagłuszył i zdawał się jakoby był wydobyty z jednych olbrzymich piersi, przepełnionych boleścią.

Tymczasem rozhukane wśród skał bałwany wdzierały się na pokład okrętu, ale spostrzeżono że nieszczęście nie było jeszcze tak wielkie jak się obawiano. Nie było nigdzie dziury, do statku nie dostała się woda, wprawdzie przód okrętu uderzył o skałę, ale doskonałe jego blaszanne obicie ocaliło go od pęknięcia. Mimo to położenie było niebezpieczne, bo wiatr zerwał się na nowo, powierzchnia wody marszczyła się straszliwie, a Orzeł zawisły wśród skał co chwila zdawał się padać ofiarą przewagi żywiołów.

Około dziewiątej wieczorem wiatr nabrał nowych sił, bałwany piętrzyły się coraz wyżej i coraz bardziej zalewały okręt, tak że straszny los jego był już nie daleki. Nagle przeraźliwy okrzyk dał znać, że pokład zrównał się już z powierzchnią wody, i mimo wszelkich usiłowań załogi zapadł w głąb. Załoga składała się z 24 ludzi, ale dwóch nieszczęśliwych znajdowało się w głębi statku i ci utonęli od razu; reszta dostała się w moc bałwanom. Okrzyk: na pomoc! ratunku! przerywany strasznemi głosami tych, co się topili, przekleństwami rozpaczających, zdawały się tłumić gwałtowność burzy; bo skoro tylko statek się zapadł, ucichł wiatr, uspokoiło się morze, i tarcza księżyca oświeciła blade twarze pływających po oceanie żeglarzy,

Tymczasem szalupa pokazała się na powierzchni wody jakoby na ratunek majtków. Wszyscy rzucili się ku niej i zapominając o zwykłej roztropności żeglarzy, wszyscy chcieli wsiąść na nią od razu. Nie była to już posłuszna umiarkowana załoga, ale dzika rozpuszczona banda nie znająca żadnej miary ani słuchająca niczyich rozkazów. Stało się więc, co było łatwém do przewidzenia. Szalupa pozbawiona równowagi przechyliła się i wszyscy wpadli na powrót do morza. Po chwili wypłynęła znowu, jak więc kto mógł uczepił się to z przodu, to z tyłu statku, także przynajmniej do połowy ciała z wody wystawały.

Kapitan Smith, człowiek który rozważa swoją i rozsądkiem wywierał wielki wpływ na umysły majtków, prze-

łożył im że żaden się nie uratuje, jeżeli tak po szalonemu postępować będą. Wykazał im więc konieczność przewrócenia szalupy, poczem wybrał dwóch ludzi, którzy wsiedli na nią i ci mieli tak długo czerpać wodę, dopóki statek znowu dwóch drugich nie pomieści, aby w ten sposób wszyscy mogli się na nią dostać. Głos rozsądku przeważył uczucie niebezpieczeństwa, majtkowie kapelusami poczęli wodę wyléwać, wkrótce weszli drudzy i z kolei mieli wszyscy nadzieję, że się z morza wydobędą. Wrzeczy saméj już sześciu znajdowało się na statku, kiedy na raz z przerażeniem krzyknął jeden majtek, że widzi pletwy wilka morskiego. Przestrach jaki porwał nieszczęśliwych, nie da się opisać, bo haja w każdym razie jest przedmiotem trwogi dla żeglarza, a kto w życiu swoim choć raz widział straszliwą paszczę tego potworu, kto zna jego niepojętą siłę i żarłoczność, ten sobie wystawi, co za wrażenie na umysły naszych biednych majtków musiał sprawić okrzyk: „Haja!“ Widzieli oni, że jedna kropla rozlanéj krwi zwabi natychmiast piloty, które zawsze tym potworom towarzyszą, i że wtedy śmierć ich będzie nieunikniona. Głosu kapitana nie słuchoał nikt, majtkowie, którzy się dotąd trzymali rękoma, chcąc uniknąć nowego niebezpieczeństwa, na raz wdrapali się wszyscy na szalupę i łódź zatoneła na nowo.

Na szczęście nie ukazał się straszliwy wróg. Kapitan zapędził jeszcze raz majtków do roboty, która im jedyną nadzieję zbawienia pozostawiała. Wiedział dobrze, że



trwogi majtków nie usunie. Kazał im więc, aby się na nowo szalupy uczépili, a nogami robili w wodzie, aby tym hałasem potwory odstraszyć. Tą razą usłuchano jego głosu; jeszcze raz zabłysnęła wszystkim nadzieja uratowania się od oczywistej zguby. Cztérech ludzi weszło na nowo, jeszcze trochę pracy, cierpliwości, spokoju i posfuzszeństwa, a cała osada byłaby zbawiona. W téj chwili, kiedy majtkowie znajdujący się w wodzie wołali na towarzyszy swoich pracujących na szalupie, aby się śpieszyli i czémprędzej wodę wyléwali, w morzu powstał szum ogromny i piętnastu wilków ukazało się tuż pod szalupą. Strach ogarnął na nowo wszystkich, kaźden chciał dostać się na łódź, która przechylona gwałtownie poszła pod wodę i 22 majtków w strasznych paszczekach ujrzało przed sobą śmierć. Z początku haje nie zdawały się mieć zamiaru rzucenia się na swe ofiary — między majtkami pływały po bałwanach nic im złego nie czyniąc. Nagle krzyk rozdziérający wydobyl się z piersi jednego i odbił się boleśnie w innych; jedna haja porwała majtka za nogę, a że ten konwulsyjnym wysileniem trzymał się wywróconej łodzi, odgryzła mu ją od ciała. Krew popłynęła po wodzie — smak jój rozdraźnił inne potwory, rzuciły się więc na resztę majtków zapalczywie, ze wszystkich stron wrzask okropny zagłuszył szum morza, bałwany około łodzi zrumieniły się krwią.

Nawet w téj chwili nie stracił przytomności kapi-

tan; z zimną krwią i z zupełną pewnością siebie wydawał rozkazy, których już chętnie słuchano. Szczęśliwie odwrócono szalupę, dwóch ludzi weszło na nią bez zwłoki, a już tylko kilku majtków, którzy jak pierwój uczepli się łodzi, utrzymywali ją w równowadze. Smith obrał sobie miejsce najniebezpieczniejsze, płynął w tyle szalupy i odwagą swoją chciał pokrzepić gasnącego ducha towarzyszy; lecz zajęty wydawaniem rozkazów zapomniał bić nogami w wodzie i w tej chwili haja porwała go za obie nogi. Boleść wydarła mu z piersi krzyk, którego wstrzymać nie mógł, zadrżeli wszyscy, bo go szacowali wysoko i znali z odwagi i waleczności. Skoro go więc ujrzeli tonącego pod wodą porwali między siebie i z odciętemi nogami trzymali w powietrzu. Słabym głosem dodawał on towarzyszom zachęty, cierpiał nad nimi, i rzekł w końcu: „Jeżeli który z was tę noc pamiętną przeżyje i wróci do Filadelfii, niechaj powie admirałowi żem płynął przeciw rozbójnikom, kiedy nas to nieszczęście spotkało, żem pełnił mój obowiązek, i żem. . . .“ W tej chwili majtkowie trzymający go na rękach chcieli dostać się na łódź i przypadkiem upuścili go w morze; on zatoczył się w bałwanach i zniknął na zawsze.

Słowa jego ostatnie zniknęły w tym wrzasku rozpaczcy, jaka ogarnęła wszystkich ze śmiercią dowódcy. Cóż za obraz straszliwy! Ludzie ci pobledli, przeziębli, ze zmoczonymi włosy i długimi brodami, w poszarpanych sukniach unosili się nad bałwanami nie wiedząc czy się staną pastwą

żarłoczności potworów. Większa część już zginęła, reszta, która dotąd unikła śmierci, jeszcze raz siliła się dostać na łódź, ale szalupa raz jeszcze zatoneła.

Zmęczeni ciągłym pływaniem, ścigani nieustannie przez haje, stracili wszelką nadzieję. Wśród przekleństw i bluźnierstw potonęli, albo też zostali pożarci, z wyjątkiem dwóch majtków, którym się udało wydobyć się na wierzch statku. Orzeł utonął około godziny ósmej, a już koło dziesiątej, zatem we dwie godziny, zginęła cała osada z wyjątkiem dwóch.

Jeszcze tych nieszczęśliwych nie opuściła nadzieja; usiedli na obu końcach statku, i choć pozbawieni sił i okryci ranami, które słoność wody morskiej tém dokuczliwszemi czyniła, mniemali iż są bezpieczni. Rękoma poczęli wodę z łodzi wyléwać, i wkrótce szalupa do tyła wyszła na wierzch, że już nie lękali się raz jeszcze w przepaści morskiej być zmuszonymi walczyć o życie.

Wtedy spróbowali odpocząć przez chwilę; mimo okropnych wypadków, mimo strasznych niebezpieczeństw, jakie ich czekały, ogarnął ich głęboki sen, z którego się dopiero nazajutrz wśród jasnego dnia obudzili.

Cudem wyratowali się z wody i z paszczek potworów, ale teraz czekał ich nowy nieprzyjaciel, to jest głód i pragnienie, bo 36 godzin nie mieli nic w ustach. Na szalupie nie było ani jednego okruchu, ni szklanki wody ni wina, — zniskąd też niepocieszała ich nadzieja. Obaj więc w śmiertelném leżeli odrętwieniu, z rozpaczą w sercu i bolesnym



wzrokiem poglądali na bałwany, które igrały w około łodzi. Okropna śmierć stała im przed oczyma; rozpacz, boleść ran, głód, pragnienie i straszliwy skwar pod jasnym i wypogodzonym niebem zesłały na nich cierpienia do opisania niepodobne. Zdawało im się, że muszą być z daleka od lądu, bo wiatr musiał ich unieść znaczny kawał od miejsca, gdzie się ich okręt rozbił. Tak więc ostatniej trzeba się było wyrzec nadziei, iżby szalupa do brzegów Ameryki przybiła.

Jeden z nich leżący na przodzie podniósł się nieco i począł się wpatrywać w ten niezmierny widnokrąg, a spostrzegłszy słabą i mglistą linią wydał radosny okrzyk: okręt! okręt! Na to cudowne słowo odżywiły się zagasłe oczy konającego towarzysza, podniósł się także i zamglone oczy wyteżył w stronę, którą mu towarzysz ukazywał. Zdawało się jakoby balsam zbawienny spłynął na jego wargi, aby ukoić boleści i głód uśmierzyć. Okręt! powtarzali krzycząc, śpiwając, śmiejąc się, jakby im to niespodziane zjawisko odjęło rozum. Tymczasem coraz wyraźniej rysował się kształt fregaty i z dala odbijał od promieni słonecznych — zniknął niepewność, uczuciem wdzięczności przejęci upadli obaj majtkowie na kolana, oczy ich napełniły się łzami, podnieśli drżące ręce, i dziękowali Panu za pomoc niespodziewaną.

Fregata płynęła prosto ku nim, majtkowie nasi dawali wszelkiego rodzaju znaki w przekonaniu, że ich spostrzeżono i że fregata płynie na ich ratunek. Ale zawiodło ich nadzieja. Statek po skończonych manewrach zwrócił się

na nowo i puścił się w dalszą drogę za wiatrem. Skoro nieszczęśliwi ujrzeli, że okręt się oddala, podwoili swoje znaki, zdjęli z siebie odzienie i wywijali niém w powietrzu, krzyczeli ze wszystkich sił, ale wszystko na próżno; nie spostrzegł ich nikt, oddalała się fregata i ginąc w morzu ściemniała się przed oczyma patrzących.

Wtedy rozpacz zajęła znowu miejsce radości; jeden z majtków upadł wysilony, ale drugi jakby myślą jaką natchniony zawołał: — „albo mi się uda, albo oba zginiemy.“

„Cóż ty myślisz począć?“ spytał go leżący, i z zdziwieniem czekał odpowiedzi.

„Trudno wprowadzie,“ odpowiedział pierwszy, „trudno mi będzie po tém cośmy wczoraj przeżyli, ale próbować muszę, bo za kilka minut okręt zniknie, a wtedy czeka nas oczywista śmierć. Spróbuję czyli okrętu nie dopłynę, a jeżeli mi się uda, wtedy cię wyratuję, jeżeli mnie zaś siły opuszczą. . . .“

Chciał mu coś odpowiedzieć towarzysz, ale dzielny majtek już wskoczył do morza, a że płynął nadzwyczajnie zręcznie, zdawało się, że doścignie okręt, jeżeli go nie spotka haja. W rzeczy samej ukazał się potwór, ale majtek nie tracąc odwagi, rękami i nogami począł bić wodę, a potem płynął czas niejaki nurkiem. Haja jest najzarłoczniejszym, ale i najleniwszym ze wszystkich potworów, lęka się ona najmniejszego hałasu, i wtedy tylko ciska się na swą ofiarę, kiedy ta w zupełnym zostaje spokoju.

Uniknął niebezpieczeństwa nasz majtek, ale jeszcze za nadto daleko był od okrętu, a wiatr, który zerwał się mocniejszy, chyżość fregaty podwoił. Nakoniec po nadzwyczajném wysileniu zdawało mu się, że krzyk jego dojdzie do okrętu, krzyczał więc razy kilka, ale zawsze na próżno; w téj chwili nikt nie był na pokładzie oprócz sternika, co zajęty kierunkiem okrętu na krzyk nie uważał. Statek więc oddalał się coraz bardziej, już w duszy majtka zagasł ostatni promyk nadziei, bo uczuł, że siły go opuszczają. Wrócić do szalupy było już niepodobieństwo, znaczny kawał od niej odpłynął, a zresztą pozostawiony towarzysz w nielepszym był od niego położeniu.

Tak więc nieszczęśliwy widział śmierć przed oczyma, już myśl swą zwrócił ku Bogu, przed którym miał stanąć za chwilę, kiedy raz ostatni spojrzawszy na okręt zobaczył człowieka na pokładzie. Wtedy wszystek dech dobył z piersi, dogorywającego ducha wysłał w swym okrzyku, ręce podniósł gwałtownie i poruszał się ile miał sił aby tylko zwrócić uwagę tego człowieka. Jakże wielka była jego radość kiedy go spostrzeżono. Widział że zwrócono na niego perspektywę, że za chwilę dwaj ludzie wskoczyli do szalupy i czém prędzej ku niemu płynęli. Wkrótce wydobyto go z wody, szalupa popłynęła ku jego towarzyszowi, który przez ten czas dręczył się straszliwą niepokojnością. W ten sposób ocalono dwóch majtków, ostatnich rozbitków okrętu Orła.



## 6.

**Pożar okrętu.**

Gdzieś spojrział, szerzyło się wspaniałe, majestatyczne morze. Brzeg jego rysował się jako ciemna, długa kręsa, a nad nią świeciły ostatnie połyski wieczornej zorzy. Byliśmy po nad brzegami Biskai. Z morza wystawała wspaniała fregata, z jej masztu powiewał królewski herb, purpurowa flaga z białym krzyżem.

Od pokładu aż do najwyższego szczytu masztowego okręt rozwinął wszystkie żagle, lecz słaby podmuch wiatru zaledwo je napełniał, i tak z wolna poruszał się okręt odpływając od brzegów widnych z daleka. Fregata zwała się Atalanta, postacią swą była podobna do téj śmiałej dziewicy, która jak się zdaje szybciej niż okręt bałwany morskie przebiegała. Z okien rozwartych dobywał się gwar radosny, w izbie bowiem kapitana zasiedli oficerowie sproszeni przez niego na biesiadę. W téj chwili zadzwieczyła srebrna piszczałka sternika i pokład się ożywił. Zastawiono wieczerzę; z dołu i z góry zebrali się majtkowie: po ośmiu usadowiło się około kotła i spożyto jadło w milczeniu, tak że ledwo się który ważył słówko drugiemu szepnąć do ucha. Upłynęło pół godziny. Wtedy zadzwieczyła znowu piszczałka zwołując drugą część osady; wkrótce sprzątnięto naczynia, rozeszli się majtkowie, a pod wielkim masztem zebrali się żołnierze marynarki,

k którzy trzymając broń przyglądali się obojętnie morzu. Dawno już zaszło słońce, z drugiej strony z bałwanów morskich wyszedł księżyc i blade światło rzucał na tę malowniczą scenę. Z kajuty wyszli oficerowie. Jeden oficer przystąpił do żołnierzy, kadeci do majtków.

Nakoniec i kapitan wyszedł na pokład. Na znak oficera zabrzmiały bębny, żołnierze prezentowali broń — kapitan przyłożył rękę do czoła i przeszedł w milczeniu. Zadzwoniono na modlitwę. Uroczyście zebrała się cała osada koło kapelana, który jednostajnym głosem odmówił zwykłe modlitwy, okręt i osadę polecił opiece tego który wichry uskramia, i piętrzące się bałwany ucisza. Podniósł rękę ku błogosławieństwu, a żeglarze schylili kornie głowy.

W tém z rozrzuconemi włosy, blady, bez tchu wypada majtek z lazaretu, przeciska się przez koło modlących się, krzyczy: pożar! i bez sił upada na ziemię.

Pożar! zabrzmiał okrzyk przest్రachu. Zamilkł kapelan, a majtkowie rozbiegli się na wszystkie strony. Nawet żołnierze zachwiali się, zadygotały im kolana, pochyliła się broń i tylko żelazne słowo komendanta trzymało ich jak przykutych w jednym szeregu. Oficerowie otoczyli naczelnika, a kadeci cucili omdlałego majtkę. Otworzył oczy i wybąknął: „Stałem przed hamakiem starego Ralfa chcąc mu dać lekarstwo, które doktor przepisał, w tém nagle zabłyszczało, Ralf leżąc w gorączce, wskazał palcem wołając że to duch okrętowy. W przest్రachu zam-

knąłem oczy, ale je wnet otworzyłem ujrawszy płomień spinający się po ścianie. Wtedy nie mogąc się wstrzymać krzyknąłem.“

„Prędko moi panowie, jeden z was niech rusza na miejsce i przekona się, czy to jest prawda; reszta niech się trzyma w pogotowiu, obaczymy co czynić wypadnie.“

To rzekł kapitan. Majtkowie ustąpili miejsca oficerom, lecz nie długo trzeba było czekać na objaśnienie, bo zanim oficer służbowy wszedł do lazaretu, duszący dym uderzył go. Jęki chorego były przerażające. „Za mną, za mną,“ wołał odważny oficer i rzucił się w przepaść nieszczęścia. Kilku majtków pobiegło za nim, wyrwawszy nieszczęśliwego towarzysza z okropnej śmierci ognistój; wyniesiono chorego i w milczeniu złożono na pokładzie.

Tymczasem oficerowie z wielką przezornością przystępowali do gaszenia pożaru; sikawki okrętowe były w ruchu, gęste promienie wody zlewały się do lazaretu, inni znosili wiadra, lub w innych naczyniach dobywali wody zlewając nieustannie pokład od końca do końca.

„Wyrzucać wódkę i arak!“ krzyknął intendant żywności i potoczył beczkę chcąc ją cisnąć na morze. Silne ręce przyszły mu w pomoc, lecz w prędkości uderzono o czop i napój wylał się na podłogę. Wnet płomień doszły spirytusa i gorejące bałwany rozlały się w koło. Wieść o nowém nieszczęściu doszła na pokład, pobledli oficerowie i pośpieszyli na pomoc która z każdą chwilą stawała



się mniej skuteczną. Kapitan był wszędzie i silnym słowem zachęcał ludzi do pracy.

Od dawna już zwinięto żagle i pozostawiono okręt bałwanom. Ale wiatr ustał zupełnie, morze było spokojne. Księżyc świecił jasno, a gwiazdy mile połyskiwały po nad tą otchłanią nieszczęścia. Tymczasem daleko od zachodu zmieniła się scena. Z głębi morza wystawała masa chmur. Gdyby ludzie na okręcie mieli czas myśleć o czem innym jak o płomięniach, które w głębi statku buchały, ujrzeliby że im grozi drugi żywioł.

Zmęczeni majtkowie opuścili ręce; oficerowie biegali od jednego do drugiego, zachęcali przychylnym słowem, posilali wzmacniającym winem. Na nowo rozpoczęła się robota, rozpacz dodała im nadzwyczajnych sił; zdawało im się na chwilę że się staną panami ognia, ale wkrótce rozwarły się zręby pokładu, płomień wybiegł wysoko, objął jeden z masztów i rozrzucił iskry na wszystkie strony.

„Łodzie! łodzie! ratujcie łodzie!“ Wszyscy odbiegli od nieużytecznego gaszenia chwytając się tego ostatniego środka ratunku.

Zaledwo jedną łódź spuszczone na wodę, już drugą ciągniono za nią, kiedy czarne chmury rowinęły się po niebie. Zagrział piorun, zajaśniała błyskawica i burza zaryczała nad nieszczęśliwym statkiem. Po drążkach, które maszty z sobą łączyły, prześliznął się ogień do masztu wielkiego, objęły go płomienie jako węże i ognisty deszcz

począł spadać na resztę niezajętego dotąd pokładu. W głębi huczał rozwścieklony żywioł; płomienie zbliżały się coraz bardziej do nieszczęsnego miejsca składu prochów. Aż dotąd panowała zwykła karność, lecz teraz żelazne węzły które krepują osadę okrętową, poczęły pękać wśród płomięni i z ust pracujących dobywało się szemranie.

Kapitan odbył krótką naradę z oficerami, zgodzili się wszyscy, a dowódzca donośnym głosem zawołał:

„Żołnierze, ulegamy nieszczęściu, już okrętu uratować nie podobna, więc was będę ratował, wsiadamy na łodzie, tylko spokojnie i rozważnie!“

Zadźwięczała piszczałka sternika. Ale zagłuszył ją ryk burzy i ze wszystkich stron wzniósł się okrzyk: „ratuj się kto może! na łódź!“ Majtkowie rzucili się w stronę gdzie wysadzone łodzie chwiałały się na rozburzonych bałwanach. Nadaremno pracowali oficerowie aby przywrócić porządek, próżnemi były ich rozkazy. Pchali się jedni za drugimi majtkowie do łodzi, i kiedy już była napełnioną, odbili.

Strzał! nowe nieszczęście, pożar dostał się do armat, rozgrzany śpiż wystrzelił sam, działa poczęły walić, jedno, drugie, trzecie. Już łódź porwana od wiatru odpłynęła daleko od okrętu, kiedy kule armatnie przebiły łódź, która zapadła się, i okrzyk tonących doszedł do uszu tych co się z płomięni jeszcze ratowali.

Kapitan skorzystał z tego wypadku, który na surowych umysłach majtków mocne sprawił wrażenie, oparł się na jedném dziale i wśród płomięni zewsząd palących zawołał:

„Oto jest kara na nieposłusznych, prawica boska karze zdrajców kiedy ich ręka ludzka dosięgnąć niemoże. Słuchajcie mnie, albo inaczej — skończycie jak oni; pierwsza łódź naprzód!“

Ale przygnieceni nieszczęściem mężowie nową przed sobą ujrzeli klęskę. Pożar rzucił światło do koła i ozłocił pieniące się bałwany. Ocuciły się śpiące haje, bo im się zdawało że już dzień zeszedł i że już ranne zorze czerwonymi promieniami ubarwiło morskie zwiérciadło. Skacząc i bijąc ogonami z rozwartą paszczką okręzały potwory palący się okręt, ryczała burza, trzeszczało palące się drzewo, a działa jedne po drugich strzelały.

Nakoniec miłość życia przemogła, na okręcie była niechybna śmierć, na morzu nadzieja ratunku. Majtkowie posłuszni rozkazom oficerów zstępowali z wolna do szalupy, w tém głos sternika doszedł ich uszu i wszystkich oczy zwróciły się ku niemu. Z nieustraszoną odwagą pracował on dotąd nad ugaszeniem, lecz widząc już niepodobieństwo spieszył się i wołał o miejsce dla siebie i dla towarzyszy na łodzi. Już maszty poczęły się walić; pokład do połowy był w płomiściach, morze ognia oddzieliło go od łodzi. „Wszystko przepadło —“ zawołał, i to były ostatnie słowa, który ów dzielny człowiek wyrzekł. Dymem i skwarem uduszeni padli razem z nim dwaj towarzysze, a schodzący do łodzi majtkowie ten straszny obraz widzieli jasnymi płomiętami oświecony.

Łódź już była napełniona. Postanowiono oddalić się



od okrętu i umknąć z pod zakresu grożącej kanonady. Teraz nadeszła szalupa; oficerowie spuszczaali się z statku, który coraz bardziej był rozgrzany i dłuższego pobytu na sobie nie dozwalał. Kapitan był ostatni; już wszyscy byli na dole, już zstępował po chwiejącej się drabinie, kiedy nagle cofnął się i zawołał: „Gdzie są kadeci wysłani do izby prochowój?”

Milczenie. Żadnej odpowiedzi. Tylko z szalupy dochodziło szemranie upominające kapitana, aby dłużej nie zwlekał.

„Z miejsca nie ruszę,” krzyknął, dopóki się nie dowiem o losie nieszczęśliwych,“ i to wyrzekłszy przez morze płomięni rzucił się do izby prochowój, do której się już pożar zbliżał. Tutaj znalazł obydwóch. Młodszy zmęczony nadaremna pracą padł omdlony, starszy usiłował go ocucić i powlec za sobą. Porwał go kapitan, objął silnemi ramiony i wśród gradu ognistego uniósł przez pokład, kiedy drugi za nim pośpieszał. Z okrzykiem radości i uwielbienia powitali go oficerowie i przyjęli na szalupę, która wnet porwana przez bałwany uniesioną została od okrętu daleko.

Wszystkie łodzie, za któręmi chciwe pośpieszały haje, pływęły w kierunku lądu, starając się przedewszystkięm, aby naprzód jak najprędeż uciec od statku. Kiedy pożar mocnięj zajaśniał, widać było jedną lub drugą łódź migającą po wierzchu bałwanów i znikającą znowu jako meteor.

W ostatnięj chwili *Atalanta* wspaniały przedstawiała

widok, zwały się pomniejszych masztów, tylko wielki maszt gorzał jako słup płomienny, a jeszcze dotąd nie zapaliła się flaga, ale wśród czerwonego światła widać było biały krzyż na purpurowém tle. Już łodzie były daleko, kiedy ogień doszedł do prochowni. Jeden tylko straszny huk wstrząsnął oceanem aż do gruntu, niezmierny płomień dosięgnął aż chmur, a potem grad niedopalonych zgliszców, kawałków drzewa i żelaza, które pluskając powpadały w wodę, a potem cicha i głęboka noc!

Nazajutrz około południa przybiły łodzie do brzegów Biskai.

## Polowanie na Wężę.

---

### 1.

Pomiędzy wszystkimi zwierzętami węże są najsroźszymi, najbardziej nienasyconemi rozbójnikami, bo one połykają tylko żywe zwierzęta. Niektóre rodzaje, jakoto Boa, wielkością swoją, siłą i zwinnością niebezpiecznemi są dla człowieka i zwierząt. Lecz są inne gatunki, jak n. p. Grzechotniki, które jadem swym najstraszliwszą plagę przynoszą krajowi, bo ich ukąszenie sprawia śmierć niechybną.

Boa czyli wąż olbrzymi często jest na 40 stóp długi. Kiedy on pełźnie pomiędzy trawą i po jego drodze chylą się i podnoszą rośliny, wszystko ucieka z przestrachu. Jego gardziel może się do tego stopnia rozszerzyć, że on jest w stanie połknąć ciele, owcę, nawet tygrysa, lub krówę. Schwyciwszy jakowe zwierze kruszy mu kości. Oślinia go ażeby lepiej mógł połknąć. Na człowieka wtedy tylko się rzuca, kiedy mu głód dociska. Nieraz bowiem bez niebezpieczeństwa przechodzili ludzie około



wielkich węzów, które w trawie leżały zwinięte. Powiadają nawet, że Negry i Malaje z nożem w ręku zrywają się do walki z Boą. Kładą się w pobliżu jego leża, wyciągają nogi jakby spali i oczekują spokojnie przybycia nieprzyjaciela. Skoro tylko wąż się przybliży, aby ich połknąć, nożem przerzynają mu szyję i potem zdzierają skórę od głowy aż do ogona.

Szczególniejszym rodzajem Boi jest Anakonda żyjący po większej części w wodzie. Jestto stworzenie głupie, ciężkie i płochliwe, które zasypia lekko zranione, łatwiej więc i z mniejszém niebezpieczeństwem jak inne gatunki może być zgładzone. Nieraz Negry ścigają je w pław, jeżeli przed nimi do wody ucieka, i schwyciwszy w pobliżu głowy, zabijają długim nożem. Według opowiadania podróżnych węże olbrzymie dochodzą tak znacznej wielkości, że je leżące wyciągnięte w trawie brano nieraz za zwalony pień palmy. Czatuując na większe zwierzęta ogonem okręca się o drzewo lub skałę i potem jednym wielkim skokiem dosięga ofiary. W ten sposób nieraz konia i jeźdźca na raz się uczeplił i sobą obwinał.

W niektórych okolicach Indyj Wschodnich i na wyspach Sundy węże te czynią tak wielkie spustoszenia, że palono całe lasy, aby zgładzić potwory. Posłuchajmy teraz doniesień znakomitszych podróżnych, którzy polowali na olbrzymie węże i widzieli osobliwszych czarodziei, co cudownym sposobem jadowite potwory umieli łowić i przyswajać.

## 2.

Kapitan holenderski oddawna walczący w Surinamie z buntowniczymi Negrami, wsiadł pewnego razu z oddziałem swym na szalupę chcąc przeciąć drogę uciekającym Negrom, i opłynawszy kawał wyspy w drugim końcu przybił do jej brzegów. „Porwała mnie febra,“ opowiada on, „leżałem więc w hamaku, kiedy mi straż doniosła, że ujrzano w nadbrzeżnych krzakach coś czarnego, i chociaż żadnej na wołania swe nie otrzymali odpowiedzi, domyślali się przecież, że to musi być człowiek. Aczkolwiek zdjęty chorobą, wsiadłem na łódź i płynąłem na wskazane miejsce w mniemaniu, że tam się skrył jaki szpieg, albo Negr zbuntowany. Wyśiadłszy na ląd posłałem na miejsce jednego z naszych niewolników imieniem Dawida, który prędko wrócił z odpowiedzią, że w krzakach tych nie leży człowiek, ale bezwątpienia wielki wąż, co się przy brzegu położył i z łatwością może być zabity.

Do tej wyprawy nie miałem wielkiej ochoty, wstrzymywała mnie wielkość zwierza, słabość moja i gąszcz nadbrzeżny, przez który z trudnością trzeba było się przedziierać. Postanowiłem więc wrócić. Ale Dawid prosił mnie o pozwolenie, aby sam mógł węża wyszukać i zabić, bo niema najmniejszego niebezpieczeństwa.

Tu już próżność moja odezwała się, niechciałem okazywać się tchórzliwszym od niewolnika i powziąłem myśl, aby samemu zabić węża. Kazałem Negrowi, aby

mi go pokazał, nabiłem strzelbę i ruszyliśmy. Dawid torował nam drogę przez krzaki, a marynarz szedł za nami z trzema dubeltówkami nabitemi.

Ledwośmy uszli piędziesiąt kroków przez wodę, bagno i zarośla, kiedy Negr wstrzymał mnie za rękę, a drugą wskazał na węża; w rzeczy samej leżał on pod liśćmi, ale tak przykryty, że zaledwo głowę odróżnił, która nie była nawet o dwadzieścia kroków od nas odległa. Trząśł on wyciągniętym językiem, a z oczu jego wypadały iskry. Aby pewniej wymierzyć, oparłem lufę o gałąź i wypaliłem. Chybiłem, kula niedoszła głowy, lecz ugrzązła w ciało. Potwór uczuwszy się rannym wstrząsnął się z nadzwyczajną siłą i kruszył wysokie krzewy, jakby suche trawki. Potém ogonem uderzył w bagno i obryzgał nas błotem. Przestraszeni uciekliśmy nazad do łodzi.

Jeden tylko Dawid żadnej nieokazał bojaźni, i owszem prosił nas powtórnie, abyśmy nie zaniechali walki, bo w kilkanaście minut wąż się uspokoi; niema bowiem ani dość siły, ani ochoty, aby nas ścigać. Chcąc słowa swoje poprzeć, szedł przedemną, dopókiśmy się nie zbliżyli na strzał. Potwór zmienił swoje leże, ale głowa jego leżała spokojnie, jak poprzednio we mchu i liściach. I tą razą strzał mój nie był skuteczny, zdarł mu tylko skórę, a płaz uderzył z taką mocą ogonem, że na nas spadła chmura kurzawy i obrzucił grad błotnisty. Znowu więc uciekliśmy do łodzi. Przestraszony nie miałem już ochoty próbować, lecz Negr tém silniej mnie prosił by mu wolno



było wrócić samemu i zabić węża. Po raz trzeci próżność moja zwyciężyła nad tchórzostwem, i kiedyśmy stanęli w pobliżu, wypaliliśmy wszyscy trzej na raz, jedna kula trafiła w głowę.

Uszczęśliwiony mój Dawid pobiegł śpiesznie do łodzi i przyniósł linę, którą zdobycz swoją do wody zamierzał przyciągnąć. Było to ciężkie zadanie; bo wąż aczkolwiek śmiertelnie ranny kręcił się, szamotał, podnosił i zwijał tak że się narażał na śmierć ten, kto się do niego w tej chwili przysunął. Negr zadzierzgnął linę i rzuciwszy kilka razy udało mu się nakoniec schwycić węża za szyję. Wtedy z niemałą pracą ciągnęliśmy go wszyscy do wody i przywiązaliśmy sznur do łodzi. Płaz żył jeszcze i płynął, jak węgórz; mierzyłem go później, i chociaż miał 25 stóp długości, zapewniali mnie Negrowie, że zaledwie urósł do połowy, gruby zaś był jak kilkanastoletni chłopiec.

Wróciwszy na nasze miejsce wysiedliśmy na ląd aby zedrzeć skórę z węża i zebrać jego tłustość. W tym celu Dawid wdrapał się na drzewo, linę założył o gałąź, a dwa inni Negrzy pociągnęli zwierze do góry. Dawid zszedł z drzewa i wzięwszy w zęby ostry kończaty nóż, obiema rękoma schwycił się potworu który jeszcze ogonem wywijał, zręcznie potem wśliznął się po nim do góry, nożem obkroił skórę około szyi i ściągnął ją na dół.

Była rzecz widoczna, że straszliwy ten płaz w żadnym już razie nie mógł być niebezpiecznym; a przecież nie bez wzdrygnięcia ujrzałem, jak czarny mój niewolnik

nagi, oblany krwią, zdiérał skórę z żyjącego jeszcze węża. Otrzymaliśmy kilka garcy czystego oleju z węża, chociaż wiele nam się zepsuło, i posłałem go naszemu lekarzowi, który się uszczęśliwił tym podarkiem, bo to jest jedyne lekarstwo na rany i stłuczenie. Zwiérz jeszcze żył; a kiedym się w obec niewolników dziwił, jak może w nim tyle jeszcze pozostać życia po ściągnięciu skóry i wydarciu wnętrzości, powiedzieli mi że zdechnie dopiero po zachodzie słońca. Negrzy porabali węża i podzielili się mięsem, które u nich równie zdrową jak smaczną jest potrawą.

Skórę wysuszyłem na słońcu, wypełniwszy ją wprzód popiołem aby się nie zepsuła, i przez jednego z mych przyjaciół posłałem ją do Paramaribo, skąd się dostała do Holandyi.

### 3.

Mieszkałem, mówi pewien angielski oficer, na samym końcu największego miasta w Ceylonie, skąd miałem widok na przyległy las. Niedaleko od mych okien mały pagórek się wznosił, gdzie rosło kilka drzew palmowych, które mi codziennie zielonością swą wiele sprawiały przyjemności. Spojrzawszy na nie jednego ranka widziałem, że gałąź dość znacznej grubości dziwnie się jakoś porusza na tę i na drugą stronę, schyla się na ziemię, podnosi do

góry lub ginie w innych gałęziach. Powietrze było spokojne, żaden wietrzyk nie powiéwał, nie mogłem więc sobie wytłómaczyć tego zjawiska, kiedy mnie właśnie jeden Ceylończyk odwiedził. Pokazałem mu to co mnie tak dziwiło; spojrzął, pobladł i zachwiał się; poczem odskoczywszy od okna prosił mnie, abym kazał wszystkie drzwi i okiennice zaryglować i domu strzedz pilnie, bo ta mniemana gałąź jest ogromnym węzem, który się dla tego wśliznął na drzewo i zwijając się spuszcza na ziemię, aby tém łatwiej jaką zdobycz pochwycić.

Przekonałem się że miał racyą. Bo wkrótce potem koło drzewa przebiegało jakieś małe zwierzątko, które wąż porwał i wyniósł na gałęzie. Wypytywałem się więc Ceylończyka o bliższe szczegóły; odpowiedział mi że na téj wyspie znają bardzo dobrze te stworzenia, ale że one zwykle przemieszkują w głębi lasów i tam z drzew liśćmi zakrytych rzucają się na ludzi i zwierzęta, pożerając je.

Zebraliśmy się więc, ile nas było i dobrze uzbrojeni przysunęliśmy się pod gęste krzaki, z pod których kule dojsć mogły do palmy. Lecz skorośmy się z bliska przypatrzyli i poznali jego straszliwą wielkość, taki nas przestach ogarnął, że żaden nie śmiał strzelić z bojaźni aby nie chybił. Ceylończycy zaręczali, że ten wąż wszystkie inne które widzieli przechodzi wielkością. Był grubości człowieka, ogonem uczepił się najwyższej gałęzi drzewa, a głową do ziemi dostawał, ruszał się zaś nadzwyczaj szybko i całym ciałem wykręcał najrozmaiciiej w ciągu



jednej minuty. Zlazł cały, ogonem obwinał się koło drzewa wzdłuż, rozłożył się na ziemi i znowu w jednej chwili był między liśćmi. Wśród takich poruszeń ujrzelśmy, że z nadzwyczajną chyżością wśliznął się na górę i przyczaił pomiędzy gałęzmi. Wnet dowiedzieliśmy się przyczyny. Mały lis którego niezawodnie zoczył, biegł właśnie ku drzewu, ale wąż w mgnieniu oka już go miał na gałęzi. Długim czarnym językiem całego oślinił i potem spuścił się na ziemię.

Przypatrzwszy mu się do woli, strzeliliśmy do głowy; ale nie wiem, czy że on się poruszył w tej chwili czy że myśmy źle mierzyli, dość że kule chybiły, bo wąż pozostał spokojnie na ziemi. Tymczasem już się zmraczało, postanowiliśmy więc wrócić do domu, a nazajutrz przybyć w większej daleko liczbie. Zapewniali nas Ceylończycy, że skoro to węże raz sobie jakie drzewo za siedlisko obierają, nie tak prędko je opuszczają.

Nazajutrz w daleko większej gromadzie, zebrałiśmy się pod krzakami i widzieliśmy węża na tém samym miejscu. Zdawał się być bardzo głodny, zwijał się i kręcił niespokojnie; w tém ujrzelśmy zjawisko, na które wszyscyśmy zdumieli.

Obok palmy przebiegał tygrys wielkości krowy. Natychmiast wśród gałęzi posłyszeliśmy straszny szum, wąż piorunem spadł mu na grzbiet i objął paszczą kawał sierwa wielkości głowy ludzkiej. Tygrys okropnie zaryczał i chciał biedz dalej z ucepionym do się nieprzy-

jacielem; ale skoro to wąż zmiarkował, obwinał się koło niego trzy czy cztery razy i skurczył się tak, że tygrys w konwulsjach padł na ziemię. Objąwszy go w ten sposób, wyrzucił kawał mięsa, który naprzód oderwał, przysunął się do łba i otworzywszy paszczę, objął nią pysk tygrysi, który wnet strząskął na miazgę, dusząc zarazem brakiem powietrza. Tygrys podniósł się w górę, kręcił się to na jedną to na drugą stronę, i w paszczy potworu ryczał przeraźliwie. Raz zrywał się i biegł kilka kroków, lecz ściśnięty mocniej wnet padał na ziemię, wkrótce począł się trząść i zdychać. Wąż chciał pogruchotać mu kości kurcząc się koło niego, ale mu to jakoś nie szło. Rozwinał się, więc ogon tylko uczepił koło szyi tygrysa i włókł go chociaż nie bez trudu do drzewa; teraz dopiero obaczyliśmy na co mu to drzewo służyło. Ponieważ tygrys niemógł stać na ziemi, wyciągnął go więc w górę i posadził na gałęzi drzewa. Wtedy tak dobrze koło tygrysa jak i koło drzewa jednym pierścieniem począł się obwijać, i ścisnął ile mu sił starczyło, dopóki kość po kości i żebrę po żebrze jedno po drugim głośno nie trzasło. Chciał on potem i czaszkę zgnieść, ale po chwili przestał próbować i spokojnie wśliznął się między gałęzie.

Na trzeci dzień widzieliśmy z krzewów nic już innego z tygrysa jak tylko masę niekształtną, pokrytą śliną. Leżała ona w pewnej odległości od drzewa, a wąż mocno nią był zajęty, zjadł naprzód czaszkę z mózgiem, później resztę ciała. Wszakże nie mało go to pracy kosztowało i był już wieczór zanim pożarł tygrysa.

Na czwarty dzień już nas kobiety i dzieci przyprowadziły do drzewa, mówiąc że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Tak też było w rzeczy samej; wąż przeładował się, nie mógł ani się bronić ani uciekać. Za zbliżeniem się chciał wprawdzie wpełzać się na drzewo, ale nie miał siły. Wtedy Ceylończycy zabili go, przyprawili jego mięso które było podobne do cielęciny i z wielkim smakiem spożyli.

### 3.

Pewien oficer angielski, który dość długi czas znajdował się na Jawie, opowiada co następuje: „Wcześniej wyruszyliśmy z nocnej naszej kwatery, aby na miejsce wyznaczone dojść przed skwarem południowym; atoli wypadek który nam nowe całkiem przedstawił widowisko, postanowienie nasze zniweczył. Przyszedłszy bowiem przed małe zarośla przy których rozciągała się łąka trawą i trzciną pokryta, usłyszeliśmy ryk konającego zwierzęcia. Spojrzeliśmy w stronę skąd nas te głosy dochodziły, i przez gąszcz widzieliśmy zwierze przewracające się po ziemi, a obok niego stał w pobliżu pień, który skoro tylko mieszkańcy Jawy zoczyli, cofnęli się z wielkim strachem, zapewniając że to był ogromny wąż czatujący na zdobycz wedle zwyczaju węzów olbrzymich. Przekonani o rzeczywistości tego



twierdzenia nabiliśmy broń i wymusiliśmy na naszych przewodnikach z początku prośbą i obietnicami, później nareszcie groźbami i rozkazem, aby nam towarzyszyli.

Nierówność gruntu utrudniała pochód, mimo to przyszliśmy na jakie kroków 50 od węża, wprawdzie nie będąc od niego postrzeżeni, ale za późno aby jego nieszczęśliwą ofiarę ocalić.

Widzieliśmy że wąż już począł obśliniać zabite zwierze; jakiegoby zaś ono było rodzaju, odgadnąć nie mogliśmy, chociaż po rogach wniesiliśmy że było z rodzaju jeleni.

Postanowiliśmy strzelać pojedynczo, aby dostrzedz skuteczności naszych strzałów. Wystrzeliłem naprzód. Widocznie trafiłem, bo wąż podskoczył w górę i płomieniami oczyma patrzył w okolicę gdzieśmy stali. Trawa i krzew na szczęście zasłaniał nas przed nim, myśmy zaś mogli śledzić wszystkie jego ruchy. Strzeliliśmy po raz drugi. Kula trafiła w przód głowy, potwór zwałił się, głowa i przednia część ciała padła bez ruchu, tylko język jako strzała w locie, tu i tam się poruszał. Ogonem tłukł gwałtownie w ziemię i obwijał się o pień drzewa.

Mieszkańcy ujrawszy zwierze zabite poczęli nabiierać odwagi i powiedzieli nam, że gdyby węża można uderzyć w głowę, nie oddzielając jęj jednakże od ciała, zdechłby natychmiast.

Zdawało się rzeczą prawdopodobną, że cięcie byłoby skuteczne, i owszem groziło nam jeszcze niebezpieczeństwo, że wąż po jakimś czasie mógł odżyć po strzale. Jeden

z naszych słuźących do téj operacyi wybrał się na ochotnika, a wzięwszy szablę i siekiérę szczęśliwie dokonał dzieła. Wtedy przystąpiliśmy już wszyscy nie wyłączając krajowców, którzy nie mniej od nas pokazywali odwagi.

Ten zabity potwór był jednym z najpiękniejszych węzów w swoim rodzaju, aczkolwiek widok jego był więcej przeraźający niż piękny. Straszniemi były jego zwoje i skréty, ale i kolory skóry przepysznie błyszcząły mieniać co chwila swój połysk. Pokazało się żeśmy trafili najprzód w oczy; otworzono je, jeszcze po śmierci błysnęły ogniem i miały w sobie piekielną siłę. Wszakże wkrótce powlokła je mgła. Po kilku gwałtownych rzutach leżał bezwładny, chociaż upłynęło z godzinę zanim zdechł.

Obok niego leżała zabita ogromna antylopa. Poznaliśmy ją po rogach i rapciach, bo ciało było zgniecione, kości pokruszone i całe zwierze tak wyciągnięte, że było długie na siedm stóp. Na całym ciele powleczone była gruba powłoka śliny, i jak ją wąż z siebie wyrzucał, odgadnąć nie mogliśmy. Przyglądając się węzowi zapomnieliśmy o podróży, a wiedząc że jego skóra mogłaby być szacownym nabytkiem dla gabinetów naturalnych w Europie, postanowiliśmy ją zdjąć, chociaż nam zbywało na potrzebnych ku temu narzędziach.

Było to nie łatwe zadanie dla nadzwyczajnej długości płazu; był bowiem wielki na 30 stóp, a miał 4 stopy obwodu. Nacięliśmy skórę pod gardłem, odjęliśmy zranioną głowę, i przywiązawszy sznur do przedniej części

szy przewlekliśmy go przez gałąź drzewa, poczem skórę z łatwością zedrzeć się udało. Mieszkańcy ponacinali kadłub i zebrali tłustość, która według nich ma być jedynem lekarstwem na ukąszenie jadowitych węzów. Jeden z naszych służących, który wysuszoną skórę wpakował na muła, zapewnił nas, że jadł kawał pieczeni węzowej, która mu przewybornie smakowała. Nie osobiwie ona wyglądała, ale z ciekawości i my spróbowaliśmy, i prawda: mięso było soczyste, smaczne i kruche. Bylibyśmy go zjedli niemałą porcją, gdyby nam ciągle nie stała na pamięci ta okropna scena, której byliśmy świadkami.

#### 4.

Jeżeli węże olbrzymie siłą swoją, chyżością i żarłotwem do najniebezpieczniejszych zwierząt należą, natomiast grzechotniki, okularniki (naje) i inne rodzaje żmii nie tyle ogromem jak zjadliwością swego ukąszenia wywierają zabójczy wpływ na ciało ludzkie. Szczególniej zaś okularniki dotkliwą są plagą gorących stref Azji, a mianowicie Indyi. Znajdują się wszędzie, po ogrodach i lasach, po domach i kościołach, i z największą starannością od tego straszego gościa obronić się niepodobna. Pewien podróżny cytuje następny przykład:

Jednego wieczoru siedzieliśmy w sali ogrodowej



wesołej i obszernej, u dobrego naszego przyjaciela doktora M. i graliśmy w wista. Nasi słuźący (w Indyach odwiedzając przyjaciela zabięra się z sobą słuźącego) napęlniali nam kielichy ożywczeni napojami i powięwali nad głowami, a słuźący gospodarza roznosili zamrożoną limonadę i inne chłodniki. Gospodarz zabawiał nas opisami scen wojennych i myśliwskich, kiedy nagle zbladł, przestał grać i mówić.

„Czekamy doktorze, na ciebie kolój,“ rzecze naprzeciw niemu siedzący kapitan, „czemu tak zbladłeś, co to jest?“

„Cicho“ — szepnął tonem, który nas wszystkich przeraził.

„Czyś chory?“ zapytał drugi, chcąc wstać i przyjść mu w pomoc.

„Na miłość boską,“ mówił cichym i drżącym głosem doktor, składając powolnie karty, „nie ruszajcie się jeśli wam życie moje drogie.“

„Co to ma znaczyć, czy on rozum stracił?“ zapytał kapitan patrząc na mnie zdziwiony.

„Nie ruszajcie się, nie wstajcie! zaklinam was, patrzcie, około mojej nogi okręcił się okularnik, tylko cicho, a wszystko może być jeszcze dobrze.“

Przejęci wrażeniem jakie te słowa doktora na nas sprawiły, chcieliśmy wstać, ale błagalny wzrok ofiary zatrzymał nas w miejscu, mimo oczywistego niebezpieczeństwa, że wąż za lada skręceniem z nogi naszego przyjaciela przejść może na nas. Na kogoby zaś padł

taki los, ten może się już uważać za zabitego, tak niebezpiecznym jest, szybko działającym ukąszenie tego węża.

Doktór, jak większa część Anglików w Indyach, miał na sobie szerokie pantaloney po kolana i obcisłe jedwabne pończochy, każde więc poruszenie węża czuł wyraźnie. Twarz jego nabrała koloru żółto-czarnego, on sam był podobny do statuy, bo wiedział, że najmniejszy ruch muszkułu przyspieszyć może ukąszenie węża. Mówiąc więc, usta i oczy miał jakby skamieniałe.

W takim strachu siedzieliśmy kilka minut, które nam się wiekiem wydały.

„Teraz znowu obwija się,“ wśród grobowego milczenia mruczał doktor, „zimno jego czuję na nodze. Teraz znowu odkręca się. Przez Boga przynieście mleka, nie mogę głośno mówić. Przynieście mleka i rozlécie go na ziemię.“

Wydałem rozkaz słuźącemu, który po cichu przysunął miszkę z mlékciem.

„Siedz spokojnie kapitanie, kręcisz głową; na wszystko, co ci jest świętego, zaklinam cię, nie ruszaj się. To nie może trwać długo, mój los się wnet rozstrzygnie. Mój Boże! mam żonę i dwoje dzieci w Europie, powiedzcie im, że błogosławiąc je umarłem; że moje ostatnie prośby były za nimi. O Boże! wąż idzie coraz wyżej, zostawiam im wszystko, co do mnie należy, zdaje mi się, że czuję oddech potworu, o mój Boże umrzeć tak marnie!..“

„Myślałem, że mléko pomoże, ale gdzietam! skręca

się mocniej, zwija się w tył, nie mogę się obrócić, ale pewny jestem, że tam mnie śmiertelnie ukąsi. O Panie! przyjmij duszę moją . . i przebacz mi moje grzechy. Wybiła ostatnia godzina, mam dosyć mocy nad sobą, ale być w takich męczarniach, to przechodzi wszystko! nie . . odwija się, uwalnia mnie; miałżeby przejść do innego?“

Mimowolnie zadrżeliśmy wszyscy.

„Błagam was, nie wstajcie, inaczej już po mnie. Bądźcie spokojni jak ja. Chce spaść, nie ruszajcie się, tylko patrzcie. Kapitanie! skręca się ku twojej stronie, o! ta walka ze śmiercią jest straszliwa. Jeszcze jedno skręcenie, a zginąłem; nie, puszcza mnie!“

W tej straszliwej chwili wszystkich oczy zwróciły się na ziemię — wąż przypelzał do mléka.

„Jestem ocalony!“ krzyknął doktor odskakując i padł bez zmysłów w objęcia służącego.

W tej samej chwili rozbiegli się wszyscy, jaki taki porwał kij, stołek i w moment wąż leżał zabity. Nasz zaś przyjaciel na pół żywy ledwie zaszedł do łóżka.

## 5.

Dowiedziałem się z wielką radością, że przyjdzie czarownik węzowy, bo byłem bardzo ciekawy przyjrzyć się w jaki sposób odbywa się ta scena. Wcześniej więc



poszedłem do komendanta, który mnie na śniadanie zaprosił. Ogród jego od dawna uchodził za miejsce pobytu tych zjadliwych stworzeń. Zaproszono guślarza, aby pokazał swoją sztukę; on też nie dał długo na siebie czekać.

Pierwszy rzut oka zupełnie mnie rozczarował — powierzchowność jego nie miała nic nadzwyczajnego, z najlepszą chęcią w świecie żadnego wyrazu w oczach dostrzedz nie mogłem. Obejście jego było zwykłe, jedném słowem nic nieodpowiadało portretowi jaki sobie w wyobraźni narysowałem. Zdawało mi się, że tę sztukę posiadają tylko ludzie najniższej klasy.

Zaledwo weszliśmy do ogrodu, prosiliśmy kuglarza, aby przystąpił do dzieła. Wziął się więc do tego w następny sposób. Stał przy dziurze, gdzie mniemano, że się wąż ukrył, o kilka kroków od siebie położył naczynie gliniane i pomocnikowi swemu kazał, aby na znak umówiony przykrył niém węża. Po tych przygotowaniach wyjął z kieszeni małą drewnianą rurkę z dziurkami i z niéj wydobywał ostre tony, jakby z piszczałki, ale nie miały one w sobie nic czarodziejskiego.

Sposób w jaki guślarz dał, był tak monotony, żeśmy wytrzymać nie mogli. Ta nieznośna muzyka trwała dłużej, jak przez dziesięć minut. Kuglarz śmiesznie wykrzywiając się ciałem, prosił nas, abyśmy mieli cierpliwość, lecz my już chcieliśmy odejść, kiedy wyteżone jego oczy i zmieniony wyraz twarzy dały poznać, że wąż się zbliża. Wrzeczy saméj ukazała się z dziury ogromna głowa okularnika;

pojąć łatwo dla czegośmy się cofnęli z przestachem, ale guślarz był raczej uszczęśliwiony niż przestraszony. W oczach naszych rozwijał się wąż, tak że wkrótce całą jego długość mogliśmy wymierzyć. Nie widziałem nigdy piękniejszego węża. Indyanin cofnął się o kilka kroków, chcąc nam tym lepiej pokazać cudowny kształt płazu, a za nim posunął się płaz dalej — skoro zaś Indyanin stanął, i wąż się zatrzymował. Było zatem dla nas widoczna, że czarodziej związał magnetycznie wzrok swój z oczyma węzowemi; opowiadał mi zaś później, że gdyby był na chwilę przestał grać, byłby się na niego wąż rzucił natychmiast, chcąc go ugryźć z wściekłością.

Tymczasem Indyanin, za którym płaz o jakie sześć lub ośm kroków pełzał, wszedł na miejsce otwarte, znajdujące się w środku ogrodu i coraz mocniej dąć począł na swęj piszczałce, usiadłszy na ziemi. Wąż stanął przez chwilę, wyciągnął się, i wsparty na końcu ogona podniósł się w górę jakby chciał się rzucić na zdobycz. My też byliśmy w tém mniemaniu, zadrżeliśmy, pobledli wszyscy, ale otaczający nas słudzy Indyanie nie okazali najmniejszego wzruszenia. Wąż nie zmienił niebezpiecznego stanowiska, ale począł się ruszać, kręcić, schylać się, wstawać, nie spuszczać oczu z czarodzieja, literalnie tańcował przez kilka minut wsparty na końcu ogona a zawsze według taktu piszczałki, w której barbarzyńskiej muzyce zdawał się wielką uciechę znajdować. Na dany znak pomocnik rzucił na węża gliniane naczynie; przykryto je sukniem pachną-

cém mocno herbatą, związano silnym sznurkiem i razem z potworem odniesiono do domu, gdzie się już wiele podobnych płazów w takiż sam sposób uwięzionych znajdowało. Wtedy guślarz nasz wstał i odpocząwszy pół godziny rozpoczął nową próbę z tymże samym skutkiem. Z czterech węzów, o których wiadano że się w ogrodzie znajdują, jeden tylko nie dał się oczarować piszczącej guślarza, co ten przypisywał złemu spojrzeniu jednego z naszych służących.

Wróciliśmy na ówczas do sali ogrodowej; tutaj guślarz pokazał nam walkę węża ze zwierzątkiem zwaném Mungooza podobném do Ichneumona; ale nie przestając na tém chciał nas zadziwić szczytem swój sztuki czarodziejskiej, wykrywając domowego złodzieja, którego dotąd znaleźć nie było można. W istocie nie upłynęło pół godziny, złodziej sam się przyznał. Postępowanie guślarza było bardzo proste. Kazał sobie przynieść naczynie z surowym ryżem i wśród dziwacznych giestów odmruczał modlitwy. Potém ustawił w rzędzie wszystkich służących domu, i każdemu nasypał pełną rękę ryża dodając z najpoważniejszą w świecie miną, że Bóg Wischnu nie dozwoli winowajcy zgryść zębami ziarna, i że gdyby to złodziej próbował, bóstwo tysiącem rąk potłucze go na miazgę.

Pułkownik nakazał swym ludziom poddać się téj próbie, udając że i on sam przekonany jest, że złodziej natychmiast się wykryje, i towarzyszy swych oczyści z podejrzania.

Z niemałym zadziwieniem ujrzeliśmy, iż kuglarz rzucił się raptownie na jednego służącego i kazał mu ryż wypłuć



na taléř. Służący ten w rzeczy samej nie mógł zzuć ziarna, przestraszony zmienił się, pobladł, a padłszy do nóg pułkownikowi dobrowolnie się przyznał do licznych oszustw, które popełnił. Ziarno było nienaruszone, i aczkolwiek przesąd był zapewne śmieszny, to przecież nie mogliśmy dość wydziwić się zimnej krwi, z jaką kuglarz odegrał swoją rolę, jak niemniej zręczności którą posiadał w korzystaniu z łatwowierności swoich rodaków. Później kilka razy używałem téj metody do wykrycia złodzieja i rzecz dziwna, za każdą razą się udawała.

Później sposób osvajania jadowitych węzów opisuje pewien wysoki urzędnik kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Pewnego rana, pisze on, usłyszałem przy śniadaniu głośną wrzawę tragarzy moich, którzy mnie w palankinie nosili, i dowiedziałem się, że widzieli wielkiego węza z rodzaju grzechotników, którego chcieli ubić. Wyszedłszy ujrzałem pełzające zwierze po wysokim wale i tamże chroniące się w dziurze starego muru, skąd spoglądał na nas połyskującymi oczyma. Uszedł on szczęśliwie pogoni ludzi moich, uzbrojonych w pałki; chciałem się téż przekonać przy téj sposobności, czyli muzyka działa na węże — pytałem się o człowieka, który umie je czarować, a że mieszkał we wsi odległej o milę, kazałem go zawołać.

Przez ten czas strzeżono grzechotnika pilnie, on téż dopóki nas widział, nie uciekał. Po godzinném czekaniu wrócił posłaniec przywożąc z sobą guślarza. Człowiek ten przepasany suknem około bioder żadnego innego odzienia

nie miał na sobie i niósł dwa kosze, z tych jeden pusty, drugi napełniony oswojonemi węzami. Prócz tego miał puszczalką i oto wszystko. Koszyki postawił w pewnej odległości na ziemi, a z puszczalką wszedł na wał. Zaczął więc dać, a płaz wywabiony tonami muzyki wyszedł z dziury powoli. Skoro zaś mógł dosięgnąć guślarza, schwytał go tenże za ogon i trzymał tak mocno, że wąż na próżno kręcił głową, ażeby jadem swym dotknąć napastnika. Wtedy zeszedł z wału i włożył węża do pustego kosza, który szczelnie zamknął. Poczém znowu grał i po chwili otworzył pokrywę. Wąż zerwał się dziko i chciał uciec, ale pokrywa zapadła, a muzyka trwała nieustannie. Dwa czy trzy razy w ten sposób próbował; a kiedy ostatnią razą koszyk otworzył, wąż wsparty na ogonie tańcował spokojnie jak i inne oswojone węże i już nie myślał uciekać.

---

## 6.

Podróżując przez Indye można się wprawdzie eskortą wojskową zabezpieczyć przeciw napaści tygrysów i innych drapieżnych zwierząt, ale węże jadowite grożą podróżnemu prawie na każdym odpoczynku, zwłaszcza téż jeżeli się nocuje w gospodach lub namiotach rozłożonych z daleka od głównej drogi. Oto jest opowiadanie pewnej Angielki.

Siedziałam z przyjaciółkami w namiocie; troje dzieci położyło się na materacach na ziemi, kiedy przypelzał ogromny okularnik przynajmniej 4 stopy długi i położył się między dwoma dziećmi. Niepodobna mi opisać przestachu jaki nas porwał, ale strach ten sprawił to żeśmy zamilkły, i to było szczęście; bo przy najlżejszym hałasie i najmniejszym ruchu jedno z dzieci padłoby ofiarą. Przez pięć minut wąż leżał spokojnie. Potém sunął się dalej i przeciwnymi drzwiami wyszedł z namiotu; dopiero wtedy krzyknęłyśmy, ja zaś wyskoczyłam i zawołałam na pomoc; nadszedł żołnierz i zabił węża, który jeszcze był niedaleko.

Innego razu na drugiej stacyi ponieważ namiot mój niebył jeszcze gotów, poszłam na śniadanie do żony komenderującego oficera. Chciała ona zgiąć płaszcz, który leżał pod materacami palankinu, ale z przestachem ujrzała odsunąwszy poduszkę węża zwiniętego w kółko. Dopiero teraz spostrzegła, że przez trzy godziny leżała na straszliwym potworze niczego się nie domyślając.

Po miastach węże są także dosyć liczne. Jednego wieczoru siedziałam na balkonie, kiedy wąż najmniej trzy stopy długi zsunął się z dachu, gdzie leżał między kwiatami, tuż pod moje krzesło. Na szczęście oficer, który przy mnie siedział, miał w ręku kij, którym na śmierć węża ugodził.

Inną razą obudził mnie synek mój z krzykiem: „„Wstań Matko na miłość boską, wąż ogromny!““



Wyskoczyłam z łóżka, ujrzałam go jak się okręcił o nogę łóżka i łeb wystawił przynajmniej na stopę. Zabito go w ten moment i przekonałam się, że to był okularnik na sześć stóp długi.

Pewnemu oficerowi przyszła osobliwsza myśl do głowy: utrzymywać węże i oswajać je. Guślarze znosili mu potwory wszelkiego rodzaju, które przez wyrwanie zębów jadowitych stały się nieszkodliwymi. Dwa czy trzy lata bawił się w ten sposób oficer, ale jednego dnia kiedy zwykłym zwyczajem karmił potwory swoje mlekiem, ukąsił go jeden z nich w rękę. Przypatrzył mu się oficer i ujrzał, że wężowi nowy ząb jadowity odrósł; natychmiast kazał pozabijać wszystkie te stworzenia, które z taką pielęgnował troskliwością, ale to mu nie pomogło, bo we dwa dni umarł, mimo lekarstw jakie mu dawali lekarze z Madrasu. Najczęściej śmierć we dwie godziny po ukąszeniu następuje, ale oficer cierpiał dłużej, bo to było ukąszenie węża któremu po raz wtóry odrósł ząb jadowity. Ciekawą jest rzeczą przypatrzeć się, jakim sposobem guślarze wrywają węzom zęby. Lewą ręką chwytają oni niepostrzeżeni węża za ogon, a prawą posuwają aż do szyi; wtedy chwyciwszy za gardziel puszczają ogon; wąż schwytyany zwija się koło ramienia, a nawet jeśli tak długi koło ciała człowieka, przyczem wysuwa język i syczy przeraźliwie. Na ówczas wrywają mu jadowity ząb za pomocą długich obciążków, a wtedy wąż już jest nieszkodliwy, przynajmniej dopóki nowy ząb nie odrośnie;

W głowie okularnika znajduje się mały kamyk, czy też kosteczka, której mieszkańcy wielką siłę przypisują. Utrzymują oni, że ta materya wysysa truciznę z części ciała, którą wąż ukąsił, ale nie przylega do żadnej rany, w której nie ma jadu. Służący nasz ukąszony przez okularnika miał przypadkiem kamień taki przy sobie. Przyłożył go do rany i w kilka minut kamień przylgął mocno. Tymczasem nadszedł doktor, prosili go służący, aby kamień pozostawił, bo inaczej towarzysz ich niechybnie umrze. Wprawdzie lekarz nie miał téj wiary, lecz aby biednych ludzi nie martwić, przyobiecał im, że go z miejsca nie ruszy i tylko przyłoży lekarstwo dla zapobieżenia szérzeniu się zapalenia. Tymczasem środek, którego użył, sprawił to, że kamień sam przez się odpadł. Nadaremni były wszelkie zabiegi dla uratowania rannego, który wśród strasznych cierpień we **12** godzin skonał. Wrzucono kamień do mléka, wnet począł z niego wydobywać się pływ żółty, który się osadzał na powierzchni. Płyn ten musiał być jadem, bo skoro to mléko dano do picia psu, zdechł natychmiast. Opisuję fakta i niechcę utrzymywać, że ten kamień pozostawiony na ranie byłby ocalił człowieka, nieumiem nadto powiedzieć, czyli drugi raz użyty jest równie skuteczny.

Jest pewne nadzwyczajne zwierzątko zwane Mongulis czyli Ichneumon, które posiada niezbadany dotąd środek zapobiegania szkodliwości ukąszenia węzów jadowitych. Mongulis jest koloru popielatego i podobny jest do świnki

morskiej. Każdego węża, którego spotka, zabije, a jemu się nigdy nic złego nie stanie. Zdarza się wprawdzie, że go płaz ukąsi, ale wtedy bieży on do najpierwszego krzaku lub wody, tam przebywa kilka chwil i znowu śmiało rusza na nieprzyjaciela. Jak powiadam prawie zawsze Ichneumon zagryzie węża, a niema przykładu, żeby on zginął od jego ukąszenia. Zabito kilku Mongulisów, które dopiero co skończyły walkę z wężem, rozbiérano rany, szukano antydotum jadu, ale dotąd nic takiego nie znaleziono w jego żołądku.

Zresztą Mongulis jest bardzo spokojne stworzenie, i jeśli z kim walczy, to tylko z wężami. W Indyach i Egipcie po domach wytępia tak dobrze węże, jak u nas koty wypędzają myszy.



## Pożar Stepów.

### Na wyspie Świętej Trójcy.

Ułatwiwszy mozolne czynności urzędowe postanowiłem wrócić znowu do stolicy, już dla tego aby przyjaciół moich zobaczyć, już też aby się dowiedzieć coś nowego o wojnie na sąsiednim lądzie toczonój. Wyruszyłem więc konno i postanowiłem w przejeździe odwiedzić wszystkich znajomych, którzy mieszkali na drodze ku stolicy. Po kilkunowój wędrowce przybyłem nakoniec do Chaguanas, miejsce to oddzielone jest od stolicy szesnastomilowym stepem. Że dotychczas przez tę równinę nie pokopano rowów, pełno na niej bagnisk, a rzeka Carony zalewa ją przez 8 do 9<sup>iu</sup> miesięcy. Naprędce nie mogłem dostać przewodnika przez stepy, wypytawszy się więc o ścieżki sam sobie torowałem drogę.

Było to lato, trawy poschły, zapowiadano że nie za długo Hiszpanie, jak to zwykli czynić corocznie, podpalały stepy.

Według danój mi wskazówki jechałem przez trawy na pięć do sześciu stóp długie obok pięknych drzew palmowych, z których po cztery rosło w jednym rzędzie. Wiedziałem wyraźnie naprzeciw wysoką górę i według niej kierowałem się, a przecież zdawało mi się żem zbłądził, i już miałem zamiar wrócić.

Z niemałym zadziwieniem spostrzegłem po niejakiem czasie mnóstwo uciekającej obok mnie zwierzyny. Wszystko biegło pospiesznie w jednym kierunku, jakby to chodziło o jój życie, a przecież nie słyszałem szczekania psów ani nic takiego coby zapowiadało polowanie. Kilku dzikich psów i borsuków przeleciało koło mnie. Koń mój wstąpił na żółwia, ale i to zwierzątko, skoro się tylko z pod kopyta wydostało, spieszyło jak mogło w tym samym co inne kierunku. Dalej obaczyłem całą trzodę piźmowców, która kwicząc przeleciała koło mnie, dalej spostrzegłem znowu kota tygrysięgo z sześcioma młodemi, między zaroślem pełzał wielki Boa, którego zoczywscy zerwałem się do noża, ale Boa, a za nim wielu innych węzów, ruszyło dalej nie zważając na mnie.

Co to miało znaczyć? Zdawało mi się, że wszystkie zwierzęta zawarły ze sobą przymierze i spieszyły na wielki kongres. Tymczasem i koń mój puścił się tym samym kierunkiem co i inne zwierzęta, wiatr świstał pomiędzy sitowiem, jakleś syczenie i trzęsienie dało się słyszeć, któregom podobnież wyłómaczyć sobie nie mógł. Nagle doszedł mnie dym; tu już okropna prawda stała mi przed

oczyma. Step był podpalony! Wyjaśniła się trwoga zwierząt, uciekały one przed zabijającym żywiołem. Nie miałem nadziei ujscia z téj pożogi, spałem konia chociaż niepotrzebnie, bo biedne stworzenie przeczuło pierwój niżeli ja niebezpieczeństwo i wyteęzało wszystkie siły. Byliśmy jeszcze w gąszczu sitowia; gdyby więc nas płomień w nim doszedł, w ciągu kilku sekund spalilibyśmy się na węgiel. Zamknąłem oczy, bo dym mi je wygryzał i dech tamował. Coraz bliżej syczały płomienie, ale już téż sitowie rzedniało i grunt poczynał być bagnisty. Koń mój, którego skwar już poczynał dogrzewać, dał kilka szalonych susów i w mgnieniu oka wpadliśmy do bagnistego jeziora, gdzie wszystkie zwierzęta z całego stepu się skryły.

Minutą jedną później, a już byliśmy przepadli; bo ledwo koń wpadł w wodę, która roiała się od węzów i czworo-  
nożnych zwierząt, wnet pożar ogarnął jezioro do koła, a płomień jakby przeleciały po nad naszymi głowami. Wskoczyłem po szyję do bagna. Zwierzęta ziajały ze skwaru, ale jedno na drugie nie zwracało uwagi. Kilku węzów jadowitych, które czołgały się do wody, doszedł płomień i spalił im ogon; z głupią wściekłością zwróciły się sycząc na płomienie i w jednéj chwili został się z nich tylko czarny węgiel.

Wiatr pędził płomienie aż na jezioro, położenie moje było okropne; nurzałem się w błotnéj wodzie, chowałem pod konia, i ręką zwilżałem mu rozpaloną głowę. Trwało tak z pół godziny, zanim pożar przeszedł, wszakże z bagna



wychodzić nie było podobna, bo grunt był gorący jak dno pieca. Na szczęście ukazywać się zaczęły czarne na niebie chmury, wzdychałem do dészczu, bo trudno mi było dłużej zostawać w sąsiedztwie całego niemal królestwa zwierzęcego. Dotąd żyło ono wprawdzie zgodnie, lecz wkrótce rozpocząć się mogły kroki nieprzyjacielskie. Przysuwałem się z koniem do pnia, wyszedłem na ląd, lecz wkrótce koń rżąc boleśnie przywołał mnie na pomoc. Ogromny Boa przeszło 20 stóp długi już dwa razy obwinał się około konia i ciągnął go do pnia. Już potwór chciał okręcić się około szyi końskiej, kiedy dobywszy noża wpakowałem mu go w głowę. Zerwał się, wyprężył, i chciał mnie porwać nie puszczając konia, rozwarł paszczękę, i zionął na mnie tchem, który z niczém nie da się porównać. Wskoczyłem do wody i z po za konia ugodziłem tak szczęśliwie, że mu przeszył paszczękę. Cofnął się, ja zaś jedném cięciem oderznałem mu ogon, którym się o drzewo uczepił. To zdawało się być ciosem śmiertelnym, Boa stracił siłę, pokrwawiony łeb wsadził do wody, a mój biedny koń rżał czując się uwolnionym od duszącego ucisku. Wszakże musiałem poprzerzynać skręty, zanim kadłub węża do reszty utonął.

Tymczasem błogi dészcz, który w porze suchéj nie rzadkim jest na wyspie gościem, ożywił spiekły grunt. Zdawało się jakby kto lunał wodą po rozpaloném żelazie; wzniosły się gęste chmury pary, ja zaś nie czekając drugiej walki z innym moim sąsiadem, wyciągnąłem konia, który był zanadto osłabiony aby mnie mógł dźwigać i za-

prowadziłem go do rzeki, gdzieśmy się obydwaj opłókali. Ciągnąc za sobą rumaka przepłynąłem ją, i zaszedłem do plantacyi Kreola, który mnie najgościnniej przyjął i podczas kilkudniowej gorączki troskliwie się mną opiekował, lecz koń mój piękny zdechł po dwóch dniach.

---

# Ludzie i Zwierzęta w Indyach Wschodnich.

---

## 1.

### Charakter i przesady Indian.

Nic bardziej Europejczyka w Indyach nie zadziwia jak ta nieznamość wartości życia, która wszystkich krajowców cechuje. Ona to tłómaczy zimną krew, z jaką najtchórzliwsi i najbardziej zniewieściali Indianie idą na śmierć. Ona wyjaśnia fenomen dobrowolnego palenia się wdów, ofiarowania dzieci swoich; ona po części usprawiedliwia obojętność, z jaką jedni popełniają najstraszliwsze mordy, a drudzy się o nich dowiadują. Znanym jest szeroko rozgałęziony związek Thugów czyli dusicieli, którzy skoro tylko mogą zabijają ludzi, w mniemaniu że tém bóstwu sprawiają przyjemność. Jest znowu inne stowarzyszenie rozbójników, którzy dla rabunku trują ofiary. Członkowie téj okropnej społeczności rozprzestrzenieni są po całych Indyach; bez trwogi pełnią swe rzemiosło, bo niełatwo im dowieść mordu. Zazwyczaj do tytoniu do-



sypują trucizny, a jeżeli chcą otruć niewiasty lub dzieci albo też mężczyzn którzy tytoniu nie palą, z nieporównaną zręcznością zatruwają pokarmy i napoje swych ofiar. Biada tym co dadzą tym łotrom sposobność zbliżenia się do sprzętów kuchennych; niespodziéwanie ogarnie ich sen śmiertelny. Nie troszczą się oni że, aby ukraść rzecz wartości kilkunastu złotych, ośm lub dziesięć osób trzeba zgładzić ze świata. Życie ludzkie nie ma dla nich żadnej wartości. Często do ofiar swych zbliżają się jako żebracy i odbierając jałmużnę bez litości mordują.

Takie zbrodnie każdego Europejczyka zgrozą przejmują, ale Indyanin mało do nich przywiązuje wagi. Rząd angielski położył koniec ofiarom z ludzi, ale za to nie wiele zmniejszyła się liczba tych, co dobrowolnie dla bóstwa idą na śmierć. Rok rocznie mnóstwo młodzieży zabija się, li tylko dla tego aby ślubu matki dopełnić. Często się bowiem zdarza, że matka pierwородnego syna przeznaczą Bogu Zniszczenia; dopóki więc nie dorósł, kryje przed nim ślub, potem dopiero oznajmia go, i nakazuje wypełnić. Wiadomość tego rodzaju, bynajmniej młodzieża nie przeraża; obowiązek każe mu być posłusznym matce i od tego dnia poczytuje się za ofiarę Boga niszczącego. Słowa nikomu nie mówiąc wdziewa na siebie szaty pielgrzymie, zwiedza najślawniejsze kościoły poświęcone także Bogu Zniszczenia, i w dzień uroczysty wobec zgromadzonego ludu ciska się że skały 500 stóp wysokości w przepaść, gdzie już leżą kości tysiąca mu podobnych.

Przesady Indyan skłaniają ich do ślubów najpotworniejszych, ale zawsze z nieposzlakowaną sumiennością dokonanych. Całe rodziny odbywają pielgrzymki przez 300 lub 400 mil dla odwiedzenia jakiegoś sławnego kościoła i wypełnienia ślubów. Nie raz przesąd zastępuje miéjsce sumienia i nie jednego wstrzymał od zbrodni. Tak n. p. jeżeli do drzewa owocowego przywiązany jest jakiś drążek poświęcony Bóstwu, najzuchwalszy nawet Indyanin nie poważy się zerwać z tego drzewa owocu. Byłem świadkiem, jak pewien obcy przyszedł do mego gospodarza, do nóg mu się rzucił i prosił o przebaczenie. „Cóż ci mam przebaczyć?“ zapytał tenże.

„Przed trzema laty,“ rzecze obcy, „ukradłem owoc z twego drzewa i od tego czasu gwałtowne bóle cierpię w żołądku. Duch drzewa zwyciężył mojego, ty tylko sam możesz wpłynąć na niego, aby mnie zostawił w pokoju.“ Gospodarz mój nie odpowiedział ani słowa wziął kawałek krowieńca i w imieniu ducha uczynił nim znaczek na czole winowajcy, a resztę położył mu na włosach. Po skończonej operacyi ustały wnet bóle, winowajca z radością dziękował i odchodząc przysięgał, że nigdy już na zemstę ducha drzewowego narażać się nie będzie.

Jeden z najśmieszniejszych obyczajów indyjskich jest ślub rzeczy nieżyjących. Kto zaszczepia drzewo owocowe, musi je pierwój z inném drzewem pożenić, na co wydają zwyczajnie ogromne summy; bo do takiej uroczystości sprowadza się przynajmniej 100 braminów, a nie

można ich ladajako ugościć. Im więcej zjechało się braminów, tym dumniejszy jest właściciel ogrodu. Są naprzykład pewne święte kamienie, które się corocznie z wielkimi uroczystościami zaślubia krzakom. Byłem przypadkiem takiemu obrzędowi przytomny. Na czele orszaku jechał bogato odziany słoń, który niósł kamyczek uważany za nowożeńca. Za nim szło 2000 wspaniale przybranych wielbłądów i 4000 przepysznych koni w kosztowne rzędy odzianych i zjeźdźcami zbytkownie ubranymi. Do pochodu należało przynajmniej 100,000 osób.

Z tego wnieść łatwo, jakie niesłychane koszta pociąga za sobą ślub bogatego Indyanina. Świta możnego oblubieńca nie rzadko liczy dziesięć i dwadzieścia tysięcy osób; ciskają oni, przez całą drogę, naprzód miedziane, potem srebrne, a nakoniec złote pieniądze i kamienie drogie. Niemniejszy koszt spada także na ojca oblubienicy, bo cała ta zgraja, niezliczeni jego własni goście i mnóstwo kapłanów, podczas uroczystości żyje u niego i wspaniale bywają uraczani. Oprócz tego każdy musi dostać rupię, to jest pieniądz srebrny wartości 4 złotych, i to nie tyle już goście, jak raczej przychodnie zbliżający się do jego domu. Rzecz naturalna, że mnóstwo ludu chcąc skorzystać z téj szczodroblewości zbiega się ze wszystkich stron. Byłem na jedném weselu, gdzie nacisk ludu był tak wielki, że go musiano zamknąć, jako trzodę baranów, w parku i od czasu do czasu otwierano bramę dając przechodzącemu rupię.



## Okrucieństwo Indyan.

Na dowód surowych obyczajów Indyan służyć mogą okrutne kary wymierzone na większych, ale często i na mniejszych przestępców. W téj mierze oficer angielski opowiada co następuje:

Tuż pod naszym obozem mieliśmy widowisko mogące służyć za typ wschodniego barbarzyństwa. Powieszono człowieka za nogi i zostawiono go w ten sposób póki nie skonał. Sądząc po siwych włosach i brodzie, musiał być to już starzec; ale że ciało wisiało od dawna, nie mogliśmy rysów twarzy rozróżnić. Powiadano nam, że zamordował dziecko chcąc mu zabrać srebrne bransoletki. Jeżeli tak było, śmierć mogła być zasłużoną, ale jój rodzaj oburza poczciwe serca.

W kilka dni potem widzieliśmy tłum po większej części z kobiet i dzieci złożony. Przyjechaliśmy chcąc się dowiedzieć, coby był za powód tego natłoku, i spostrzegliśmy w pośrodku leżącego na ziemi człowieka, któremu za kradzież obie ręce odrąbano. Słabym oddechem dawał jeszcze znak życia, ale nie miał przytomności, a krew buchała z ran. Nie śmiał nikt przyjść mu w pomoc i w takim stanie rzucono go na ziemię.

Obok niego leżał pień, który służył za szafot, ale ręce zabrano, bo według zwyczaju należało je położyć na

miejscu, gdzie popełnił kradzież. Chcieliśmy biednego zabrać z sobą do obozu, ale się sprzeciwili krajowcy twierdząc, że był skazany wedle prawa i żeśmy się nie powinni wtrącać. Odstąpiliśmy więc, ale z radością potem ujrzeliśmy, iż kilku ludzi uniosło go skrycie, i że była jeszcze nadzieja zachowania go przy życiu.

Współcześnie w pobliżu naszego obozu odbyły się dwie egzekucye równie straszliwe, jak poprzednie. Całą zbrodnią nieszczęśliwego było, że krowę zabił. Sędzia był mniemania, że nie można inaczej okupić krwi tego poświęconego zwierzęcia reprezentującego bóstwo indyjskie, jak tylko śmiercią złoczyńców co ją przelali. Ciało jego zawieszono na drzewie i oddano na pożarcie drapieżnym ptakom — drugiego zaś, który z nim razem tego występku się dopuścił, na drugim końcu miasta zabito.

W kilka miesięcy potem w ciągu podróży stanęliśmy na popasie w pewnej forteczce. Przez czas spoczynku zdarzył się wypadek okropny, któremu przeszkodzić nie mogłem, bo był już bliski końca kiedym się o nim dowiedział. Jak się zdaje, horda Chaibów zabrała garnizonowi dość znaczną ilość wielbłądów. Skoro się tylko o tym rozboju dowiedziano, wyprawiono oddział wojska, ale ten niedogonił już rozbójników; natomiast z ich pokolenia zabrał dwóch ludzi, chociaż ci najmniejszego udziału w wyprawie nie mieli. Obu nieszczęśliwych zamknięto w więzieniu; a nazajutrz wyprowadzono na miejsce egzekucyi. Spostrzegłem jakieś zamieszanie, skąd wnio-

słem, że oddział wyrusza z fortecy. Wszakże niemogłem się domyślić, na co brali z sobą suche drzewo. Kiedy orszak cały stanął na miejscu, utworzono koło tak ściśnięte, że się przez nie dostać nie było można, i w tém doszedł moich uszy głos: „„Ukamenować ich, ukamenować!““ Na raz po nad głowy widzów wzniósł się wysoki płomień. Dopiero teraz wpadłem na myśl, że Indianie chcą jakąś zbrodnią popełnić i zapytałem się człowieka stojącego spokojnie, a przystojnie odzianego, co za znaczenie ma ten obrząd: „„Mają stracić dwóch Chaibów,““ odpowiedział mi najspokojniej, opisując zarazem w jaki sposób ci nieszczęśliwi dostali się w ręce jego ziomków. Niemogłem ukryć mego oburzenia. Spostrzegł je Indianin i rzekł: „„Nic w tém dziwnego, zrobiliśmy to samo z innymi, którzy się w nasze ręce dostali.““

Są to skutki nienawiści, jaką dwa te plemiona ku sobie pałają. Ujrzałem później, że męczarnie jednej ofiary nie trwały długo, bo w rozpaczy poszarpał więzy i rzucił się na nieprzyjaciół którzy go rozsiekali. Towarzysz jego nie był tak szczęśliwy, ale i ten nie długo musiał cierpieć, bo ogień wszczął się mocny i w kilka chwil zginął w nim zapewne.



## 3.

**Sipahi.**

Sipahi jest z natury żołnierzem, i przedstawia typ ślepego posłuszeństwa. Wola oficera jest dla niego prawem, na najmniéjsze jego skinienie gotów rzucić się z wyrzeczeniem samego siebie. Dopóki dowódzca dzieli jego niebezpieczeństwo, niema przemocy; prowadzony przezeń rzuca się bez myśli w najgęstsze tłumy nieprzyjaciół i aż do armat samych dociéra. Bez względu jakie ma znaczenie wydany rozkaz, on trzymać się go będzie, co do słowa.

Stałem na kwaterze w Delhi. W mieszkaniach oficerów popełniano mnóstwo kradzieży, a sprawców ich odkryć nie mogliśmy. Były one widocznie dziełem jakiegoś obcego, który znalazł sposób dobiérania się wśród nocy do naszego obozu. Na wszystkich więc liniach postawiliśmy placówki i wydaliśmy najsurowszy rozkaz strzelania bez wyjątku do każdego, kto na zapytanie nie odpowie.

Pewnego wieczoru poszedłem do mojego majora na fajkę, kiedy nagle przeraził nas strzał. Chcąc się dowiedziéć o przyczynie wybiegliśmy, a zoczywszy, że wystrzelono ze środka fortyfikacyi o jakie 300 kroków od nas, udaliśmy się na miejsce. Było już niemało ludzi którzy równieź jak my przestraszeni zbiegli się z pochodniami.

Na ziemi leżał rozciągnięty trup, a na nim szyldwach jak się zdawało bezprzytomny. Z rany zabitego lała się krew, i uczerwiała białe spodnie Sipaha.

Kazałem go podnieść chcąc się przekonać, czy on umarł czy też tylko zemdlął. Lecz przekonałem się że żył, a kiedy zwrócił na mnie twarz, odstałem przerażony widokiem niewypowiedzianej boleści i rozpacz. Rozwarły się usta nieszczęśliwego, skrzywiły się wargi, a w oczach jego obłąkanych jakby skamieniałych widać było szalone cierpienie. Siłił się wyrwać z rąk tych co go podnieśli, chcąc znowu rzucić się na trupa.

Dzikie ruchy, krzyk rozdziérający serce i jęki nieszczęśliwego zmieszane z słowami straszliwych groźb, wszystko to wprawiło mnie w dziwne zdumienie, bom tego żołnierza znał i wiedziałem, że przed kilkoma godzinami był zdrów. Odprowadzono nieszczęśliwego i wtedy udało mi się dowiedzieć o tym wypadku następujących szczegółów.

Postawiono go na godzinę przed północą na straży. Jak powiedziałem dano najsurowszy rozkaz strzelania do każdego, ktoby się zbliżył bez odpowiedzi. Upłynął czas niejaki, kiedy Sipahi spostrzegł, że się ktoś ku niemu zbliża. Stosównie do rozkazu zawołał, ale człowiek idący zamiast odpowiedzi starał się przebież prędkiej i cichaczem. Żołnierz po raz wtóry krzyknął: Kto idzie! a że i tą razą nie odebrał odpowiedzi, wypalił i na miejscu powalił przychodnia. Nieznajomy padając jęknął i jedno

słowo powiedział — a był to głos ojca tego żołnierza! Sipahi cisnął karabin na ziemię, bez zmysłów rzucił się przed ofiarą, ale za późno! Niewinny ojcobójca wymierzył za nadto celnie, i dopiero kiedy życie ojcowskie wydarło się z piersi wzywając po raz ostatni syna, poznał nieszczęśliwy rodzica.

Ten zaś mieszkał o **100** mil od fortecy; przez góry i lasy, rzeki i doliny przedziérał się, aby uścisnąć jedynaka swego, pociechę starości. Po pierwszym zawezwaniu poznał głos syna, radość ścisnęła mu głos w piersiach, zwrócił się więc i biegł czémprędzej do syna, kiedy strzał położył go na miejscu wydzierając tylko imię jedynaka z pod serca.

Nazajutrz dowiedziałem się nie bez pociechy, że nieszczęśliwy Sipahi skonał. Śmierć prędko położyła koniec jego cierpieniom.

#### 4.

### Poświęcenie Indyanina.

Wyjechałem z Behrampur z kilkoma innymi na polowanie mając z sobą lamparty oswojone. Straszliwa ta sfora biegła wolno, ale przytém była tak oswojona, że spała obok swych dozorców i strzegła ich jak psy. Polowanie było prześliczne; alem się czuł po nim tak zmęczony, że



się w Kalkucie położył w łóżko. Tymczasem odebrałem list z Behrampur, który mi doniósł, że mnie pewien służący prawie zupełnie okradł, musiałem się więc wyrzec spoczynku i ruszyłem w drogę. Trzydzieści mil miałem przed sobą, wodą trzeba było na to 7<sup>iu</sup> dni, łądem dosyć 30 godzin każąc się nieść w lektyce. Kto w Indyach nie żył, nie ma wyobrażenia o tym rodzaju podróży. Tragarze zmieniają się co trzy mile, dwaj dźwigają, a dwaj inni z zapalonemi pochodniami straszą w nocy tygrysów. Ten sposób podróżowania ma swoje przyjemności, ale większe jeszcze nieprzyjemności, bo w dzień człowiek spiecze się na słońcu, a w nocy mimo pochodni łatwo może być pożarty przez tygrysy.

Przybywszy kazałem natychmiast zawołać miejscowego proroka. Ludzie ci są to na pół kapłani, na pół guślarze, przewidują przyszłość, odszukują zgubionych rzeczy i odkrywają złodziei. Znany jest wszystkim sposób, którego używają korzystając z łatwowierności krajowców. Dzięki zręczności kuglarza i ziarnom ryżu, odkryłem przestępcę i oddaliłem go ze służby.

Nazajutrz poszedłem na wieczór do kolegi i grałem w wista, kiedy mi doniesiono że tragarz, który mi dał znać o popełnionej kradzieży, chciał zemną mówić. Wyszedłem i dowiedziałem się, że przyjaciel mój mieszkający w Murshedabad o 3 mile odemnie przez posłańca prosi mnie, abym natychmiast do niego przyjechał. Dziwne mi się to trochę wydawało, ale wyruszyłem bez zwłoki i w

Murshedabad znalazłem wszystkich śpiących. Wróciłem więc z mocnym postanowieniem ukarać surowo tragarza, który mnie zwiódł. Obudziłem służących i zapytałem o winowajcę. Lecz nikt o nim nie wiedział i napróżno go szukano. Z gniewem musiałem karę do następnego dnia odłożyć, poszedłem do sypialni, zastałem tam wszystkie komody przewracane, przekonałem się że mi całą garderobę zabrano. Nie mogłem wierzyć, aby tragarz, który mi dał tyle dowodów przywiązania, mógł się względem mnie dopuścić kradzieży; wszakże turban jego, którym znalazł na podłodze, wyprowadził mnie z wszelkiej wątpliwości. To odkrycie bardziej mnie zmartwiło niżeli rozgniewało. Zły przystąpiłem do łóżka, lecz odsunawszy firanki spostrzegłem drugiego siebie z głową w sukno moje obwiniętą. Zdumiony przybliżyłem świecę . . . to był mój tragarz — wołam na niego, nic nie odpowiada, biorę go za ramię, ale ciało zimne — przedemną leży trup! Odkrywszy kołdrę ujrzałem sztylet aż po rękojeść w piersi wepchnięty. Krzyknąłem na służących, a jeden z nich podniósł z ziemi karteczkę, na której igłą w Indyjskim języku wykłutych było kilka wierszy. Zawołałem tłumacza, a ten odczytał głośno: „Człowiek którego poznałeś jako złodzieja, chciał cię zabić. Takie sieci rozstawił, żeś jego zemście ująć nie mógł. Kazano mi przysiąc, że tajemnicy spisku do śmierci nie wydam; przebac mi panie, żem kłamstwem z domu cię wydalil, zabrałem twoje miejsce i szczęśliwy za ciebie umrę.“

Zbrodniarz uciekł w mniemaniu, iż mnie zamordował, a przytomni słudzy widząc to poświęcenie, nie okazali najmniejszego zdziwienia, jakby to była rzecz najprostsza w świecie.

---

5.

### **Oswajacz węzów i słoni.**

Dwa najstraszniejsze zwierzęta we Wschodnich Indiach, to jest słonie i węże, mimo broni jaką im natura sama dała, dają się obłaskawiać pewnej klasie ludzi, których zowią guślarzami. W ciągu pobytu w Indiach, widziałem ich wielu, ale z nich jeden najbardziej mnie zdziwił zręcznością swoją i śmiałością. Niewidziałem nikogo, aby z taką pewnością siebie obchodził się z okularnikami. Wąż tak łagodnym dla niego się okazywał, iż mniemałem, że czarodziej zmienił jego naturę; przysunąłem się więc z ręką, ale wąż syknął i pokazał zęby jadowite. Zapytałem go czy wąż jeszcze ukąsi? Bez wątpienia, odpowiedział i czémprędzej schował go do kosza. „A z innymi węzami, pytałem dalej, którebyś napotkał w lesie, czy możesz się tak samo obchodzić?“ „Z początku nie, odpowiedział mi, ale aby najdzikszego oswoić, potrzebuję dwóch dni. Tego co pan widzisz złapałem przed 14 dniami. Od tego czasu nic nie jadł.“



Nim go pożegnałem, ofiarowałem mu monetę złotą, ale jój nie przyjął. Zapewniano mnie, że to jest najzręczniejszy ze wszystkich czarodziei. Jakim sposobem udało mu się tak dziwną moc pozyskać na jadowite płazy, odkryć nie mogłem i domyślałem się, że to jest tylko skutkiem jego śmiałości.

Wszakże daleko dziwniejszym jest wpływ, jaki niektórzy Indyanie wywierają na słońce, wtedy nawet kiedy one najwściekléj są rozjątrzone. Przyjaciel mój kapitan L. znajdował się raz na polowaniu słońi i ledwo wszedł do lasu, spotkał jednego. Wziął na cel głowę zwierzęcia, ale wystrzelił za prędko, bo kula nie w głowie, lecz w szyi utkwiała. Wściekły zwierz rzuca się na nierozważnego strzelca, — już go trąbą chwyta, już niebyło nadziei ocalenia biednego. W téj chwili przyskoczył jeden z krajowców; prędko i wyraźnie wymówił kilka słów, któremi zmusił słońia iż stanął na miejscu. Potém wyciągnął do niego ręce i jeszcze głośniej inne słowa wymówił; tym giestem i słowami przerażony słoń zwrócił się i uciekł, a uciekając ryczał straszliwie i wywijając trąbą obalał drzewa, które mu stały po drodze. Niechaj czytelnik wyobrazi sobie zdumienie Europejczyków, którzy wypadkowi temu byli obecni.

Kapitan L. przyszedłszy do siebie z przestrachu, zapytał gdzie jest jego wybawiciel. Odpowiedziano mu, że zniknął w gąszczu, bo z resztą nie przyjąłby żadnego wynagrodzenia. I ten także nieznanomy guślarz uchodził za

najręczniejszego i najpotężniejszego czarodzieja. Kiedy to skończył kapitan, inny oficer opowiedział mi następnę zdarzenie. W pobliżu mego garnizonu kobieta popadła w tak nadzwyczajne szaleństwo, iż mniemano powszechnie, że ją szatan opętał. Siły jój tak się wzmogły, że sześciu tęgich chłopów zaledwo ją utrzymało. Rodzice tém nieszczęściem do rozpacz przywiedzeni, używszy na próżno wszelkich środków, które im doradzano, przywołali sławnego guślarza, o którym mówiono, że posiada sztukę tajemnych lekarstw. Nie bez trudności pozwolono mi znajdować się na tym obrzędzie wypędzania złego ducha. Czarownik przyniósł z sobą trzy małe gałązki, i operacją swoją zaczął od tego, że wszystkich przytomnych upomniał, aby się zachowali w spokoju, bo inaczej za życie żadnego z nich nie ręczy. Poczém zbliżył się do chorój i co trzy minuty uderzał ją lekko końcami gałązek w głowę, piersi, ramiona, nogi i stopy. Po upływie pół godziny kazał, aby ją puszczo. Usnęła głęboko, po dwóch godzinach snu wstała i niewiedząc o niczém, co się działo w przeszłości, udała się do zwykłych zatrudnień.

## 6.

### **Polowanie na aligatora.**

Spotkał mnie zaszczyt, pisze pewien Anglik z Manilli, ubicia aligatora, który blisko przez dwa lata był plagą wsi,

pożerał krowy i konie, raz nawet połknął Indyanina płynącego przez rzekę. W owój wsi nie złapano jeszcze ani razu krokodyla, gospodarz mój nie widział żadnego zwierzęcia tego rodzaju i dał się łatwo namówić do towarzyszenia mi. Właśnie nam też powiedziano, że aligator udusił pięknego konia i powłókł się z nim do rzeczki po za plantacyami płynącój. Ruszyliśmy natychmiast z miejsca i założyliśmy mocne sieci przy ujściu rzeki. Następnie wyprawiliśmy kilku Indyan na łodziach i ci drągami wygnali zwierze z głębi wody, a dopiero też wtedy rozpoczęła się walka porządnie. Naprzód aligator zwrócił się ku morzu, ale ujrzawszy, że mu tę drogę zastawiono, płynął pod wodę, lecz spędzony powtórnie drągami starał się umknąć lądem. Był zaledwo o kilka kroków odemnie, kiedym mu pierwszą kulę wpakował w nogę, a zaraz potem drugą w kark, trzecią zaś w brzuch. Zwrócił się więc i pobiegł w drugą stronę, gdzie go mój towarzysz dwoma kulami przywitał. Znowu więc wpadł do wody, przez dwa niewody gwałtownie się przedarł, ale się w nich powikłał, co zoczywszy Indyanie natychmiast przybiegli — i na ówczas zaczęła się walka na drągi i dzidy. Z nadzwyczajną zręcznością używał on w czasie téj walki ogona i paszczy, uważaliśmy wszakże, że się z ciężkością poruszał, bo właśnie pierwój pożarł całego konia; jakoż trzy końskie nogi znaleźliśmy w jego brzuchu i oprócz tego wiele bardzo kamieni, a z tych niektóre po kilka funtów ważyły. Nie łatwo było wyciągnąć go na ląd. Musie-



liśmy zwołać na pomoc ze wsi wszystkich ludzi, kobiety, dzieci i dopiero na łądzie zakłuliśmy go dzidami. Miał on 20 stóp długości, a jedynaście grubości. Sama jego głowa ważyła półtrzecia cetnara, cały zaś mógł ważyć około 20 lub 30 cetnarów.

## 7.

### Królestwo zwierząt w Indjach.

Drugiego dnia po przybyciu do Indyj, jużemy mieli sposobność poznania się z tamtejszą plagą na ludzi, Moskitos, (rodzaj jadowitéj muchy niewypowiedzianie chciwój na krew ludzką). Nie są one większe od naszych much, może i nie jadowitsze, ale ich ukłócie sprawia nieznośny ból. Nie mniej przykre mi są nieskończone roje jaszczurek, które się po ścianach czołgają i patrzą ciekawie, ale o nich dowiedzieliśmy się zaraz, że ludziom nie robią nic złego, i owszem są raczej mieszkańcom użyteczne, bo czatują nieustannie na Moskitos, mrówki, i pluskwy, których niesłychana moc się znajduje. Indyjanie zowią z tego powodu jaszczurki Ipulli. Uważałem je odtąd za dobrych przyjaciół, a syk ich nie wróżył mi nic złego, chociaż Malabarczycy przypisują im moc wrózenia nieszczęść. Trzeba się także przyzwyczaić do przykrego odoru susłów czyli myszy z ostrym pyszczkiem, których tłumy spa-

cerują po pokoju, bo tu się nigdy drzwi i okien w porze gorącej nie zamyka. Nie trzeba się też straszyć, chociaż wśród nocy przebudzi człowieka przeraźliwe miauczenie kota, chociażby z pod samego łóżka. Nie warto wstawać, kot ucieknie zaraz jakby i bez tego uciekł. Jeszcze gorsza sprawa jest z psami tak zwanymi psami Paryasów, które zgłodniałe wpadają w nocy do wsi i odwiedzają Europejczyków.

Chciałem raz takiego psa wypędzić z sypialni, ale on się położył, wyszczerzył zęby i warczał. Zawołałem więc na pomoc i ledwo go moi służący wygnali.

W nocy dokoła słychać wycie szakali; są one podobne do psów, ale mniejsze, zbierają się na cmentarzach, jak niemniej w miejscach, gdzie palą trupy. Zbliżając się do mieszkań ludzkich zażarte walki toczą z psami.

Leśny pies jest pewnym rodzajem kuny i żywi się w ten sam sposób co ona. Choć się zowie leśnym, mieszka pod dachami, mianowicie w domach niezamieszkałych; w dzień widać im nieraz ztamtąd ogony i w ten sposób łatwo je złapać.

Nie mało jest w Indyach królików i zajęcy. W ogrodach przebywa zazwyczaj kot dziki szary z czarnym ogonem i czatuje na drób domowy. Sowy czynią hałas nieznośny, ale nie huczą tak melancholijnie jak u nas, owszem w ich głosie jest coś ostrego i przeraźliwego.

To wszystko dzieje się w nocy, w dzień zaś wrony i wróble wrzeszczą nieznośnie. Najstraszniejszymi są

zwierzęta jadowite. Można się nazwać szczęśliwym, jeżeli się w pokoju nie nadepce na węża albo na niedźwiadka. Dla uchronienia się od nich przez całą noc palą się w sypialniach lampy, ale mimo to kryją się po domach nie tylko mniejsze jadowite węże, lecz i większe z rodzaju olbrzymich. Przez kilka dni, dom w którym mieszkałem był kryjówką Boi. Wśliznął on się między mury i tam żywił się szczurami i myszami, dopóki się sam nie zdrażlił, kiedy począł syczyć za zbliżeniem się człowieka. Jeszcze to jest szczęściem, że ten wąż nie jest jadowitym i że jeśli mu się jeść nie chce, nic złego człowiekowi nie zrobi.

W porze gorącej pola przedstawiają widok pusty i smutny, schną krzaki i opadają z nich liście; wszystko cokolwiek nie bywa wodą skrapiane albo co nie jest ochraniane cieniem, spali się na słońcu, jedne tylko drzewa w sposób dotychczas niewytłómaczony znoszą skwar, który wszystkie inne krzewy wysusza. Woły i bawoły wśród letniego skwaru, objuczone ciężarami, bardzo skąpą znajdują paszę; nielepszy też jest los krów, na które ciężkie worki z ryżem wkładają, a te niewiele dostarczają mleka. Piękne białe woły, któremi się Europejczycy i krajowcy w podróżyach posługują (niebędąc w stanie utrzymać konia), mają rogi duże, połyskujące z gałkami metalowymi zazwyczaj; natomiast miejscowe konie są drobne, bardzo mało warte a do niczego nieprzydatne; są słabe i ciężary z taką samą powolnością jak osły dźwi-



gają. Konie arabskie sprowadzane tutaj z Persyi i konie z kraju Marattów stoją w wysokićj cenie. Dziwny panuje zwyczaj u Indyan, że ogony i grzywy końskie a rogi wołów jaskrawemi malują farbami; lubią bowiem różnobarwność i w tém są podobni do naszego ludu.

Następny przykład posłużyć może za dowód drapieżności ptaków indyjskich. Siedzieliśmy przy stole, służyący przez ogród niósł nam jedzenie z kuchni, wtém ptak malabarski, pewien rodzaj jastrzębia, spuściwszy się z niewypowiedzianą szybkością, porwał z półmiska kawałek mięsa; widziałem to i wybiegłem za nim z strzelbą, ale już był tak wysoko żem go zaledwo mógł dojrzeć. Do kuchni często wpadają wrony i z naczyń kuchennych zaspakajają głód swój i pragnienie.

Jeśli w dolinie życie ludzkie na rozliczne narażone jest nieprzyjemności i niebezpieczeństwa, to nierównie straszliwszym jest pobyt w górach; tam mieszkają przeróżne zwierzęta drapieżne, najzaciętsi nieprzyjaciele rodu ludzkiego. Tam jest zwykle miéjsce walki między zwierzętami: widziano aligatora potykającego się z tygrysem królewskim, widziano bawołu broniącego się przeciw napaści drapieżnych zwierząt. Kiedy na placu boju padnie trup, zlatują się orły i inne drapieżne ptastwo, które zdobyć swoją dzielą z szakalami, krokodylami albo téż pomniejszém robactwem. Lecz między wszystkiemi zwierzętami Wschodnich Indyj żadne zwierze tak bardzo nie zwraca uwagi Europejczyka, jak słoń. Najchętniej przebywa

on w bagnistych lasach u stóp Himalai, z której wychodzi w porze dżdżystej i pustoszy zboża w sąsiednich okolicach. Wielkością ciała, rozsądkiem i przemysłem wszystkie zwierzęta przechodzi, a ułaskawiony zadziwia łagodnością swoją i uległością. Na znak przewodnika klęka na tylne nogi a przednie wyciąga tak, że brzuchem opiera się o ziemię, i w takim położeniu zostaje dopóty, póki wszyscy jeźdźcy na niego nie wsiedli i wszystkich ciężarów nie wpakowano. Dziwna jest zręczność jego, z jaką trąby swojej używa; nią oskubuje kwiaty, rozwiązuje węzły, z ziemi podnosi pieniądze, z butelek dobywa korki i kropli jednej nie uroniwszy, wypija co się w nich znajduje.

Białe słonie są nadzwyczaj rzadkie. Czciociele Buddy poczytują je za święte i chodują jak najstaranniej w Bankoku stolicy Siamu. Każdy z nich ma osobną stajnię i dziesięciu posługaczy, ich kły ozdobione są złotymi pierścieniami, na głowie pozawieszane złote łańcuchy, a na grzbiecie włożona mała poduszka aksamitna kunsztownie wyrabiana. Każdy biały słoń ma stopień i tytuł króla; kto znajdzie takiego, dostaje srebrną koronę, wieś i z całą rodziną uwalniany bywa od podatków. Jeden wszakże słoń ma przed innemi pierwszeństwo, bo ma osobny pałac, straż przyboczną i liczną służbę. Na głowie jego znajduje się złota korona z kosztownymi kamieniami, żér podają mu w złotych naczyniach i co wieczór usypiają go wśród dobranej muzyki. Jeżeli zdechnie to zwierze, z takimi uro-

czystościami, jak król, bywa pogrzebywane, cały kraj opłakuje jego śmierć i najznakomitsi mężowie państwa z wielkimi uroczystościami z pomiędzy białych słoni wybierają mu następcę.

W czasie pobytu mego w Indyach zdarzył się wypadek dowodzący o podziwienią godnej przezorności słonia. Oddział mego pólku strzeżący magazynów zbożowych, w których się znajdował wielki zapas ryżu, cofnął się prędko, wezwany dla uspokojenia zbuntowanych wieśniaków. Dwaj żołnierze spóźnili się i byli jeszcze w pobliżu gmachu, kiedy się zdarzył następny wypadek. Skoro tylko żołnierze ustąpili, przypadła do magazynu trzoda dzikich słoni, którą już od dawna uważano w okolicy. Przed trzodą szły czaty, które się zaraz wróciły i doniosły, że w magazynie nie ma nikogo. Wnet spiesznym krokiem ruszyły zwierzęta, w szyku bojowym podstaąpiły pod dom, stanęły o kilka łokci i poczęły mu się przyglądać ze wszystkich stron. Nic nie wyrówna roztropności ich postępowania. Magazyn był murowany i to z dużych kamieni; jedyny otwór znajdował się w wysokim dachu, do którego po drabinie wstępowano. Za zbliżeniem się słoni, obaj zdumieni żołnierze wdrapali się na drzewo, chcąc uniknąć niebezpieczeństwa spotkania się z nieprzyjacielem. Taktyka armii oblężniczej zaostrzyła w nich ciekawość, z uwagą przyglądali się dalszemu obejściu słoni, a pokryci liśćmi drzewa, któremu winni byli życie, nie wpadli w oczy słoniom.



Gdyby w magazynie były jakie drzwi, łatwoby się mogły dostać wewnątrz, ale cztery ściany kamienne stawały tak wielką przeszkodę, że się o nią rozbijał dowcip tych niemych rozbójników. Rozpoczęto czynność na czterech końcach gmachu. Wielki słoń z ogromnemi kłami wiercił w murze czas niejaki, ale zmęczony odstąpił. Po nim przysunął się już nieco mniejszy i słabszy, lecz i ten z nielepszym skutkiem musiał odejść. Nadszedł trzeci, i wpakowawszy kły w miejsca wywiercone przez poprzedników wypchnął nakoniec cegłę. Skoro tylko jeden otwór się zrobił, przybiegły wnet inne słońce i udało im się uczynić wyłom dość wielki dla przepuszczenia śmiałych łupieżców. Wszakże cała trzoda nie mogła na raz być w magazynie, podzieliła się więc na mniejsze oddziały po trzy do czterech sztuk. Skoro się jeden oddział najadł do sytu, odstępował a miejsce jego zabiérał następny, dopóki cała trzoda w liczbie 20 nie przeszła kolei. Jeden słoń z pierwszego oddziału, który się naprzód nasycił, stanął na straży, a inne tymczasem korzystały z dowcipu swego i wytrwałości. Tymczasem słoń stojący na czacie ostrym tonem dał znak o niebezpieczeństwie; wnet słońce, które jeszcze były w magazynie, wyskoczyły i złączyły się ze stojącymi przed domem. Zoczono oddział wojska, i postanowiono odwrót. Kiedy się więc z jednej strony zbliżało wojsko, słońce wywijając trąbą biegły ku lasowi.

Co rok jest pewna pora, w której słońce są drażliwsze i skłonniejsze do gwałtownych wybuchów. Dozorca musi

wtedy uważać, aby zwierzęcia nie jątrzył niczém choćby też nawet przykrém słowem, i owszem powinien go głaskać przyjaźnemi słowy i zjednywać łakotkami. Zdarza się wszakże wypadek, że słoń nawet najprzyjaźniej traktowany dziczeje; tak naprzykład wyrwał się raz ze stajni, rycząc biegał po całym obozie, rozwalając namioty i wozy, obalając konie i woły. W pogoni zraniono go, ale tém rozjątrzone jeszcze bardziej. Na nieszczęście biegł za nim dozorca i od jednego zamachu trąby słoniowej padł nieżywy. Zwierze zoczywszy trupa stanęło jakby gromem rażone; wlepiło weń oczy i zwróciwszy się pędem pobiegło na miejsce zwykłego pobytu. Tam leżało dwuletnie dzieciątko dozorca. Słoń objął ją trąbą i podniósł, ale z taką łagodnością, do jakiej tylko matka zdolną być może, i kiedy wszyscy drżeli o życie dziecięcia, on pieścił się z niem i głaskał. Nakoniec położył dziecko na ziemi i przykrył je sukniami, które z niego spadły, poczém dał się spokojnie uwiązać i już odtąd nie pokazał śladu dzikości. Z dzieckiem postępował zawsze jak najłagodniej, i kiedy tylko zoczył, pieścił się z nim trąbą. Lecz od chwili śmierci dozorca stracił siłę i odwagę, słabł coraz bardziej, i zdechł w pół roku niedotknięty żadną chorobą ciała.

## Krokodyl.

---

Pewien Anglik, który sam jeden przepłynął wzdłuż całą rzekę świętego Jana w Florydzie, nocując na brzegu rzeki opisuje następnie sposób życia krokodyli.

Wieczór był dosyć chłodny i spokojny; krokodyle były ukazując się w niezwykłej ilości wzdłuż brzegów i na rzece. Rozłożyłem obóz w równinie pod opieką wiecznie zielonego dębu, który otoczony dokoła gruntem bagnistym, o kilka kroków od méj łodzi wznosił się wspaniale. Zebrawszy podostatkiem drzewa aby ogniem i dymem odstraszyć dzikie zwierzęta podczas nocy, myślałem o zgotowaniu sobie wieczerzy, ale przekonałem się że mój zapas żywności był dość szczupły.

Postanowiłem więc złapać kilka pstrągów, w które rzeki Florydy tak obfitują. W pobliżu miejsca mego wyładowania znajdowało się jezioro, przez które rzeka przepływała, ujście jój było bardzo stosowne do połowu pstrągów. Brzegi jeziora zarosłe kwitnącemi roślinami i krze-



wami, a niezliczone kurki wodne przelatowały przez wodę kryjąc się w trawie, pstrągi uganiały się za ptastwem a za pstragami znowu krokodyle niespodzianie wyskakując z bagna. Od czasu więc do czasu ogonami wyrzucały w powietrze, promienie wody buchały z ich otwartych paszcz, gorący dym wydobywał się z ich szerokich nozdrzów i ziemia drżała od ich ryku. Zostawiłem strzelbę na lądzie, obawiając się bym jój nie zgubił w walce z krokodyłami, a wzięwszy w ręce grubą pałkę wsiadłem do łodzi.

Kilka krokodyli, które mi zastąpiły miejsce wylądowania, odpłynęło na mój widok, ale inne ruszyły za mną. Miałem się na ostróżności, sterowałem ku jezioru, chcąc jak najprędzej wolnym być od nieprzyjaciół. Wszakże połowy drogi jeszcze nie zrobiłem, kiedy się widział ze wszystkich stron obskoczonym; niektóre chciały nawet łódź moją wywrócić. Położenie moje było bardzo niebezpieczne. Na raz napadły mnie dwa wielkie krokodyle, wystawiły głowę nad wodę, wyły straszliwie i rzucały na mnie strumienie wody. Z taką siłą szczękały zębami żem prawie ogłuchł, wyglądałem rychłoli porwą mnie z łodzi i połkną. Wszakże nie tracąc ducha, wywijałem pałką chociaż na ślepo i udało mi się w końcu odpędzić je. Ale kiedy po raz wtóry odnowić chcieli walkę, śpiesznie przybiłem do lądu, bo to był jedyny środek ratunku. Trzymając się bowiem blisko brzegu miałem nieprzyjaciół tylko po jednej stronie, chociaż mnie chcieli na około otoczyć, a rachowałem że w ostatnim razie wyskoczę z łodzi na

brzeg i ucieknę, gdy krokodyl szybki jak strzała w wodzie, na łądzie idzie powoli. Chcąc wpłynąć do jeziora musiałem się raz jeszcze z niemi rozprawić, wpłynąłem wszakże w krótkim czasie, złapałem kilka pstrągów i zawsze trzymając się ładu wracałem. Lecz dostawszy się napowrót do rzeki znalazłem gwałtowny opór. Jeden szczególniej krokodyl widać stary, bo przynajmniej na 20 stóp długi, ścigał mnie ciągle. Kiedym się przysunął do brzegu, wystawił głowę aż prawie pod moje nogi, leżał czas jakiś spokojnie, patrzył mi w twarz, głowa zaś jego i grzbiet były nad wodą. Wskoczyłem na brzeg, pobiegłem po strzelbę i zastałem krokodyla przy łodzi czatującego na ryby. Zoczywszy mnie cofnął się. Ale wnet wrócił, zajął swoje miejsce i patrzył się na mnie nie okazując najmniejszej obawy. Wymierzywszy celnie trafiłem go w głowę, poczem wziąłem się do przyrządzenia méj wieczerzy. Lecz skorom ryby położył na piasku i począłem je sprawiać, nadszedł znowu na mnie inny krokodyl. Odstąpiłem, a on zręcznie skręciwszy ogonem porwał mi kilka ryb. Gdybym się nie był obejrzał, byłby mnie samego z tyłu wciągnął do wody. Śmiałość ta niepokoiła mnie, bo mnie cała taka noc czekała.

Przyjrząwszy się miejscowości ujrzałem coś nowego, czegom pojąć nie mógł. Rzeka od brzegu do brzegu w szerokości 1000 kroków zdawała się być zapchana rybami: krokodyle rozstawiły się i przez całą rzekę czatowały w takiej ilości, żeby łatwo było po ich głowach

przejsć na drugi brzeg, ktoby do tego miał ochotę. Niezliczone krocie ryb zginęło, krokodyle połykały je i pożerały chrupiąc głośno i bijąc ogonem w wodę. Strach było słyszeć z jakim łoskotem kłapały paszczkami nurzając się w tym potoku ryb, chowając się pod wodę lub z wystawionej paszczki wyrzucając strumienie wody i krwi, a z nozdrzów dmuchając parę. Teraz dopiero zrozumiałem dla czego się tutaj tak wiele krokodyłów zebrało; pokazało się, że połów ryb przy ujściu rzeki był bardzo łatwy mianowicie w tej porze roku. Przez całą noc nie spałem, bo mnie krokodyle hałasem swym budziły. Nazajutrz wszystko było spokojne, kilka krokodyli stało na brzegu, płynąłem więc dalej, lecz przybywszy do jeziora, gdzie wczoraj łapał pstrągi, padł na mnie strach. Z sitowia wyskoczył ogromny krokodyl, z okropnym rykiem rzucił się na mnie jak strzała, podpłynął pod moją łódź, i rzucał potoki wody i pary. Zwalifem go tak potężnie w łeb, że zanurzył się i odpłynął do brzegu. Później inny znowu mnie ścigał, w orszaku przynajmniej stu młodych, które posuwały się w regularnym szeregu, wszystkie zaś były jednej wielkości i miały koło 15 cali.

Trzymając się ciągle brzegu ujrzałem mnóstwo wzgórz czy też kopców, podobnych do stogów siana i rozłożonych jakby obozem w jednym szeregu wzdłuż brzegu. Stały o jakie 15 do 20 kroków od wody na bagnisku zaledwo o 3 stopy nad poziom rzeki. Wiedziałem z opisów, że to były gniazda krokodyle, i choć obawiałem się niebezpie-



cznej walki, bo już kilka tych potworów włóczyło się na straży obok gniazd, postanowiłem jednak wylądować dla przypatrzenia się tym gniazdom. Większa ich część była już opuszczona, na ziemi leżały do koła potłuczone skorupy z jaj wielkie, grube i białawe. Gniazda były wysokie na 4 stopy, szerokie w przecięciu na pięć stóp i składały się ze szlamu trawy i krzaków. Naprzód kładą krokodyłe warstwę mułu wapiennego, potem warstwę jaj, na nią znowu warstwę wapna na 6 do 8 cali, potem znowu jaja i tak aż do końca. W gnieździe leży do 200 jaj wielkości gęsich, skwar słoneczny wylęga je, a zapewne rośliny, których krokodyłe użyły do budowy gniazda, rozkładając się w skutek promieni słonecznych przymnażają ciepła. Skoro się młode wykłują, wodzi je samica jako kura kurczęta, ale jak mówią nie wielkie ma do nich przywiązanie, bo stare zjadają młode. Krokodyl amerykański dorosły może mieć długości 20 stóp, a gruby jest jak koń. Głowa długości trzech stóp, tyleż prawie wynosi jego paszcza, którą kiedy kłapnie, wydaje taki hałas jakby kto ciężką deskę rzucił na podłogę. Nic zaś niemoże wyrównać ich rykowi, który szczególnie wydają na wiosnę; słychać go jakby daleki grzmot. Wtedy wzdymają się, wciągają w siebie masę wody i powietrza, i groźnie bijąc ogonem wyrzucają je z siebie gwałtownie.

# Sahara.

---

## 1.

*Afryka*

Cała północna ~~Ameryka~~ z wyjątkiem pobrzeżów jest pustynią piaszczystą, która się ciągnie na 700 mil wzdłuż, a 200 mil wszérz. Sahara znaczy u Arabów morze bezwodne i jest podobna do oceanu piaszczystego, który ma fale swoje i burze. Nie zbywa jój téż na wyspach; tu i owdzie znajdują się oazy, to jest pola uprawne, zasobne w wodę, z roślinnością bujną utrzymywaną przez źródła i strumyki. Podróżny wita je z taką radością, jak żeglarz kiedy ujrzy zbawczy port.

Wielbłąd jest okrętem pustyni, bo tylko dzięki temu zwierzęciu może człowiek przebyć niezmierną Saharę. Jako zaś po oceanie czatują piraci, tak rozbójniczy Beduini przebiegają pustynią, napadają i rozbijają podróżnych. Zbiérają się więc podróżni, aby się ochronić od łupieży, w wielkie towarzystwa czyli karawany, które nieraz po kilka tysięcy liczą wielbłądów i mają swoich dowódców,

dziela się na części i posłuszne są prawom uświęconym w starożytności. Tak naprzykład powszechnie obowiązuje zasada, że karawana, co już przez kilka dni przy źródle odpoczęła, musi ustąpić miejsca nadchodzącej później. Nieraz przychodzi do użycia prawa mocniejszego i wtedy toczą się krwawe boje. Lecz jeśli źródło jakie wyschnie, które przez wieki płynęło, okropny los czeka karawanę. Na ówczas zabijają wielbłądy, a ich krew i woda zachowana w żołądku, ocalają człowiekowi życie. Często giną całe karawany i podróżny co krok napotyka szkielety ludzi i koni upominające go, aby myślał o śmierci.

Inne jeszcze niebezpieczeństwo grozi podróżnemu, to jest burze piaszczyste. Pewien Anglik przed kilkoma laty podróżował przez pustynię i właśnie go napadła taka burza. „Drobny piasek pokrywający ziemię,“ mówi on, „wzniósł się tak gwałtownie, że nim przesiąkła na wskróś cała atmosfera i na kilka łokci nicśmy od siebie nie widzieli. Zaćmiło się słońce, my zaś czuliśmy jakbyśmy się dusić mieli. Konie i wielbłądy z miejsc nie chciały się ruszyć, pragnienie paliło nas tak, żeśmy w żadnym członku władzy nie mieli. Po nieopisanych wysileniach dostaliśmy się nakoniec po za szereg nieregularnych wzgórzów, które o tyle nam przynajmniej były zasłoną, żeśmy jako tako oddychać mogli. W nocy powstała na nowo burza, poobalała nasze namioty i zasypała je piaskiem.“

W pochodzie karawana nie troszczy się o maruderów, bez względu czy z własnej czy nie ze własnej winy się



spóźnią. Proszę sobie wyobrazić los nieszczęśliwego, który ze zmęczenia i pragnienia ruszyć się nie może, a jego członki wszystkie spalone są gorączką. Zdaje mu się, że kilka chwil spoczynku przywróci mu siły, widzi jak towarzysze jego przechodzą obojętnie, prosi ich, aby zatrzymali się w pochodzie, nakoniec spada na ziemię. Karawana przeszła; już tylko zdala widna jest szeroka linia, już tylko punkcik, w końcu i ten zniknął. Gasnący wzrok błąka się w koło i widzi pustynią bez końca, kładzie się więc na śmierć, a po kilku dniach z trupa jego wysuszonego codziennym skwarem pozostają wybielałe kości. Wszakże podobny los spotyka nie samych tylko samotnych lub opóźnionych podróżników. Często całe karawany giną i ogromne stosy szkieletów ukazują podróżnym miejsce, gdzie nieszczęśliwi znaleźli śmierć. Bo kiedy się zerwie wichur skwarny, pustynia zmięnia się w morze ruchome, tysiąc razy niebezpieczniejsze od oceanu. W kilka godzin stoi tam góra, gdzie dawniej było dolina; lecz góra ta znów nie zadługo rozwieje się z wichrem.

Nieraz po doskwierających upałach, podczas dnia, nadchodzą chłodne nocy, które podróżnym tyle cierpienia zadają co i skwar południowy. Nieraz gorzkie omamienia łudzą człowieka, bo w skutek gry kolorów w powietrzu widzi się często w pobliżu jezioro lub rzekę, co coraz dalej odstępuje i nakoniec znika. W południe wszystkie przedmioty większej; podróżny z daleka cieszy się widokiem drzewa, pod którego chłodnym cieniem ma nadzieję

spocząć i odetchnąć wolny żarów słonecznych — lecz zbliżywszy się widzi swoje złudzenie, bo to co mniemał być drzewem, jest tylko krzakiem mało co od ziemi wyrosłym.

## 2.

Pewien Hiszpan, który przed kilkoma laty odbył podróż naukową po północnej Afryce, opisuje iż szedł drogą do Mogadoru przez najdzikszą okolicę Sahary. Piasek był lotny i pędzony od wiatru z nadzwyczajną szybkością, tworzył bałwany na powierzchni ziemi zupełnie podobne do morskich bałwanów, i w ciągu kilku godzin przedstawiał dziwny widok, bo wzgórze na 20 — 30 stóp wysokie z jednego miejsca na drugie poprzemieniło. Działo się to zaś w następujący sposób: wiatr niósł piasek, z którego się wzgórze składało, warstwami w kształcie bałwanów, a że piasek potem opadał, w krótkim czasie nowe tworzyły się wzgórza, dawne zaś zniknęły. W takiej porze podróży musi chronić oczy i usta, jeżeli nie chce ociemnieć lub też udusić się; winien też zwracać baczną uwagę, aby bezdrożami tworzącymi się co chwila nie dał się obłąkać i kierunku swego nie zmienił. Jeżeli tu się obłąka, śmierć go czeka niechybna. A jakże to łatwo może się wydarzyć na pustyni, gdzie nic niewidać, tylko niebo i piasek, bez naj-

mniejszego znaku, bez najmniejszego śladu, bo w tej chwili kiedy człowiek lub koń nogę podnosi, trop jego znika odrazu. Ta wielkość, chyżość i nieprzerwany prąd ogromnych bałwanów piaszczystych szumiących i trzeszczących w pędzie, zagłusza człowieka i odejmuje mu wzrok, tak że idzie jak po omacku. Bez wielbłąda myślećby tu o podróży było niepodobna, bo szyja tego zwierzęcia długa i prosta wynosi głowę nad ziemię; a zatem wyżej jak najgęstsze bałwany piasku. Zresztą oczy ma zawsze wolne, chronią je powieki mięsiste, obrosłe gęstymi rzęsami i napół przy-mknięte; nadto skutkiem szczególnej budowy i wielkości nogi, stopa wielbłąda nie zagłębia się nigdy mocno, w kilku zaś krokach przechodzi większą przestrzeń bez wysilenia niż inne zwierze bieżące z pośpiechem. Na niepewnym piasku pustyni posuwa się lekko i opiera mocno, kiedy inne zwierzęta małe robiąc kroki z trudnością nogi swe wy-ciągają.

Lecz obok niebezpieczeństwa jakim grożą burze piaszczyste, przyłącza się jeszcze inne to jest brak wody. Jadąc do Tangeru zapomnieliśmy z ostatniego źródła naczepać podostatkiem wody. Pochód odbywał się szybko, bo moi towarzysze obawiali się Arabów wałęsających się w pustyni. Z tego też powodu opuściliśmy zwykłe drogi i przedzieraliśmy się przez środek pustyni. Cóż za straszna droga, ani kropli wody, ani jednego drzewka, ani najmniejszego schronienia, a nawet skały któraby rzucała cień! Niebo czyste bez chmurki, żar słoneczny wypala głowę,



a grunt biały połyskujący jak palące szkła wyżłobiony, do tego powietrze gorące, oto obraz okolicy w którą zapuściliśmy się.

Jeżeli w tych stronach pojawi się człowiek, to pewno rozbójnik; skoro więc moi Beduini których było 13, około południa zoczyli w pewnej odległości uzbrojonego człowieka, z okrzykiem rzucili się na niego, wołając ze złością: gdzież to idziesz braciszku, czego szukasz synku? i wzięwszy strzelby do rąk przymierzali się i wywijali mu nad głową. Wydobył się zręcznie z pomiędzy nich Beduin, uciekł i zniknął poza górami. Był to jedyny człowiek, którego spotkaliśmy. On uniknął niebezpieczeństwa, ale nas za to miało spotkać tém straszliwsze.

Od wczoraj ludzie i zwierzęta nic nie jedli i nie pili, zapasy były na schyłku, tak że około południa nie mieliśmy kropli wody i wszyscyśmy się czuli wysileni. Wielbłądy co chwila upadały pod ciężarem, musiano je dzwigać i wkładać na nowo. Około 2<sup>giej</sup> po południu jeden człowiek padł jak nieżywy ze zmęczenia i pragnienia. Wycisnęliśmy ostatnie krople z worów naszych skórzanych wlewając mu je w usta, aleśmy go odżywić niemogli. Trzeba go było więc zostawić i uciekać czém prędzej z téj strasznej okolicy; ale wkrótce jeden po drugim zaczął padać, a między tymi, którzy zostali, obiegała myśl zbliżającego się końca; pospieszali więc szeptaając: ratuj się kto może. Kilka wielbłądów padło wraz z pakunkiem, niezbieraliśmy ich, bo wtedy żadna rzecz nie

miała dla nas wartości, gdy życie było tak zagrożone. Kufry i paki leżały na rozpalonym piasku, nareszcie i koń mój chociaż najmocniejszy ze wszystkich zaczął drzeć i chwiać się. Postępowaliśmy w straszliwej trwodze. Kiedym na towarzysza zawołał, aby pospieszał, zamiast odpowiedzi spojrzał na mnie błędnym wzrokiem i wskazał palcem na usta, dając do zrozumienia, że z pragnienia oniemiał. Stan nasz był tém okropniejszy, że żaden z nas nie spodziewał się, że dotrwa aż do miéjsca gdzie była woda.

Nakoniec około 4<sup>ej</sup> godziny z południa omdlały z wysilenia i pragnienia padłem i ja w gorący piasek. W okropnej puszczy leżałem bezprzytomny otoczony 4<sup>ma</sup> czy 5<sup>ma</sup> służącymi, z których jeden wkrótce po mnie legł na ziemię. Lecz żaden nie mógł mi przynieść pomocy, bo nikt nie wiedział gdzie dostanie wody, a choćby i wiedział nie miałby siły do przyniesienia. Byłbym nieochybnie zginął, gdyby Opatrzność nie wyratowała mię cudem. Już z pół godziny leżałem nieprzytomny, kiedy towarzysze moi spostrzegli niespodzianie z daleka ciągnącą karawanę 2000 koni liczącą. Szła ona z księdzem na czele do Tremecenu. Kapłan ujrzawszy nas w tak okropnym położeniu, kazał jednemu zlać mię wodą, a obmywszy mi ręce i twarz po kilkakroć, przywrócił do życia. Otworzyłem oczy, patrzałem w koło, alem nikogo poznać niemógł. Nakoniec dostrzegłem, że ludzie się krzatali koło mego ratunku, chciałem im dziękować, alem słowa wymówić

niemógł. Zdawało mi się jakby mię kto dusił za szyję; zacząłem rozmawiać na migi i wskazałem na usta. Wylano na mnie całe wiadro, udało mi się przełknąć kilka kropli, wtedy zapytałem ktoby oni byli? Odpowiedzieli radośnie: nie rozbójnicy — przyjaciele. Rozpoznawałem ich rysy twarzy, ale nie zrozumieć niemógł; wtedy oblali mię jeszcze raz wodą i kazali pić, a przekonawszy się, że wyszedłem z niebezpieczeństwa, wory moje napełnili wodą, pożegnali się i ruszyli dalej, bo każda chwila przepędzona w téj straszliwej pustyni grozi śmiercią, a straty jój niczém powetować niemożna.

Choć z niemałym trudem dosiadłem konia i puściliśmy się dalej, wszakże upłynęło dość długo, zanim wyraźnie mówić zdołałem; bo chociaż często piłem wodę, wnet w ustach mi zasychało jakbym ich wcale nie zwilżył.

Co to za męka pragnienie na pustyni! Teraz poznałem pragnienie! Jakaś nieznana boleść rozchodzi się po całym ciele, czuje się nadzwyczajną suchość skóry, oczy zachodzą krwią, na języku i ustach osiada ślina ciemno żółtawa i nieprzyjemna jakby gruba warstwa rozmiękczonego wosku. Omdlenie odbiera siły, niewypowiedziane ciśnienie dusi piersi i głowę i zdaje się jakby ktoś ścisnął człowieka w pasie i koło szyi, tak że oddychać nie może; czasami tylko wielkie łzy spadają z oczu. Nakoniec niemoc rzuca człowieka na ziemię i wkrótce odchodzi wszelka przytomność.

Nareszcie około 7<sup>ej</sup> z wieczora zdążyliśmy do mie-



szkania ludzkiego, gdzie była woda. W nocy przybyli ci, co pozostali w pustyni, bo karawana co ich po drodze spotykała, dawała każdemu pomoc i wyratowała ludzi i zwierzęta.

### 3.

Pewien handlarz prowadził z Nubii do Egiptu zakupionych niewolników przez pustynią i w tę podróż niebezpieczną wybrał się z wszelkimi potrzebnymi zapasy. W 14 dni po wyruszeniu wrócił do Nubii sam nie przywożąc z sobą ani jednego stworzenia z karawany. Nieszczęśliwy był jakby w szaleństwie — nikt niemógł dopytać się od niego rozumnego słowa, wzięli go więc do siebie miłosierni znajomi i po pieczołowitem staraniu przywrócili do zdrowia. Wtedy opowiadał on co następuje:

„Bóg jest wielki, z Niego idzie wszystko, nie będę szemrał przeciw wszechwładnej Jego woli. Spuścił na mnie plagę, niech się dzieje Jego wola. Ale ciężki jest palec boski, słuchajcie co mię spotkało.“

„Odprowadzaliście mię kiedym odjeżdżał, wiécie więc przyjaciele żem na wielbłądach wiózł z sobą ogromne zapasy, żem miał wielką moc worów napełnionych wodą i szczelnie zatkanych, tak więc bez troski mogłem się puścić w podróż, którą tyle razy szczęśliwie odbyłem. Upał był straszny, mimo to pierwsze dni przeszły

bez wypadku, przywykliśmy wszyscy do trudów podróży; niewolnicy moi podobnie jak ja, oddawna wysuszyli się na skwarze słonecznym. Lecz podróż szła powoli, bośmy pod niebem, które siało żar, nie mogli zwierzać męczyć. Wstawaliśmy jak najraniiej, a podczas skwaru południowego spoczywaliśmy pod namiotami; kiedy zaś słońce zapadało ku zachodowi, rozpoczynaliśmy na nowo marsz, który trwał dopózna w nocy.“

„Dziesiątego dnia powietrze stało się nieznośnie ciężkie i duszne, postępowaliśmy niezmiernie wolno, oddechaliśmy z trudem i co chwila obawialiśmy się uduszenia. Chmura czerwonawa, która się wzniosła na widokregu, zatrzymała odświeżający wiatr wschodni, tak że w atmosferze panował straszliwy spokój. Aczkolwiek słońce piekło nas żywym ogniem, postępowaliśmy wciąż w nadziei, że nam się uda wydobyć z tych piekieł, ale kolana poczęły dygotać i oddech nam ustawał. Wtém obłok czerwony przybliżył się niosąc straszliwą burzę, wiatr zakreślił w morzu piaszczystém, pobladło słońce, ale nie zmniejszyło skwaru. Gardła nam tak zaschły, żeśmy słowa wydobyć niemogli, zaiskrzone oczy wyszły na wierzch. O! bez wątpienia, męczarnie piekielne nie są straszliwsze od tych co wycierpieliśmy.“

„Kiedy Samuum począł dać, otulony płaszczem rzuciłem się twarzą na ziemię i niewolnikom moim kazałem aby poszli za moim przykładem. Wielbłądy pokładły się téż obok siebie i schyliły głowy ku ziemi. Ale gwałto-

wność burzy niemniej straszliwie dawała nam się czuć; przez czas niejaki cierpieliśmy pragnienie, doskwierało nam gorąco, nakoniec odeszła nas przytomność i tylko rzadkie już jęki dawały znać, że nie ze wszystkich wyszło życie.“

„Jak długo leżałem w tym stanie martwości, nie wiem, kiedym nakoniec się ocucił, odkryłem głowę i spojrzełem; jeszcze wszystko trzęsło się dookoła, ale powietrze stawało się czystsze, miałem nadzieję, że Samuum już przeszedł. Wstałem i zawołałem na niewolników, że już niema niebezpieczeństwa, ale mię nie wszyscy usłyszeli, bo słabsi stali się łupem śmierci. Przekonacie się, że ci, którzy umarli, szczęśliwsi byli od pozostałych.“

„Skoro powietrze uspokoiło się, i niebo wyjaśniło, strąśliśmy z siebie kurz, który nas pokrył. Wielbłądy zarżały z radości i biegały wesołe do koła. Niewolnicy zaś moi dręczeni palącym pragnieniem rzucili się na wory z wodą. Z trudem zaledwo mi się udało ich wstrzymać, obiecałem że dostaną większą porcją jak zwyczajnie, byleby tylko wszystko odbyło się w porządku, i począłem najprzód te wory otwierać, z których już pierwój czerpałiśmy, ale — o Boże! były próżne. W trwodze pobiegłem do innych wielbłądów, na których dotąd nie ruszano worów, ale i te były próżne, bo je wysuszył Samuum. Tak więc byliśmy w środku niezmiernój pustyni bliscy skonania ze skwaru, a bez kropli wody. Dzika rozpacz owładnęła mnie. Zdawało mi się, że rozum stracę i ledwo widzia-



łem błagalne spojrzenia, które na mnie niewolnicy ciskali. Wy więcie moi drodzy, że mi na odwadze i wytrwałości nie zbywa, ale to było położenie, w którémby i najmocniejszy rozpaczał. Ległem bez zmysłów, potargałem turban, szarpałem brodę z wściekłością, wołałem na moich niewolników, aby mi dali wody, a ci bliscy omdlenia czynili mi wyrzuty, że ich tak długo męczę. Nakoniec odkryli przyczynę méj rozpacz. A muszę przyznać się ze wstydem, że to cierpienie zniesli z większą godnością niżli ja.

„Jeszcze mi błysnęła słaba nadzieja. Poszukałem wielbłąda, na którym jechałem, ściągnąłem wełnianą derę, którą zawiesiłem na siodle, a która przykrywała worek skórzany. Bóg się zlitował nade mną, znalazłem pełny worek, z chciwością przytknąłem go do ust i ledwo na sobie przemogłem, żem wszystkiego nie wypił.“

„Natychmiast powziąłem zamiar, który był jedyny. Niewolników nie mogłem uratować, pozostawiłem więc ich losowi. Ukrywszy kosztowny wór wskoczyłem na wielbłąda i puściłem się tą samą drogą, którą przybyłem nie obejrzawszy się nawet na nieszczęśliwych.“

„Po trzech dniach ciągłej podróży, wśród której mój zwierz ledwie kilka godzin odpoczął, ujrzałem się w pobliżu gór Nubijskich. Już drugiego dnia mój zapas wody był na schyłku, a trzeciego cierpiałem najstraszliwsze męki pragnienia. Więcie, że za przybyciem nie byłem zdolny zsiąść nawet z wielbłąda, ale co gorsza, że i siła

mego ducha złamała się. Wielki jest Bóg, łaskawy jest Bóg, On mi uratował życie!“

## 4.

Na zachodnim brzegu Afryki, gdzie Sahara dochodzi aż do oceanu atlantyckiego, rozbiła się przed kilkoma laty francuska fregata. Pomiędzy podróżnymi znajdował się podeszły w leciech adwokat, który chciał osiąść w Senegambii i w tym celu wsiadł na statek z żoną, z dwoma dorosłymi córkami i trzema młodszymi dziećmi. Kiedy się okręt rozbił, udało się nieszczęśliwemu ojcu dostać do szalupy i przybyć do brzegu. Ale cóż za brzeg! Wyrwali się z paszczy bałwanów, lecz znaleźli się daleko od mieszkania ludzkiego na krańcach Sahary, której samo imię przejmuje strachem, w pustyni, bez wody, bez zieleni, bez gościnnego dachu. Życie nieszczęśliwi uratowali, ale tylko życie, nic więcej. Zbywało im na wszelkiej żywności; gdzie oko zasięgało nie widzieli nic, coby do ust wziąć można.

Aczkolwiek smutnym był stan rozbitków, puścili się jednakże w drogę nad brzegiem morskim w kierunku do Saint Louis; bo gdyby pozostali, nie mieliby żadnej nadziei ratunku. Skierowano nieco do pustyni, szukając wody do picia. Znaleźli małą dolinę, kopali w ziemi i odkryli wodę. Była brudna i przejęta siarką, mimo to smakowała im niewymownie.

Najstarsza córka adwokata w ten sposób dalszy ciąg podróży opisuje.

„Kiedyśmy się do sytości napili, ruszył cały orszak: naprzód kobiety, a za nimi majtkowie niosąc dzieci. Była godzina 7<sup>a</sup> rano, a już piasek był rozpalony, lecz że nogi mieliśmy bose, więcej jeszcze bólu od tego piasku wyrządzały nam muszle, któremi całe pobraże było zasypane.

„Po kilku dniach ujrzeliśmy antylopę na wzgórzu, ale uciekła zanim ją zastrzelili. Pustynia przedstawiała okropnie monotony widok, wszakże żeśmy byli w pobliżu morza, znaleźliśmy zawsze wody podostatkiem ilekroć kopaliśmy. Tymczasem kilku oficerów poczęło się żalić, że nasza rodzina utrudnia chyży postęp karawany. I w rzeczy samej my kobiety i dzieci nie mogliśmy doścignąć mężczyzn. Wszakże na szczęście większość nie chciała nas opuścić. Wstydzili się więc owi okrutni swego barbarzyństwa.

„Nazajutrz głód począł nam doskwierać, bośmy spożyli już szczupłe zapasy. Wzdłuż brzegów szukano ziół, któreby mogły być zdolne do użycia, ale znalazły się tylko gorzkie i szkodliwe. Kilku oficerów ruszywszy w głąb kraju przyniosło z sobą nieco ziół, które z chciwością spożyto. Lecz że zapas był szczupły, spoczęła cała karawana, wszyscy żołnierze i majtkowie udali się na miejsce, gdzie owe zioła rosły. Przyniesiono ich dosyć i zasyciliśmy głód, poczem wyruszyliśmy.

„Gorąco było straszliwe, piasek parzył jako węgle, a większa część była bez przykrycia głowy i bez obóvia.



Przybywszy więc do brzegów, rzuciliśmy się znowu do wody i potem postępowaliśmy po nad wodą. Namiot rozbito między wzgórzami, ale nam ryk lampartów przerywał spoczynek nocy.

„Następnego dnia straciliśmy niemało czasu na szukaniu wody, tak że dopiero wtedy puściliśmy się w drogę, kiedy upał począł być nieznośny. Wszakże okolica ożywiała się nieco, około południa spotkaliśmy kilka namiotów, gdzie od mieszkańców bardzo drogo kupiliśmy mięsa i wody i wzięliśmy na zapas nieco kóz.

„Nazajutrz znowu przybliżyliśmy się do brzegu i tutaj miał być koniec naszych cierpień. Jakoż koło południa spostrzegliśmy okręt, z którego gdy zoczono znaki nasze, wyprawiono natychmiast łódź. Cóż za radość, kiedyśmy się dowiedzieli, że to był okręt wojenny francuski wysłany z Saint Louis dla szukania rozbitków i zaopatrzenia nas w żywność. Cóż za szczęście, kiedy druga łódź się przybliżyła i przywiozła nam chleba, wódki, mięsa i séra. Uciechy naszej opisać niepodobna. Tak długo byliśmy wystawieni na słoneczny skwar, tak długo cierpieliśmy głód i pragnienie, a teraz byliśmy bogaci w żywność. Życie przededniem tak ciężkie, teraz wydawało nam się najwyższym szczęściem.

„Rozłożywszy ognisko dla odstraszenia dzikich zwierząt jeszcze jedną noc mieliśmy przebyć w pustyni. Nazajutrz skwar był nie do wytrzymania, tak że dopiero po półgodzinnéj kąpieli morskiej mogliśmy dalej wyruszyć;

tymczasem okolica się wyjaśniała, ujrzelśmy znowu trawę, kwiaty, drzewa; rozkoszny śpiew ptaków upoił nasze uszy; im dalej, tym kraj roztwierał się weselszy, tym piękniejsze rosły drzewa. Cóż za straszne wspomnienie pustyni co leżała za nami!

„Okolo wieczoru doszliśmy do brzegów Senegalu, wyprawiliśmy sobie wspaniałą wieczerzę i wsiadłszy na łodzie naprzeciw nam wysłane przypłynęliśmy do Saint Louis, gdzie nas z radością i weselem powitano. Słabszych oddano do szpitala, zdrowych gościnni przyjęli mieszkańcy.“

---

## Polowanie na dzikie kozy.

---

Koza dzika przebywa w najwyższych górach Szwajcaryi, Włoch i Niemiec. Kształtem i wielkością podobna jest do kozy swojskiej, ale jest bez brody i wyższe ma nogi. Rogi jej idą prosto w górę i kończą się czarnymi haczykami zakrzywionemi ku grzbietowi.

Jestto broń czasami niebezpieczna, bo koza ranna broni się niemi tak dzielnie, że nie jednego już myśliwego zabiła. Zresztą są to zwierzątka płocze i trwożliwe. W lecie żyje na najwyższych szczytach dotykających granic wiecznego śniegu, wystawione na ciągłe ściganie, wyszukują miejsc najniebezpieczniejszych, gdzie czują się bezpiecznemi od ludzi i dzikich zwierząt. Tylko nad ranem i wieczorem spuszczają się niżej na paszę, dnie spędzają w dzikich i cienistych dolinach, w nocy zaś śpią w wydrążonych skałach i jamach. W październiku, kiedy kończy się roślinność alpejska, schodzą głębiej, ale zawsze trzymają się o ile możności najwyższych okolic; dopiero



w zimie udają się w lasy, wybierając najgęstsze zarośla. Jestto zwierze towarzyskie. Żyją zawsze stadami, które liczą 20, 30, do 40 sztuk.

Koza jestto wzór czujności. Jój zmysł delikatny ostrzega ją z daleka o nieprzyjacielu, zanim ten ją dojrzy, oglądają się ustawicznie, wietrzą na wszystkie strony i pierwsza, która spostrzeże nieprzyjaciela, wydaje nozdrzami gwizd ostry i mocny. To jest hasło ogólnej ucieczki, lecz one nie biegną, ale robią ogromne skoki po 18 do 20 stóp. Ponieważ kopyta ich są wydrążone i opatrzone ostremi brzegami, bezpiecznie więc skaczą po najstromszych skałach, i ta tylko niewypowiedziana szybkość jak niemniej czujność chroni je od zupełnego wyniszczenia. Przechodzi wszelkie pojęcie z jaką chyżością wspinają się niemal po prostopadłych skałach lub z nich zbiegają. Gdzie tylko jest jakikolwiek kamyczek, tam już miejsce dla jój stopy dogodne. Gdzie wróbel ledwie się zmieści, tam skaczą bezpiecznie. Zawsze przed stadem idzie naprzód jedna z największych kóz prowadząca inne. Skoro ta zginie, całe stado jakby duszę straciło. Rozprasza się, nie wie gdzie ma uciekać, bieży na oślep i wpada na strzał myśliwego.

Dla koźląt matki okazują nadzwyczajną miłość i pieczołowitość. Uczą je skakać po przepaściach i dopóty im pokazują skok, dopóty wszelkimi sposobami zachęcają, dopóki młode się nie ośmieli. Jeżeli matka padnie od strzału a koźlą jest jeszcze malutkie, bez oporu daje się

zabrać strzelcowi; lecz jeżeli już nieco wyrosło, ucieka natychmiast a inne kozy przyjmują je jako swoje dziecko. Schwytane za młodu dają się łatwo oswoić, idą za panem jako pies najwierniejszy i skaczą na niego pieszcząc się. Wprawdzie nie są one tak żywe i wesołe jak dzikie, zawsze przecież nie można się dość nadziwić ich chyżości i zręczności. Tak n. p. jedna koza obłaskawiona wdrapała się na mur 15 stóp wysoki i ujrawszy dziewczynkę leżącą w trawie o kilka łokci, skoczyła jęj na plecy, ale tak lekko że jęj nie zadrasnęła. Najmniejsza szpara lub nierówność w murze już wystarczy obłaskawionęj kozie, aby się po nięj na wierzch wdrapała.

Mało który zwierz tak licznych ma nieprzyjaciół jak koza. Śnieżyce (Lawiny) zasypują nieraz całe trzody, a lisy, wilki i niedźwiedzie polują na nie bez ustanku. Wprawdzie zwinne stworzenie wykręci im się zazwyczaj, ale napadnięte z tyłu pada ofiarą. Trudnięszą jest ochrona przeciw sępom i orłom alpejskim, które uderzywszy ogromnemi skrzydły wtrącają kozę w przepaść, i tam chwytają swój łup. Atoli najniebezpiecznięszym nieprzyjacielem kozy jest człowiek, który z szaloną odwagą je ściga i na wszelkie niebezpieczeństwa się naraża, aby je ubić. Nic na świecie nie może wstrzymać myśliwego od tęg namiętności. I owszem im niebezpiecznięsze jest polowanie, tym go bardzięj zachęca. Nie odwodzi go wspomnienie że ojciec i dziad zginął w przepaści, wię o tęg dobrze że i jego podobny los czeka, a przecież naraża się na oczywistą

śmierć. Jeden sławny strzelec z kantonu Vallis, z profesyi stolarz, ubił sam do 900 kóz, ale namiętność swoją przypłacił w końcu śmiercią, bo się stoczył ze skały. Niektórzy polują dla samej tylko przyjemności, inni z tego polowania robią sobie rzemiosło aczkolwiek nie zyskowne. Obaczmy zaraz z jakimi to niebezpieczeństwami i trudnościami złączone jest polowanie na kozy dzikie, a przecież za dorosłą nie dają więcej jak cztery talary. Jeżeli koza jest niezbyt stara, mięso jęj bardzo smaczne, szczególniej tęż szacowną jest skóra, bo z niej robią najlepsze rękawiczki i spodnie. Skóra bowiem ta ma w sobie i miętkość aksamitu i nadzwyczajną trwałość. W skutek nieustannego polowania zmniejszyła się o duzo liczba kóz w Alpach, nie rzadko widywano dawniej trzody po 40 do 50 kóz liczące; teraz zmniejszyły się o połowę.

Kto się wybięra polować na kozy dzikie, musi mieć odwagę, cierpliwość, zimną krew, głowę wolną od zawrotu, oko bystre, piersi zdrowe i krok pewny, po stromych skałach obok najstraszliwszych przepaści musi się przesuwać i nie lękać się spojrzeć w bezdenność. Musi być przyzwyczajony, po całych godzinach stać lub chodzić po lodziskach i zmarzłym śniegu, musi skakać po rozpadlinach lodu, wytrzymać burze i nawałnice, znosić głód i zimno, czystém rozrzedzonym powietrzem musi oddychać na najwyższych szczytach i bez zmęczenia z góry zstępować i na drugą wdrapywać się. Ale to wszystko na nic się jeszcze nie przyda, jeżeli nie ma orlego wzroku i nie jest



pewnym swego strzału. Bo rzadko komu dwa razy w ciągu dnia przychodzi strzelić; a jeśli chybi, cała jego praca pójdzie za nic. Strzelec bywa ubrany lekko, obuwie ma mocno podkute gwoździami, w ręku kij, perspektywę i strzelbę, w torbie myśliwskiej kawałek chleba, séra i manierka z winem lub wódką.

Skoro tylko słońce zarumieni lodowce, już strzelec śledzi przez perspektywę najwyższe pasma. Skoro zoczył jedną lub więcej kóz, stara się do nich zbliżyć i niezmiernie z daleka obchodzi, aby iść zawsze przeciw wiatrowi. Wtedy dopiero staje za skałą i czeka z niezmierną cierpliwością dopóki koza nie zejdzie z pastwiska. Skoro się zaś do niego zbliży, tak że już jej rogi odróżnić potrafi, strzela. Jeśli zaś koza koło południa wraca na górę, wtedy stara się jej zejść drogę, lecz musi okolice znać doskonale. Najniebezpieczniejsze jest polowanie dla strzelca wtedy, kiedy koza na strome skaliska ucieka. Tam strzelec zapędzi się nieraz tak, że ani naprzód ani w tył iść nie może, i szczęśliwym się nazwie, jeśli bez wystrzału potrafi się ocalić. Wtedy nieraz musi sobie ręce i nogi przerzynać, aby się lepiej trzymać. Jeśli zaś zabił jedną lub dwie kozy, zdobywszy przydaje mu ciężaru i jeszcze wtedy trudniejszy powrót; wiąże zwierze za nogi, zawiesza je na plecach i tak obciążony wspierając się na okutym kiju zstępuje powoli.

Nieraz dwóch lub trzech strzelców zmawia się razem polując na całą trzode. Naprzód ostróżnie, nie dawszy się spostrzedz, wdrapują się na miejsce skąd mają rozległy

widok. Jeden na czworakach pnie się na najwyższy kamień i śledzi perspektywą, towarzysze oka z niego nie spuszczaają; bo skoro on tylko zoczy zwiérzynę, daje im natychmiast umówione znaki, gdzie i wiele kóz spostrzegł. Potém spuszcza się jeszcze ostrożniej do towarzyszy i naradza się z nimi jakby tu zwiérzynie zająć. Obchodzą więc trzodę stósowuie do wiatru. Najlepszy strzelec ze skały na skałę się czołga podsuwając się pod trzodę na strzał. To wymaga wiele cierpliwości, wytrwałości, odwagi i przebiegu. Nieraz przez pół godziny wypadnie mu leżeć na brzuchu jakby martwemu, skoro ujrzy że czujna czata trzody dała znak aby mieć się na bacności. Potém na rękach i nogach pnie się dalej, włożywszy na suknie koszulę, aby kolorem śniegu złudzić zwiérzynę. Potém zdejmuje obuwie, zostawia wszystko i pełza kilkaset kroków dalej. Lecz znów w najprzykrzejszém położeniu z jakie pół godziny musi leżeć nie ruchomy, bo kozy na nowo mają się na ostróżności; dopiero później po wielogodzinnéj pracy dostaje się do skały, która już jest bliską trzody, patrzy ale głową nie rusza, bo zwiérzęta oglądają się ciągle i za najmniejszym ruchem da się słyszeć nieszczęsny gwizd czaty i wszystko ucieknie. Wszakże częstokroć mimo największej ostróżności trzoda posuwa się dalej i wszystko na nowo trzeba powtarzać. Jeśli strzelec przekona się, że bez spłoszenia trzody już się więcej przybliżyć nie może, wybiera największą i najtłustszą, a w razie wątpliwego strzału najbliższą i strzela, a prawie nigdy nie chybi. Pada trafione zwiérzę, prze-

rażona trzoda pędzi z nieopisaną chyżością przez skały, lody i przepaście; ale koza wtedy tylko pada, kiedy jest w głowę lub piersi trafiona, nieraz też zraniona starza się do przepaści i tam to znika owa mizerna nagroda tylu wysileń.

Skoro jeden strzelec wystrzeliwszy spłoszy trzodę, dwaj inni stają już na przeciwnym końcu po za skałami, aby ubić coś z uciekającej zwierzyny. Wiele razy się zdarzyło, że przestraszone zwierzęta z pochylonemi rogami rzucają się na strzelca, który im stoi na drodze i strącają go w parów; aby więc tego uniknąć, pada on na brzuch a cała trzoda przez niego przelatuje. Nieraz biedne stworzenie porywa się na skok śmiertelny i nie dosięgnąwszy drugiego końca rozdziéra się o skały. Jeżeli jest jaka nadzieja, że więcej zwierzyny ubić można, wtedy zabite zawiesza się na skałach a polowanie idzie dalej. Często wszakże myśliwi przez kilka dni narażają życie nie ubiwszy ani jednej kozy, i wracają do domu z podartą odzieżą, zgłodniali i bezsilni. Jeżeli jeden ze strzelców wpadnie w rozpadlinę lodową, wtedy inni krają koszule i surduty, wiążą z nich postronki aby wydobyć nieszczęśliwego. Oprócz tego mroźne wiatry, mgły nieprzebyte, śnieżyce, przyczyniają trudów i niebezpieczeństw myśliwemu, który w końcu rzadko się wymknie; a mimo to namiętność w tych ludziach jest tak wielka, że choć który wpadnie w przepaść, jeśli go tylko wydobędą, przyniesiony do domu ledwo czeka na odzyskanie sił.



Pewien myśliwy oprowadzał raz dwóch podróżnych po wielkich lodziskach. W drodze nagle stanął i ze łzami w oczach pokazał im głęboką rozpadlinę zasypaną w części lodem i śniegiem. Podróżni usłyszeli w głębi szum potoku i ze strachem cofnęli się. „Wiem coście sobie pomyśleli w téj chwili,“ rzecze strzelec, „oto że kto w tę otchłań wpadnie, już dla niego nie ma ratunku. Otóż nie, ja w niej byłem, i ręka boska mnie stamtąd wyciągnęła. Z jednym towarzyszem polowałem na kozy, lody zasypane były śniegiem; szukaliśmy tropu koziego; ale kiedym się tak gorąco uganiał za zwiierzyną, śnieg nagle pod memi nogami usunął się i spadałem wolno spychając sobą śnieg. Lecz skorom tylko przyszedł do siebie, wyciągnąłem o ile możności ręce, nogi i oparłem się o dwie ściany lodowe, i zawisłem nad strasznym potokiem. Ledwo mnie z oczu stracił mój towarzysz, już wołał na mnie ze drżeniem, a skoro się przekonał, że żyję, przyrzekł mi robić co można, aby mnie ocalić. Zwinny jak koza pobiegł o milę do najbliższej chaty, kiedy ja zawieszony między obawą a nadzieją, to jest między niebem które widziałem i potokiem, któryby mnie wnet uniósł, trzymałem się co siły. Lecz powoli zacząłem spadać; już nogi moje były w wodzie, krzepnąłem od zimna i czekałem śmierci.

„Po upływie godziny wrócił mój wierny towarzysz z drugim. Nie znalazłszy w chatce postronka, dwie kołdry porznął na rzemienie, związał i taki sznur mi spuścili, którym obwiązawszy się czekałem na wydobycie.

„Już mnie z rozpadlin o tyle wydobyto, żem niemal rękami mógł się dotknąć powierzchni, kiedy nagle przewrócił się postronek i ja spadłem tak głęboko, jak poprzednią razą. Lecz teraz niebezpieczeństwo było większe, raz dla tego, że postronek był krótszy, powtóre żem przy drugim upadku złamał sobie rękę, a zatem do ocalenia mego małem się mógł przyczynić.

„Mimo to nie opuściła nas odwaga, jeszcze raz rzemień porzucili, zrzucili mi go i choć z niemałym trudem, obwiązałem go koło siebie. Nakoniec choć na tej słabej linie, wyciągnęli mnie moi przyjaciele z grobu na jasny dzień. Bodajbym nie żył, moi Panowie, jeżeli za każdą razą, kiedy tędy przechodzę, gorąco Panu Bogu nie dziękuję.“ Tak opowiadał odważny strzelec wzruszonym podróżnym.

Polujący na kozę jeszcze jednego chronić się musi niebezpieczeństwa, to jest aby go śnieżycą nie zasypała. Kiedy następuje odwilż i zarazem zrywa się gwałtowny wiatr, ze szczytów odstają skorupy śnieżne, łamią się i tocząc się z góry, przybierają coraz bardziej, rosną do strasznej wielkości i taki pęd powietrza przed sobą tworzą, że nieraz jako burza całe lasy kładą. Jeżeli zaś zwałą się z grzmołem piorunu w dolinę, domy, stodoły ze wszystkimi mieszkańcami bywają zdruzgotane i zasypane. A przecież nie jeden z takiego niebezpieczeństwa uratował się cudem.

Dwaj bracia drapali się pod górę w pewnej od siebie odległości ścigając kozy. Nagle porywa jednego wichur,

jaki zazwyczaj pędzi przed lawiną, i jako ptaka gna w przepaść. Już miał w nią wpaść, kiedy lawina uderzyła go z boku i cisnęła daleko. Odurzony schwycił się drzewa i tak mocno się go trzymał aż burza przeszła. Tak więc szczęśliwie uratowawszy życie, zapomniał o bólu jaki mu sprawiło uderzenie śniegiem i wesoło począł się na nowo drapać pod górę.

Tymczasem drugi brat podczas burzy schował się za skałę, której się trzymał mocno, a śnieżycą szczęśliwie koło niego przeszła, aczkolwiek znaczny kawał lasu jakby kłosa na polu pokładła. Wszelako gwałtownym pędem powietrza owiany stracił przytomność; po chwili przyszedłszy do siebie, nie wątpił o śmierci brata, bo śniegi sunęły w stronę gdzie on stał. Boleścią przejęty wracał już do domu, myśląc jakim ciosem będzie dla całej rodziny ta smutna wiadomość, kiedy z radością ujrzał swego brata.

Śnieżyce są dwojakie: twarde to jest skupione, tworzące się wtedy, kiedy śnieg podczas odwilży więcej ma lepkości i w wielkie massy się kupi; i sypkie złożone z sypkiego śniegu, który przewagą swych mas zepchnięty albo też poruszony wiatrem zsypuje się ze skał. Taka śnieżycą jest mniej niebezpieczna, ale i z niej tylko nadzwyczajna siła i przytomność umysłu ocalić może. Pewnego razu dwaj myśliwi szli pod górę, a że puszczała się jedną drogą, nie spuścili siebie z oka. Nagle jeden posłyszał krzyk towarzysza: „Uciekaj, ratuj się!“ W téj samej chwili porwała go już śnieżycą i popchnęła w straszną głębią.



Otoczony i zasypany śniegiem zniknął od razu. Towarzysz stał przez chwilę, lecz nie wiedział jakby można go ratować. Ze smutkiem szedł więc dalej myśląc sobie, że musi zwłoki przyjaciela wyszukać i pogrzebać je, skoro śniegi stopną w dolinie.

Wszakże inaczej się stało. Lawina wrzuciła popchniętego w śniegi między skały, sama zaś zsunęła się na dół. Ta okoliczność że upadł na znaczną masę i to miękkiego śniegu, ocaliła mu życie. Nie stracił przytomności i grzebiąc nad głową rękoma otrząsnął się z sypkiego śniegu; poczem spinając się jak koza po skałach wydobył się na wierzch i pobiegł do domu. W drodze spotkał go zdziwiony towarzysz i ucieszeni obydwaj nazajutrz ze świtem poszli na polowanie.

## Podróż do Chin.

---

Dyrektorowie faktoryi angielskiej w Kantonie wysłali w roku 1832 okręt Amherst do północnych brzegów Chin dla wybadania, czyby się nie dało zawiązać w portach téj okolicy jakich stosunków handlowych. Na okręcie dowodził kapitan Lindsay, w jego zaś towarzystwie znajdował się misyonarz Gützlaff, który znając dokładnie język chiński służył za tłumacza. O podróży téj pisze pan Lindsay co następuje:

„Długi czas przeciwne nam wiatry zatrzymywały okręt, i kiedym powoli ruszać począł, burza zmusiła mnie do zarzucenia kotwicy przy brzegu. W takowych razach część osady okrętowej wysiada zazwyczaj na ląd dla poznania się z okolicą i mieszkańcami. Szliśmy więc piechotą albo płynęliśmy na łodziach rzekami do najbliższych miast, gdzie nam nikt wstępu nie zabraniał. Mniemano dotychczas że każdy cudzoziemiec, co się ważył wstąpić do państwa niebieskiego, narażał życie swoje. Wszakże

ilekroć weszliśmy do wsi lub miasta jakiego, tłumy z podziwieniem przypatrywały się temu nowemu widokowi i przyjmowano nas dosyć przyjaźnie. Natomiast mandaryni, a to jest nazwisko wszystkich wyższych urzędników, z największą niechęcią widzieli barbarzyńców i nakłaniali nas do rychłego odjazdu. W kilku miastach mieszkańcy dobijali się o zaszczyt przyjęcia nas i ugoszczenia u siebie, a po wsiach wszyscy bez wyjątku byli uprzejmi i gościnni.

„W ten sposób płynął Amherst wzdłuż brzegów chińskich, kiedy zawinął przed wielki port nazwiskiem Emui. Przybycie obcego okrętu sprawiło nadzwyczajne wrażenie; w ciągu kilku godzin całe pobrzeże było wzruszone, ale też wnet przyszły trzy oddziały wojska dla pilnowania okrętu. Przełożyliśmy im co nas tutaj sprowadza, i prosiliśmy o pozwolenie udania się w głąb kraju. Ale na próżno, zabroniono nam tego jak najsurowiej. Kiedy się więc mandaryni oddalili, mnóstwo łodzi z najbogatszymi mieszkańcami przybyło do nas od miasta. Skoro ujrzeli towary jakieśmy mieli na pokładzie, prosili zaraz władzę o wolność handlowania, ale odmówiono im stanowczo a surowość z jaką ukarano nieposłusznych, powstrzymała wszystkich. Oprócz tego przysyłano rozkaz za rozkazem abyśmy port natychmiast opuścili. Wtedy z panem Gützlaffem wysiadłem na brzeg i przyszedłem do miasta, gdzie mnie z wielką grzecznością przyjęto. Z porady kilku mandarynów posłałem następny list do gubernatora prowincyi:



„Okręt Amherst płynąc z Bengalu do Japonii przybił do tego portu dla zakupu żywności i wody, której koniecznie potrzebuje. Przyjęto nas jako nieprzyjaciół. Wszakże wolno Chińczykom handlować z angielskimi koloniami a nawet w tychże przebywać. Anglia jest jedném z najpotężniejszych państw Europy. Marynarka jój jest straszna, a granice krajów jój podległych stykają się z granicami Chin. Monarchowie Anglii pozwalają swoim poddanym podróżować i handlować po całym świecie, upominając tylko iżby się wszędzie jak należy zachowywali. Anglicy z okrętu Amherst temu upomnieniu swego władcy posłuszni, są jednakże mocno zdecydowani nie ścierpieć najmniejszej obrazy.“ Po upływie godziny wrócił posłaniec mandarynów, i zaprowadził nas do kościoła nad brzegiem, gdzieśmy mieli otrzymać odpowiedź.

„Na brzegu rozstawiono oddział wojska około 500 ludzi, i aby ilość jego większą się wydawała, rozwinięto je w jednym szeregu. Tłumy ciekawych zaległy miasto. Kilku mandarynów w podwójnym szpalerze żołnierzy zaprowadziło nas do kościoła, gdzie siedziało sześciu mandarynów w półkołu, między nimi gubernator. Przed kościołem stało wielu oficerów w uniformie galowym uzbrojonych w łuki i strzały.

„Gubernator był to starzec podeszły wiekiem, twarzy ujmującej i szczerzej. W prawym ręku trzymał moje piśmienne żądanie, rozwinął je i począł czytać, my zaś staliśmy od niego w pewnej odległości. Zwróciłem uwagę,

że niema dla nas krzeseł, my zaś przed dostojnym trybunałem stać nie chcemy. Zaprowadzono nas wtedy do sąsiedniego gmachu, gdzie nas traktowano herbatą i chłodnikami. Wkrótce przywołano nas. Gubernator zwrócił się do mnie i rzekł: „Ja i panowie koledzy moi życzymy sobie wprawdzie jak najprzyjaźniej z wami postępować, bo narody nasze są sobie przyjaciółmi, ale nie możemy dozwolnić, aby okręt wasz przebywał tam gdzie zarzucił kotwicę, bo prawa krajowe w tym punkcie nie pozwalają wyjątku. Musi więc okręt nieco odpłynąć, a wtedy dostarczymy wszystkiego za darmo.“

Odpowiedziałem natychmiast: „Kupiec angielski nie zwykł nic za darmo przyjmować, i byłaby to dla nas obraza gdyby się chciano z nami jako z żebrakami obchodzić; nie chcemy nic innego jak tylko wolności zakupu potrzebnych zapasów i tego narodowi memu odmawiać nie można, zostając z nim w stosunkach przyjaznych.“

Przekonawszy się mandaryni żeśmy stanowczo odmawiali przyjęcia bezpłatnej pomocy, ulegli i zobowiązali się dostarczyć żądanych przedmiotów po cenach umiarkowanych. Podziękowałem gubernatorowi i zaprosiłem go, aby przyszedł na statek — odmówił. Tymczasem inny mandaryn zabrał głos, począł nas lżyć i zakończył mowę temi słowy:

„Nienawidzę was i gardzę wami i waszym okrętem;“  
potem zaś rzekł do Pana Gützlaffa: „Co się tycze was,

wiem o tém żeście w tych okolicach urodzeni, jesteście zdrajcą, który pod tym kapturem służy barbarzyńcom.“ Był to oczywiście najpochlebniejszy komplement, jaki pana Gützlaffa mógł spotkać, za jego znajomość języka chińskiego.

„Negocyacye te pociągnęły za sobą wielki skutek; przekonaliśmy się bowiem, że Chińczycy nie są tak uparci jak powiadają, i że nawet umieją podchodzić nieubłagane i niezmiennie swe prawa. Przez 6 dni byliśmy w Emui, dość wielkie wycieczki robiliśmy w kraju, a za każdą razą towarzyszył nam oddział wojska. Wprawdzie oficerowie tłumaczyli nam, że się to dzieje z obawy, aby dzikie pospólstwo na nas się nie rzuciło, ale to był wykręt, którym chciano osłonić nieufność względem nas. Bo nikt nie myślał nam coś złego zrobić, chodziliśmy wszędzie bez broni.

„Siódmego kwietnia popłynął Amherst dalej, a w mieście nazajutrz ukazała się proklamacya rządowa donosząca, że cesarska flota odpędziła barbarzyńców. W rzeczy samėj eskadra z 12 okrętów wojennych złożona dość długo płynęła za Amherstem i w odległości 6 mil straszliwą na nas wytoczyła kanonadę. Była to prawdziwie chińska manifestacya.

„W dalszėj podróży zarzuciliśmy kotwicę pod wyspą Haitu niedaleko Formosy. Namiestnik wyspy, nie daleko od Makaa dawniej mieszkający, a zatém przywykły do widoku Europejczyków, przybył do nas natychmiast



na pokład. Przyjęliśmy go z wielkiem poważaniem; powitaliśmy 3<sup>ma</sup> salwami armatniami, ale nie zdawało mu się, żeby był obowiązany względem nas do jakiej grzeczności. Pytanie po pytaniu zadawał nam nie czekając na odpowiedź. „Skąd jesteście? Z jakiego narodu? Co tu was sprowadza? Musicie zaraz odpłynąć.“

Zaledwo kilka słów mu odpowiedziałem, kiedy namiestnik zerwał się i skoczył na Gützlaffa mówiąc: „Ty jesteś Chińczykiem!“ Kiedy ten mu zaprzeczył, krzyknął: „precz z kapeluszem! obaczę czyś nienosił długiego warłocza.“ Missyonarz uśmiechając się zdjął kapelusz, przypatrzył się namiestnik i powiedział: „Nie, widzę że jesteś Portugalczykiem.“

„Przekładałem mu że nasz okręt jest angielski, ale on trzęsąc głową mówił: „Byłem długo w Makao, znam ja zwyczaje barbarzyńców. Wasz okręt jest z Makao.“ „To jednak dziwna,“ odparłem, „że wasza Excelencya obwinia nas o kłamstwo;“ napisałem mu więc na kawałku papieru: „Naszą ojczyzną jest W. Brytania.“ Zerwał się namiestnik i jakby śmiejąc się do rozpuku zawołał: „Wielka Brytania głupstwo! powiedz lepiej: Mała Brytania, prawisz mi głupstwa!“

„Tu już brakło mi cierpliwości, wyrwałem mu z rąk kartkę i wzięwszy go za ramię zawołałem: „Ponieważes tu przyszedł na mój okręt i krajowi memu ubliżasz, ruszaj stąd natychmiast!“

„Jego Excelencya zmiarkował, że się zapędził za da-

leko. Przestraszony więc powiedział: „Bardzo przepraszam, ja was obrażać nie chciałem; czy znacie Portugalią?“

„Tak jest.“

„Wszakże jest Wielka i Mała Brytania?“ — „Nie ma!“ „A tom się pomylił!“

„Słowom tym towarzyszyły uniżone giesta i mandaryn okazywał się teraz tak uprzejmy jak pierwój był dumny i wyniosły. Jeszcze dość długo pozostał na pokładzie, ale jego dziwaczne maniere doprowadziły nas na wniosek, że nie ma z pełna rozumu. Kilku oficerów z jego świty dając do zrozumienia, że się gorszą nierozsądkiem namiestnika, utwierdzili nas w tém mniemaniu. Był to téż jedyny przykład niegrzeczności i grubijaństwa ze strony mandarynów, bo się zawsze z największą obchodzili z nami uprzejmością.

„Nazajutrz kilku z orszaku namiestnika zapewne dla złagodzenia niegrzeczności swego zwiérzchnika, nie tylko nas odwiedziło, ale nawet zaprosiło do swego mieszkania. Skorośmy więc na ląd wysiedli, prosili nas na wieczerzę zgotowaną dla nas wyłącznie i urządzoną w wielkim budynku.“

„Chińska biesiada to rzecz zaprawdę komiczna; już budynek sam odróżniał się wiele od europejskich, bo się składał z szeregu małych domeczków, pomiędzy którymi szerzyły się kępy, smugi kwiatów, tak że nam wypadło przechodzić przez długi labirynt pokoi i korytarzy zanim się doszli do sali jadalnej. Skorośmy zasiedli, naprzód

obnoszono zupełę z gniazd jaskółczych w czarkach porcelanowych; była smaczna i miała podobieństwo do naszej zupy z bulionu. Po tém rozpoczął się szereg innych dań, których naliczyłem 60, chociaż całe towarzystwo składało się tylko z 20 osób. Między różnemi potrawami, któremi nas częstowano, znajdowały się najdelikatniejsze chińskie przysmaczki, naprzykład: smażone jaja gołębie, dzikie koty, potrawa z żab, suszone robaki, których sam widok budził wstręt, a nakoniec pieczyste z pletw wilka morskiego. Były też niektóre dania tak przyrządzone, żeśmy nie mogli poznać cośmy jedli. Mięso, bażanty, dziczyzna, posiekane drobno w małych roznoszone były czarkach, zamiast nożów i widelców mieliśmy szczypczyki ze słonowej kości, któremi nie łatwo było jeść. W rzeczy samej nie wiedziałem jak się wziąć do tego smacznego jadła, dopiero później nauczyłem się obchodzić ze szczypczykami; ale potrawy wszystkie były tak słone, żeśmy musieli ciągle popijać jakimś rodzajem napoju, który się składał z wódki i wina. Do picia zaś nie było innych naczyń, jak tylko drobne czarki podobne do małych filiżanek, które ustawicznie trzeba było naléwać. Kto pije jakie zdrowie, w obie ręce bierzè taką filiżaneczkę, siedzi zwrócony czas niejaki ku osobie, za której zdrowie ma spełnić toast, trzęsie i kiwa głową, a wypiwszy pokazuje jój dno filiżanki, aby przekonać, że się w niej nic nie zostało. Grzeczni nasi gospodarze pili zdrowie króla angielskiego, kompanii wschodnio-indyjskiej i nas wszystkich. Myśmy też w ten



sam sposób im odpowiedzieli. Przy biesiadzie mnóstwo służących było zatrudnionych aby odpędzić cisnące się tłumy ciekawych, ale w tłumach tych nie było innego uczucia prócz ciekawości.

„Tak dobrze w Haitu jak i w ciągu całej podróży przekonaliśmy się, że mandaryni w obejściu zimni i obojętni ukazują się natychmiast bardzo grzecznymi i przyjacielskimi, skoro tylko zobaczą, że się cudzoziemiec ich groźb nie lęka. Prośbą lub łagodnością nic a przynajmniej mało co od chińskiego rządu zyskaliśmy, ale ilekroć poznano, że mieliśmy stałe postanowienie w naszych żądaniach wytrwać, dopięliśmy wszystkiego. Natomiast lud zdawał nam się być zawsze chętny, a w Haitu nacisk jego przed naszym okrętem był tak wielki, że admirał chiński przypłynął ze swoją eskadrą, aby mieszkańców powstrzymać od zwiedzania Amherstu. Jednej nocy ostrożność ta mogłaby była wyjść na złe, gdy łódź chińska uderzyła o Amherst i poszłaby niezawodnie na dół, gdyby angielscy majtkowie nie przyszli jój na pomoc.

„Tymczasem poczęliśmy się z chińskimi władzami umawiać chcąc zawrzeć traktat handlowy. Atoli Chińczycy byli wciąż tak nierzetelnymi i chwiejącymi się, że się porwał na krok śmiały. Kazałem bowiem na przód popłynąć i stanąłem naprzeciw domu celnego. To wydało pożądany owoc; ten sam mandaryn, któremu powiedziałem pierwój, że przestanę na pewnej sumie za towary i potem odpłynę, dostarczył mi wielu kupców,

którzy kupna dokonali a okręt wrócił na dawne stanowisko.

„Nazajutrz przybyła do nas deputacya złożona z ludzi najstarszych w sąsiedniej wiosce i podała następane pismo:

„Pośpieszyliśmy tutaj, aby was zobaczyć, bo wy „jesteście pierwszymi cudzoziemcami, których widzimy. „Daliście nam lekarstwa i książki pożyteczne, z których „możemy poznać waszą ojczyznę. Postępowanie to do- „wodzi, że jesteście ludźmi uczciwymi, zasługujecie więc „na naszą pochwałę i dzięki. Lecz że mówicie innym „językiem niż my, trudno nam się z wami umawiać. Nie- „chętnymi są wam wyżsi urzędnicy ze swymi zausznikami „i żołnierstwem; lecz jeżeli chcecie rozpocząć handel, za- „żądajcie audyencyi u Jego Wysokości Tu-jaw; pa- „dniście przed nim na twarz i podajcie mu prośbę; jeżeli „znajdziecie u niego łaskę, to będzie dla was z korzyścią; „jeżeli zaś prośbę waszą odrzuci, to ruszajcie w okolice „Ku-kaug; tam handel jest wolny, bo tam nie ma żadnego „naczelnika.

„Spalcie to pismo, skoro je odczytacie.“

Płynęliśmy następnie z jakie 30 mil ku północy i zarzuciliśmy kotwicę pod wielkim miastem Ningpo, liczącym przeszło 300,000 mieszkańców. Kiedyśmy chcieli wylądować, te same spotkaliśmy trudności. Gubernator prowincyi przysłał natychmiast rozkaz, w którym uwiadamił, że gabinet cesarski dowiedziawszy się o jednym barbarzyń-

skim okręcie, co pływa jak szczur wzdłuż prowincyi, wydał najsurowsze polecenie do wszystkich rządców nadbrzeżnych, aby okręt ten natychmiast odganiać, nie dając mu chwili odpoczynku. Nadmieniono także w tém piśmie, że ci barbarzyńcy są to intryganci i wiarołomcy, i że się chińskim poddanym pod najsurowszemi karami zabrania z nami handlować.

„Nie mogłem z zimną krwią służyć tak obrażającego reskryptu. Aby mnie więc uspokoić powiedzieli mi mandaryni, że to pismo im zostało przysłane i że oni bynajmniej go nie pochwalają. Napisałem adres do gubernatora, w którym powiedziałem, że ów reskrypt jest kłamliwy i oszczerczy, dodając że Anglicy nie są barbarzyńcami, ale jednym z najoświecieńszych narodów, że są rzetelni, otwarci i przedsiębiorczy, że raczej śmierć niżli obelgę zniosą i że otwarcie a nie podstępem tutaj przypłynęliśmy. W końcu przełożyłem propozycje do traktatu handlowego.

„Na ówczas zaproszono nas do gubernatora, i wprowadzono do sali gdzie się znajdowali najznakomitsi mandaryni. Wchodząc spostrzegłem że dla mnie i mego towarzysza nie było krzesel.

„Zapytałem więc głośno co to ma znaczyć. Gubernator rzekł: „Jeżeli w swojej ojczyźnie jesteście mandaryni, to ja pierwszy podam wam krzesła. W przeciwnym razie nie zgadza się to z naszymi obyczajami.“ Odpowiedziałem: „Nie jesteśmy u siebie mandarynami, ale tutaj jako cudzoziemcy przybywający z obcych krajów



„mamy prawo do téj grzeczności, a zresztą w kraju naszym kupiec poczciwy może usiąść, nawet w obecności króla.“ Zawołał więc gubernator: „krzesel, jesteście mandarynami, proszę was siadać.“

„Było do przewidzenia że rozmowa skończy się na niczém; bo mandaryni o umowie handlowej nie chcieli słyszeć. Wszakże kilku odwiedziło nas na pokładzie, ci byli dla nas życzliwsi. Pewnego dnia żaliłem się przed nimi na ten przesąd Chińczyków ku Anglikom. „Chcecie wiedzieć przyczynę?“ odpowiedział mandaryn, „boimy się was, jesteście dla nas za zręczni. Ledwo okręt wasz gdzie przybędzie, wnet na wszystkie strony wysyłacie łodzie, badacie, macacie, rysujecie karty i zaraz znacie kraj tak dobrze jak i my.“

„Nakoniec po daremnych usiłowaniach choéby téż część pewną towarów naszych sprzedać, gdy i kupca dostać niemogliśmy, postanowiliśmy odstąpić część zysku jednemu mandarynowi, za co on miał się nami opiekować. Wszakże z niemałym zdziwieniem i wstydem posłyszeliśmy, że ten mandaryn ofiarował nam 600 piastrow jako wynagrodzenie za koszta podróży, bylebyśmy tylko odpłynęli. Przekonałem się więc, że trzeba było wrócić na pokład; mandarynom rozdaliśmy podarki i wzajemnie od nich otrzymawszy, rozstaliśmy się w najlepszej przyjaźni.

„Nie lepszą była trzecia i czwarta próba wylądowania. Okolica która się teraz przed nami nasuwała, była równa, przekopana kanałami i rowami i bardzo pracowicie

uprawiona. Wpłynęliśmy w rzekę a na jej brzegach stało mnóstwo ludu. Wysiedliśmy przed wielkim kościołem poświęconym królowej Niebios, rożwały się tłumy; przeszliśmy środkiem kierując się ku kościołowi, gdzie odbywała się uroczystość religijno-teatralna, przerwana naszym przybyciem. Zapytałem o drogę do miasta i bióra gubernatora. Kiedyśmy przyszli, warta chciała drzwi zamknąć. Weszliśmy na podwórze przepelnione pospółstwem, ale przed nosem zatrzaśnięto nam drzwi prowadzące do głębi gmachu. Pukaliśmy przez kilka minut, — na próżno; dwóch więc z naszego orszaku poczęło walić w bramę średnią, która się nakoniec otwarła i wkrótce znaleźliśmy się w wielkiej sali, gdzie siedziało kilku mandarynów. Mimo naszego wejścia napastniczego przyjęto nas nadzwyczaj grzecznie, podano nam krzesła, herbatę i fajki.

„Przegawędziliśmy czas niemały zanim pojawił się wice-gubernator, który rozmowę począł od mocnych wyrzutów za nasze zuchwalstwo. W ciągu rozmowy usiadł, ja też to samo zrobiłem. To go obraziło, zerwał się z roziskrzonym wzrokiem i nie powiedziawszy słowa odszedł. Pozostali częstowali nas na nowo herbatą, chcąc niejako naprawić jego niegrzeczność, lecz wkrótce wrócił wice-gubernator i oznajmił nam, że gubernator chce nam dać audyencyą w kościele królowej Niebios. Na grzeczność naszą zdawał się żadnej nie zwracać uwagi, chociaż witaliśmy go po chińsku; powiedziałem mu więc z przyciskiem:

„W naszym kraju urzędnicy rządowi są uprzejmymi dla cudzoziemców, u was zdaje się przeciwnie. Lecz aby całemu towarzystwu pokazać, że znamy i zachowujemy przepisy grzeczności, składamy wam jeszcze raz naszą czołobitność.“ Złożywszy więc ręce skłoniliśmy głowę. co między osobami jednakięj rangi za najwyższą grzeczność uchodzi. Zaczerwienił się ze złości wice-gubernator, ale że widział iż śmieszność nie jest na naszej stronie, odkłonił się w podobnyż sposób, poczem weszliśmy do kościoła, który obejmował trzy wielkie sale.

„Wróciliśmy na pokład po długięj a daremnej rozmowie z gubernatorem. W przechodzie byliśmy świadkami osobliwszego przykładu karnośći wojskowej. Mandaryn szedł między dwoma uzbrojonymi, przed nim niesiono czapkę ze złotym kutasem. Miał uszy przebite, oczy związane, a w rękę niósł mały sztandar. Przed nim zaś szedł człowiek z takim napisem: „Z rozkazu naczelnika przebito temu panu uszy za niedopełnienie obowiązków wojskowych, — co się do publicznej podaje wiadomości.“

Jeszcze trzy miesiące płynęliśmy wzdłuż Chin powtarzając nasze zabiegi, lecz gdy się pora burzliwa zbliżała, nic nie dopiawszy wróciliśmy do Wschodnich Indyj.



## 2.

Misyonarz Gützlaff w tym samym roku odbył drugą podróż do Chin, którą w następny sposób opisuje.

„Mimo gwałtownych wiatrów północnych i wschodnich, panujących zwykle w téj porze roku, w którejśmy płynęli, w ciągu dwóch miesięcy przybiliśmy do brzegów Madschu — Tartari, i 21. listopada w szerokiej zatoce zarzuciliśmy kotwicę. Czas był dotąd piękny; dopiero dzisiaj uczuliśmy nieco zimna. Kilka statków chińskich wyładowanych produktami tych żyznych okolic miało odpłynąć do Kantonu i Fuch-kieu. Mówiliśmy dość długo z kapitanami tych statków, którzy nam jednozgodnie odradzali płynąć dalej, upewniając, że natrafimy na lody. To wszakże nie mogło odstraszyć żadnego Europejczyka, bo od młodości przywykliśmy do mrozów, a choćbyśmy téż trafili na niebezpieczne miejsca, łatwo byłoby nam ucieczką uratować się od grożącego niebezpieczeństwa. Z takim postanowieniem ruszyliśmy ku północy, ale się pokazało, że to było nierozsądne tym więcej, że gwałtowne wichry północne łatwo i niespodzianie mogły nas gdzie roztrącić o ławicę.

„Aby uniknąć mielizny, odbiliśmy od brzegu, wiatr był dobry, rozpuściliśmy żagle i cieszyliśmy się naprzód w mniemaniu, że ujrzymy chiński mur, kiedy uszu naszych doszedł straszny okrzyk, że okręt płynie na mieliznę. Jeszcze było dosyć wody, pochlebialiśmy więc sobie,

że unikniemy zagrzęźnięcia, tymczasem morze poczęło wzbiierać i pędziło nas na ławicę. Chcieliśmy zmienić kierunek, ale na próżno, wyrzuciliśmy część towarów, aby ulżyć okrętowi, woda już była tylko na 8 stóp głęboka, okręt zarył w piasku, tymczasem ciemność zapadła i tak przepędziliśmy noc między obawą i nadzieją.

„Wszakże jak mało było nadziei, dzień następny okazał. Przez całą noc dał gwałtownie zimny wiatr północny. Woda opadała coraz bardziej. Już była tylko na 6 stóp głęboka. Majtkowie bengalscy stracili już wszystkie siły, a na pomoc europejskich marynarzy nie było co rachować. Położenie nasze było coraz to okropniejsze, bo wiatr był coraz silniejszy i wielkie kry lodu otaczały okręt. Zdawało nam się, że puściwszy się w pław, ocalimy życie, ale brzeg był jeszcze o milę, a woda niezmiernie zimna. Morze też było tak wzburzone, żeśmy się obawiali iż nas wiatr wyrzuci zanim przypłyniemy na łodziach do brzegu. Trzeba było zdobyć się na decyzją. Postanowiliśmy okręt opuścić i w kilku ludzi udać się na brzeg, aby resztę ocalić.

„Było to 20. listopada, kiedyśmy w poczcie 8 Europejczyków i 13 chorych Laskarów (majtków bengalskich) ruszyli do Kai-Schu. Termometr w kajucie pokazywał 23 stóp niżej zera. Wiatr wiał gwałtownie, bałwany obrzucały nas lodem, a suknie nasze na wskrós przemokły. Laskarzy cierpieli okropnie, ich jęki rozdzierały nam serce; ale na cóż się przydało współczucie, kiedy im żadnej sku-

tecznej pomocy dać nie mogliśmy. „Umiéramy,“ krzyczeli ciągle, okryliśmy ich o ile było podobna, zrzuciliśmy z siebie suknie, bez których mogliśmy wytrzymać, poczém zostawiliśmy ich losowi. Po niemałych zabiegach po południu dopłynęliśmy do brzegu. Okolica była pusta, widać było kilka chat i łodzi rybackich przywiązanych do wybrzeża.

„Wysiedliśmy na ląd, a jedni z nas nieśli pożywienie, inni zaś wlekli za sobą Laskarów. Wkrótce spotkaliśmy rybaków. Zdziwieni i zasmuceni naszym okropnym położeniem, ulitowali się nad nami, nie proszeni pomogli w niesieniu ciężarów i otworzyli gościnnie swe chaty. Tutaj znaleźliśmy łoża z ogrzanemi kołdrami. Niektórzy z naszych majtków bengalskich prawie zupełnie przemarzli, a gorąco jakie było w chacie, nie wystarczało do odkrzepienia ich członków. Jeden z nich oddał Bogu ducha, inni byli jakby bez życia, a że dym w chatach był nieznośny, rybacy zaś, jakeśmy się z rozmowy przekonali, byli ludzie biedni, co nas z litości przyjęli, opuściliśmy więc ich chaty i poszliśmy do kościoła stojącego na wzgórzu. Zastaliśmy tam kapłana, który z czeladzią swoją chciał nam wzbronić przystępu; przypomnieliśmy mu słowa pisma, że wszyscy ludzie mieszkający między czterema murami są braćmi i że to musi mu radość sprawiać, jeśli przyjaciel przyjdzie z daleka. Uspokoify go te klasyczne cytacye z Konfucjusza, a kiedym jeszcze wspomniał inne przepisy tego mędrca o gościnności, z niejakim wstydem



dozwolił nam wejść przepraszając za surowe obejście się z ludźmi, znającymi tak wysokie zasady Konfucjusza, a w końcu swego usprawiedliwienia zaprosił nas na obiad.

„W domu tym zastaliśmy ludzi porządnie ubranych ukazujących wiele współczucia w naszym nieszczęściu i starających się nas pocieszyć; uczuli zaś wysoki szacunek dla naszego narodu posiadającego głębokie sztuki, skoro ujrzeli zegarki i tabakierkę grającą. Była nam więc dobrze między nimi i choć gości znajdowało się wielu, dostaliśmy wygodne posłanie i noc przepędziliśmy ciepło. Nazajutrz dzień był pogodniejszy, chociaż zimno niemniej dokuźliwe. Wziąwszy z sobą rybaków ku pomocy, wciągnęliśmy łódź naszą do zatoki. — Aby wyprosić pomocy od mandarynów, trzech z nas udało się do miasta. Droga prowadziła okolicą żyzną, piękne folwarki i zdrowa zamożna ludność przypominała nam oddaloną ojczyznę, a że i okolica była piękna, podróż mogłaby stać się wcale przyjemną, gdyby nam wspomnienie przykrego położenia nie zatruwało rokoszy czerpanej w obrazach natury. Przeszedłszy kilka wsi ujrzeliśmy wysokie wały Kai-Schu. Miasto otoczone jest murami, ponieważ jest stolicą polityczną i handlową Tatarów.

„Domy niskie, żadnych też budynków osobliwych, ale ruch kupców po ulicach i bogate sklepy przekonały nas, że to jest rzeczywiście to miasto, z którego corocznie 2000 statków wyładowanych towarami odpływa.

Zginęliśmy wśród ścisku ludzi i w chaosie ulic błą-

kaliśmy się tak długo dopóki nam jakiś policyant nie zaszedł drogi. Poprowadził nas do bióra publicznego, dał kawałek papieru i prosił nas o piśmienne wyłuszczenie rzeczy. W ten sposób zaspokoiwszy ciekawość policyi, chcieliśmy jak najprędzej widzieć się z pierwszym mandarynem; lecz im goręcej prosiliśmy o natychmiastową audyencyą, tym twardzimi okazywali się ci ludzie.

„Tymczasem tłumy rozbudzone ciekawością zebrały się licznie, a byli to ludzie porządnie odziani w sukniach dostatnich, sukiennych, zajmowali się nami bardzo, wypytywali nas i w końcu ustawicznymi pytaniami znudzili.

„Upłynął czas niemały zanim pozyskaliśmy audyencyą; jużesmy nawet o niej wątpili, kiedy nas powołano do sali i poczęto wypytywać o powód przybycia. Opowiedzieliśmy przypadek jaki spotkał nasz okręt; na wszystkie niepotrzebne pytania milczeliśmy, poczem wyniesiono skąpy obiad, do którego mimo woli musieliśmy zasiąść. Wszakże pokazało się z rozmowy że o przyniesieniu pomocy okrętowi nie myśleli, ale sprawę całą postanowili odesłać do cesarza. „Jakto!“ zawołaliśmy, „cała załoga pozostała na okręcie, myśmy przyszli was prosić o pomoc; jeśli tamci umrą z głodu i zimna, cóż poczniecie? Wiedźcie że od tej chwili jesteście odpowiedzialni za życie 80 osób; jeśli umrą, powoła was do rachunku cesarz, który ma litość nad cudzoziemcami.“

„Nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi; — odeszli, a nas w licznej eskorcie odprawiono na wieś gdzie nas oczeki-

wała reszta towarzyszy. Położenie nasze było bardzo smutne. Nie mogliśmy pomóc, ani sobie, ani naszym przyjacielom na okręcie; smutne przecucia przejmowały nas. Tylko nadzieja w Bogu, który nas nigdy nie opuścił, dodawała pociechy i mimo nieszczęsnego położenia mieliśmy w sobie jakąś pewność, że nam ześle niespodzianą pomoc. Jużemy się zbliżali do wsi, kiedy nam zabiegli pozostali we wsi towarzysze z okrzykiem radości: okręt uratowany! rozpuścił żagle, widzieliśmy go już ze wzgórzów! Ta wiadomość napełniła nas najwyższą radością i jakby gromem przerażiła towarzyszących nam mandarynów. Ten sam który nas od pierwszego wejrzenia z najobrazliwszą dumą traktował, w mgnieniu oka stał się niezmiernie przyjacielskim, wymówił się i prosił abyśmy zapomnieli dawnych uraz.

„Dowiedzieliśmy się na pokładzie okrętu, że wiatr południowy wyrwał go z niebezpiecznego położenia, woda poczęła wzbierać i okręt nieuszkodzony wypłynął. Naza jutrz wróciliśmy znowu na brzeg dla zabrania z sobą chorych Laskarów, których zostawiliśmy w chatach rybackich. Lody oderwane w wielkich bryłach płynęły koło brzegu, dopiero więc koło wieczora przybyliśmy na miejsce pierwszego wylądowania. Rybacy cieszyli się szczerze niespodzianym naszym ratunkiem i już mieliśmy wsiąść na statek, kiedyśmy ujrzeli na drodze wielką masę wojska. Zażądaliśmy od oficera aby ustąpił, jeżeli nie zechce aby przyszło do rozlewu krwi. Z początku wahali się komendanci chiń-



scy, ale ujrawszy u jednego majtka parę pistoletów, usunęli nam się czémprędzej.

„Odpłynęliśmy więc, pożegnawszy się serdecznie z rybakami. Morze było jeszcze wzburzone, płynąc na małej łodzi byliśmy w niemałym niebezpieczeństwie, atoli dopłynęliśmy szczęśliwie do okrętu i z pociechą rozstaliśmy się z tą niewdzięczną ziemią. W około okrętu nazbięrały się ogromne kry. Podróż była niepewna, bo gęste chmury śnieżne i mgły zalegały na niebie. Gdybyśmy pozostali dłużej, okręt niechybnie zamarzał. Zimno dokuczliwe nie dozwalało indyjskim majtkom pracować; na szczęście mieliśmy kilku europejskich marynarzy, dzięki którym dostaliśmy się na cieplejsze wody.“



## Podróż na Etnę.

---

Od chwili przybycia do Katany, Sirocco nagromadził masy chmur nad Etną, które zupełnie pokryły jej szczyt. Wkrótce zerwała się burza z deszczem i rozproszyła obłoki. Wtedy dopiero ujrzeliśmy wspaniałą górę w całej majestatyczności i spodziewaliśmy się używać z jej szczytu widoku, którym cieszyliśmy się przed kilkoma laty. Nie bez trudu wyszukaliśmy sobie przewodnika i mułów, i na-  
zajutrz około 10<sup>ej</sup> rano wyruszyliśmy w drogę.

Zaledwośmy wyszli po za miasto, nasunęły nam się przed oczy okropne ślady ostatniego wybuchu. W kilku miejscach strumień lawy był na trzy mile szeroki i zalegał okolicę na kilka mil. Nieraz już rozpalona lawa dosięgała przedmieść Katany, w niższych miejscach wezbrała po nad mury, a jeśli te w innych miejscach były wyższe, opłynęła je dokoła. To zjawisko powtarza się przy każdym wulkanie. Tak naprzykład u stóp Wezuwiusza kilka kościołów pozostało nietkniętych, co było powodem pobożnej między

ludem tradycyi, że opieka świętych, którym kościół ten jest poświęcony, ocaliła je od zguby.

W niejakiój odległości od gościńca prowadzącego do Messyny, spotyka się ogromne koryto lawy, które tak wypełniło stary port Ulisesa, że dzisiaj najmniejsza nawet łódź wpłynąć weń nie może. Aż do Nicolosi okolica zasłana jest wsiami i domkami wiejskimi, które wiszą nad sobą na pochyłości góry. Nigdzie, nawet w Kampanii nie spotkałem takiej żyzności, ale wszędzie w pośród najbujniejszej roślinności widzieć się dają ślady niszczącego żywiołu. W kierunku Tolosi ujrzeliśmy krater, którego szczyt podwójny przypomniiał mi Wezuwiusza. Zowie się on Monte Rosso, a jest zabytkiem z roku 1687, w którymto czasie wybuch Etny trwał przez cztery miesiące. Z czełuści tych wypłynął palący się ocean, który zniszczył całą Katanę, lecz jeszcze dotąd wulkan ten wybuchami swemi straszy mieszkańców Nicolosi.

Czterech godzin potrzebowaliśmy na przebycie drogi z Katany do Nicolosi zaledwo dwie mile dłuższej, a zjadłszy skromny obiad i zmieniwszy muły puściliśmy się dalej w drogę.

Nicolosi jest ostatnim punktem niższego obrębu Etny. Od stóp góry aż do jój szczytu, odróżniają bowiem trzy odręby: niższy to jest zamieszkały, środkowy zarosły lasami, i ostatni całkiem nagi, a wszystkie trzy z daleka nawet odmiennym odróżniają się kolorem. W pierwszej panuje zielona wesołość, w drugiej ciągnie się czarny las,



trzeci nakoniec zawsze biały, bo grubszą lub cieńszą warstwą śniegu pokryty. Przebywszy żyzne pola, ogrody, winnice i plantacye oliwne najniższego zakresu, przychodzi się na płaszczyznę pokrytą popiołem, która jest przejściem do leśnej okolicy. Po wczorajszym rześistym deszczu droga na téj płaszczyźnie była przyjemną, z niechęcią opuściliśmy ją i zapuszczaliśmy się na pole zalane lawą, po której muły pewnym krokiem postępowały. Przeszedłszy ją dostaliśmy się do lasu. Z początku drzewa były rzadkie i wysokie, tak że nam się zdawało, że idziemy parkiem zarosłym starymi drzewami, ale kwitnącemi wiosenną młodością. Rozłożyste dęby i buki ciągnęły się przez kilka godzin drogi, a pod ich cieniem szerzyły się zielone dywany upięknione kwitnącemi różami i fiołkami.

Lecz w krótcie ogromny strumień ostygłej lawy zmusił nas do opuszczenia tego ulubionego miejsca, gdzie zdawał się brzmieć jeszcze w powietrzu śpiew i gra na piszczalce pastérzy Teokryta.

Drugi strumień lawy już nie tak łatwo się przechodzi jak pierwszy, ale dzięki zręczności naszego przewodnika a raczej dzięki naszym mułom udało nam się przełamać wszystkie trudności. Kiedyśmy znów do lasu weszli, różnica wzrostu drzew przekonała nas żeśmy o dużo wyżej wstąpili. W powietrzu dała się także czuć wyraźna zmiana, bo przechodząc przez trzy obręby góry, przechodziliśmy jakoby trzy pory roku, to jest lato, jesień i zimę, chociaż za nadejściem do granicy śnieżnej przekonaliśmy się, że

termometr spadł od chwili wyruszenia z Katany o dziesięć stopni.

Część nocy spędziliśmy w domku umyślnie dla podróżnych przygotowanym, rozłożyliśmy się obozem, rozpaliliśmy ogień, a przyrządziwszy herbaty, i grogu i przykrywając się płaszcami chcieliśmy spać. Ale na próżno. Grzmiący wulkan i myśl o widoku któregośmy mieli używać, zanadto nas rozdrażniła, abyśmy oczy zamknąć mogli. Już też o północy nadszedł przewodnik powołując do dalszej podróży. Pokrzepiliśmy się więc wieczera i słusznie, bo kto wie czyli bez tego znaleźlibyśmy w sobie dość sił do zwalczania tylu trudów podróży, które nas czekały.

Niebo ukazało nam się w całym uroku nocy wschodnich. Sklepienie niezmierzone, ciemno-błękitne, zasiane było tysiącami gwiazd, a nieobecność księżyca przyczyniała się jeszcze do podwyższenia piękności tego obrazu.

Po godzinie ciężkiej pielgrzymki już ostatnie krańce lasu były za nami. Droga stawała się coraz przykrzejszą, zimno coraz dokuczliwsze, ale przed nami rozwinał się ogromny widok kolosalnego krateru ukrywany dotąd przed naszymi oczyma innymi wzgórzami i kraterami.

Przebywszy dość wielką płaszczyznę świeżo spadłym śniegiem obsypaną, doszliśmy do domu Anglików zburzonego w przeszłym roku przez kilku przemarzłych podróżnych, którzy z niego zrobili sobie ogień. Odpoczęliśmy tu przez chwilę, a rozłożywszy ognisko i wypiliśmy grogu

poszliśmy dalej. Odtąd rozpoczyna się najprzykrzejsza część drogi; tu trzeba się drapać przez góry lawy, której tu i owdzie wystające końce dotkliwie uciskają nogi. Dopiero u stóp samego krateru podróż staje się mniej ciężka; lecz i tutaj grunt jest tak sypki i niepewny, że trzeba po trzy lub cztery razy stawiać nogę, zanim się pewny krok uczyni, a towarzysze moi kręcili się jako wiewiórki na młynkach, które się im stawia w kłatki, nie mogąc stanowczego kroku na przód uczynić. Często się wpadnie w popiół wulkaniczny, który się głęboko pod nogami ugniata, jakoż jeden z nas z wielkim strachem zapadł się aż po pas i wołał o ratunek przeraźliwie mniemając, że go już pochłania ogniste piekło wulkanu.

Przez cały czas drogi trapiła mnie obawa, iż przed wschodem słońca nie dojdziemy do szczytu. Na szczęście uprzedziliśmy go na kwadrans, mogłem więc tego widoku w całym jego ogromie używać. Lecz niechaj czytelnik niespodzięwa się po mnie opisu, nie sądzę aby najwymowniejsze pióro zdołało skreślić ten obraz a uobecnić go sobie najbujniejsza fantazja. Kiedyśmy wstępowali, już gwiazdy na wschodzie opromienione różowym blaskiem poczęły znikać, góry Kalabryjskie czarnemi krysami odznaczały się na niebie, dzienny brzask poczynął się przebijać, kiedy na zachodzie jeszcze ciemna noc panowała.

Przez długi czas nie mogłem oczu moich oderwać od nieba, choć aż pod nogami roztwierał się widok niezmierny. Na wschodzie kilka lekkich chmurków błąkało się na



widnokregu, lecz wkrótce wylał się ocean promieni purpury i złota, i po nad ziemię wzniosła się majestatycznie kula, życie i światło dająca wszystkiemu stworzeniu; staliśmy zadumieni kiedy przewodnik zwrócił oczy nasze na zachód. Tutaj jak olbrzymia góra, której szczytem jest Etna, pod nami leżała Sycylia. Z tego punktu widzieliśmy najwyższe szczyty gór. Promienie oświecały z początku ich iglice, stopniowo rozlewały się po całej pochyłości i potem jako wielkie morze ogarnęły wszystkie doliny. Od północy wieńczył Sycylią Archipelag Eolski, pod nami szerzyły się zielone równiny Sycylii niezliczonemi strumieniami przerzniete, które ten wspaniały kraj jakoby srebrną powlekały siatką, w około nas morze, a jego lazurowe bałwany pieściły się z pobrzeżem szczęśliwego kraju.

W oddaleniu leżała Malta jako ciemny punkt na krańcu horyzontu. Cóż za wspaniałość! Co za ogrom! Niechaj tu przyjdzie ateista, a duma jego zniknie w obec tych cudów i serce jego, jeśli nie usta, cześć oddadzą Panu!

Z wejściem słońca ukazuje się z Etny wspaniałe optyczne zjawisko, które można tylko ujrzyć na takim jak ona olbrzymie i tak odosobnionym. Chcę mówić o ogromnym jej cieniu. Cała Sycylia oświecona już słońcem, a cień Etny pada przez całą wyspę aż do Agrigentu, i znaczną część obrazu półcieniem pokrywa. Ale im wyżej wstępuje słońce, tym bardziej cień się ten skraca, nareszcie znika zupełnie, a wtedy cała wyspa ukazuje się w swojej wspaniałości zdumionemu widzowi.

Teraz uwaga nasza zwróciła się na krater. Z każdym wybuchem zmienia on postać swą i wielkość, często zapada się w swych wnętrznościach; wszelki więc opis jego mógłby być prawdziwym przez czas tylko niejaki. Kiedyśmy tam byli, obwód jego można było obejść w przeciągu trzech kwadransów. Ostry brzeg okrążający przepaść rysował się w najpiękniejszych liniach, a w głębi ujrzelśmy wielką płaszczynę leżącą od niego o 30 stóp niżej. Tam spostrzeżliśmy wielkie otwory, z których wydobywały się siarczane wyziewy; wszystkie te ściany krateru pokryte były siarką i afunem. W rozpadlinach od czasu do czasu widzieliśmy błękitne płomienie, które czarnej lawie okropnego dodawały koloru. Próżnemi były usiłowania nasze wstąpienia do krateru, pytaliśmy o radę przewodnika, ale ten odskoczył od nas i krzyknął z przerażenia: „Niedawno jeden Anglik który się zerwał na taką próbę, zginął w czeluściach, choć kilku innym udało się dotrzeć do samego brzegu.“

## Karnawał Rzymski.

---

W żadnym kraju na świecie karnawał nie bywa obchodzony z taką uroczystością i tak głośnie uciechy jak we Włoszech, szczególnież téż w Rzymie, Neapolu i Wenecyi. Wszyscy się wtedy przebiérają, nawet mnichy i zakonnice; po klasztorach przedstawiają sztuki dramatyczne, bo im dozwolono jest pod ten czas opuszczać mury klasztorne i brać udział w zabawach ludu. Po wszystkich większych miastach tłumy przechadzają się na Corso. Kto tylko ma powóz, łączy go z orszakiem mask, wszystkie teatra są otwarte a po ulicach i placach rozmaite przedstawiają widowiska. Wtedy niknie wszelki wzgląd na stan, żądza uciechy wszystkimi niepohamowanie wodzi. Każden przemysłowa nad nowemi a śmiesznemi conceptami, każden wyszukuje komicznych postaci. Najuboższy żebrak łachmany swoje świątecznie ustroi. Każden żart wtedy uchodzi i śmiechem bywa witany, bo wszyscy są przekonani że powiedziany jest nie ze złości, ale dla zabawy.



W każdym mieście inaczej obchodzą karnawał. We Florencyi rozpoczyna się on od uroczystości ludowej w nocy, podczas której wśród okrzyków radości prowadzą bałwana słomianego, uwieńczonego wawrzynem, przy odgłosie muzyki i przez najwspanialsze ulice miasta. W tym orszaku wielu jedzie konno lub na osłach; inni trąbią na długich rurach, a reszta wrzeszczy przeraźliwie. Po innych miastach wystawiają galerye z desek obłożone owocami i innymi łakotkami; tutaj lud zabawia się puszczając balony, strzelając do tarczy, goniąc się w karuzelu lub ścigając na koniach.

W czasie karnawału znajdowałem się w Rzymie.

Już radość wszystkim ludziom głowy zawracająca od 8 dni panowała; wielu poczuwało w sobie ubytek sił i chęć spoczynku. Ale to nic nie pomogło, trzeba było wytrwać do końca, a w reszcie uciecha ludu rzymskiego jest tak pełna, że najzimniejszy nawet człowiek przybywszy na Corso czuje się porwanym tym prądem wesela. Codziennie Corso świetnie było przybrane, okna ozdobione wspaniałymi, jedwabnymi dywanami, a z okien wyglądały najpierwsze piękności rzymskie. Po obu stronach ulicy na podwyższonych krzesłach siedziały niewiasty ludu w najbogatsze stroje odziane, a środkiem Corso postępował krok za krokiem nieskończony szereg powozów. Mężczyźni największą znajdują przyjemność w powozach; lecz zanim się udadzą na Corso, trzeba im się wprzód opatrzeć w liczne zapasy a mianowicie téż w bukiety i gipsowe gałki. Przygotowania te zdawały się nieco przesadzone, przynajmniej dla

naś, którzy po raz pierwszy do téj uroczystości wtajemniczeni być mieliśmy i nie mogliśmy pojąć, co za przyjemność mieć można w tém wzajemném ciskaniu na siebie. Lecz zaledwośmy przybyli na Corso, zaledwo spadły na nas kwiaty, które z najbliższego okna piękna cisnęła ręka, kiedy i my jakby urodzeni Rzymianie czémprędzej porwaliśmy się do tego bombardowania. Trzeba widzieć i trzeba bawić się razem, aby módz pojąć ten wpływ elektryczny, który zabawy te wywierają, mianowicie téż kiedy cudzoziemiec po raz pierwszy na nią się znajduje. Przy każdym oknie, pod każdym balkonem, obok każdego przejeżdżającego powozu rozpoczyna się między siedzącymi wzajemna walka. W powietrzu płyną same bukiety, a jeśli się spotyka znajomą lub szczególną jakąś piękność, trzeba rzucić cały grad kwiatów i przyjąć na siebie podobną ilość pocisków. Kto się chce odznaczyć, ten wybiera najpiękniejsze pączki róż, fiołki, kamelie, i razem z cukierkami ciska je do powozu, lub okna, a zato damy wynagradzają robotkami ręcznymi, lub kwiatami robionemi przez siebie. Jeśli się zaś w drodze spotka wóz ze znajomymi męszczyznami, rozpoczyna się zacięty bój na gałki, które jako chmury gradowe płyną w pośrodku walczących stron. Szczególniej téż znajduje się twardych przeciwników w Anglikach, którzy szuflami w tym celu umyślnie przyrządzonemi rzucają na siebie gałek, naraz po **20** do **30** funtów, a nie raz jaja napełnione miodem. Najtrudniej pomścić się na takich, którzy z wysokich balkonów ciskają gałki w takiej ilości, że ziemia w około powozu

na stopę jest niemi zasypana. Ale zarzucony na ulicy przeciwnik potrafi się zemścić wymierzywszy celnie i pomarańczą lub cytryną ugodziwszy balkonowego zapaśnika. Tak więc na całym Corso pływa jakby szalejąca massa ludzi a nad nimi nieustanny grad wieńców i kulek. Jak nawalnym grad ten być musi, już z tego wnieść można, żeśmy z jednego powozu po południu wyrzucili przeszło dwa tysiące bukietów nie licząc tych, które nam ze wszystkich stron do powozu narzucono. O godzinie czwartej wszystkie powozy ustępują z Corso, rozpoczynają się wyścigi konne i aż do zmiérzchu trwa bombardowanie. Lecz najwyższego stopnia radości dosięga karnawał ostatniego wieczoru, kiedy przy zapadającym zmiérzchu kaźden zapala świeće. Wszystko na ówczas jasne, oświecone od okien i balkonów aż do dachów; wszystko w domu i na ulicy opatrzone w gorejące świeće, które wśród szalonej wrzawy jeden drugiemu stara się zgasić. Miasto całe podobne jest na ówczas do morza z ognistemi bałwanami, wszędzie wrzawa, wesołość i swawola; wszędzie piękne kobiety w najcudowniejszych strojach, a widok ten na umyśle już znużonym przez siedm poprzednich dni, jeszcze ogromne sprawia wrażenie.



## Corricolo Neapolitańskie.

---

W trojaki sposób można zwiedzać Neapol, piechotą, powozem i w kabryolecie czyli Corricolo. Piechotą chodzi się wszędzie i widzi się za wiele; powozem przejeżdża się tylko przez trzy główne ulice i widzi się za mało. Corricolo jest więc najlepszą drogą pośrednią. Posłałem do gospodarza z zapytaniem, czy mogę nająć Corricolo na tydzień albo na miesiąc; ale gospodarz mi poradził kupić, a że to mi się wydawało za drogo, rzekł:

„Czy to jest drogo? porachujemy zaraz. Corricolo dostaniesz Pan za 10 dukatów, koń po 30 carlini, szory za jedną pistole, wszystko więc razem około 20 talarów.“

„Jakto!“ zawołałem, „za 10 dukatów miałbym mieć Corricolo?“

„O i przewyborne!“

„Nowe?“

„Wymagasz Pan za wiele; nowych niema wcale. Nie wolno jest stelmachom robić Corricolów, policya im zakazuje.“

„Czy podobna? a od jak dawna istnieje ten zakaz?“

„Może od lat pięćdziesięciu.“

„Jakże może tak długo Corricolo istnieć?“ zapytałem.

„Rzecz łatwa do wyjaśnienia,“ odpowiedział gospodarz.

„Nowych zakazano budować, ale nie zabroniono dodawać nowych kół do starych pudeł ani nowych pudeł do starych kół, i w ten sposób każde Corricolo jest nieśmiertelne.“

„Teraz rozumiem. Ale konie, czy to być może, abym parę koni dostał za ośm talarów?“

„Bez wątpienia; prześliczną parę koni, rozumie się — zdechłych.“

„Zdechłych, czy Pan żartujesz?“

Bynajmniej, po téj cenie nie może się Pan innych spodziwać.

„Panie gospodarzu, chciój się Pan wytłómaczyć, podróżyć dla własnej przyjemności, wszystkie więc spostrzeżenia i odkrycia są dla mnie bardzo szacowne.“

„Znasz Pan historiją tego pięknego zwierzęcia, to jest rozmaite koleje przez które koń przechodzi. Z początku chodzi pod wierzchem, potem ciągnie karety, później wozy pocztowe, nareszcie powozy fiakerskie, a w końcu odprowadzają go do oprawcy. Ale nie, na tém nie koniec; bo dopiéro od oprawcy przychodzą do Corricoli. Jest bowiem u oprawców zwyczajem, że się u nich kupuje skórę po zwykłych cenach; zamiast więc zabijać zwierze i zdzięrać z niego skórę, kupują go ludzie, i używają dopóki żyje, a zawsze skóra pewna, i takie konie zowią u nas zdechłemi.“

„Cóż robić z takimi końmi?“ zapytałem.

„Zaprzęgają je do Corricoli“ — odpowiedział.

„Czy być może? więc konie którymi przyjechałem do Neapolu były.“ . . .

„Były zdechłe.“

„Przecież przez całą drogę galopowały.“

„To prawda. Wreszcie przekonasz się Pan sam.“

W rzeczy samej za cenę przez mego gospodarza zapowiedzianą zostałem właścicielem jasno czerwonego Corricolo z dwoma ognistymi rumakami przybranymi wspaniale w dzwonki i wstążki. Chciałem sam powozić, ale na próżno; moje bieguny były zupełnie na razy bicza obojętne; oddałem więc cugle woźnicy z professyi i z jego pomocą czyniłem wycieczki po Neapolu. Naprzód zwiedziłem wspaniałe promenady, Toledo zasiane sklepami i wszystkie znaczniejsze miejsca rajskiego Neapolu. Nic pyszniejszego nad to wspaniałe miasto fantazyja wymyślcć nie może. W półkole wznosi się nad brzegiem najpiękniejszej zatoki w świecie, i ciągnie się aż do pasm górnych zasianych domkami wiejskimi. Napróżnożbym się kuśli o opisanie ruchu i życia w Neapolu i tych krzyków przekupni co towary swoje przechodniom polecają, wrzawy wyrobników pracujących po ulicach i przebiegających nieustannie dziwnych malowniczych postaci: wszystko to mija, zmiénia się, a w umyśle zostaje jakby senne wspomnienie najpiękniejszej w świecie galeryi natury.



## Dwaj myśliwi w Alpach.

W pięknej dolinie Alpejskiej mieszkał człowiek zamożny, miał piękne bydełko i domostwo obszerne. Córka jego imieniem Elsi, dziewczyna pobożna, pracowita i pewno najpiękniejsza w całej okolicy, była przedmiotem gorącej miłości dwóch w pobliżu mieszkających braci, z których starszy zwał się Walti, młodszy Rudi. Obaj ludzie zacni, majątni, zręczni, pracowici i myśliwi zawołani. Ojciec dziewczyny widział to dobrze, że i jeden i drugi starał się o córkę; każdemu z nich oddałby ją chętnie, ale i o tém wiedział, że oddając jednemu drugiemu krzywdę wyrządzi. Rzekł więc pewnego dnia do nich: „Słuchajcie, widzę ja to dobrze, że wam Elsi wpadła w oko, nie mam nic przeciw temu, ale albo jeden z was, albo téż obydwa musicie odstąpić. Rozmówcież się więc między sobą i za ośm dni dajcie mi odpowiedź.“

Bracia oddalili się w milczeniu uściskawszy serdecznie sąsiada. Wróciwszy do siebie zasiedli przed domem na

ławce darniowej milcząc obadwa. Nareszcie Walti wziął za rękę brata i rzekł: „Słuchaj Rudi, sąsiad ma racya, trzeba się na coś zdecydować, ale na co? lękam się, aby spokój i szczęście na zawsze od nas nie odbiegły.“

„Obaj podobno jednako ją kochamy,“ odpowiedział Rudi, „niechaj więc Elsi między nami rozstrzygnie.“

„Dobrze mówisz bracie,“ odrzeczł Walti, „niechaj Elsi rozstrzygnie i to nie za ośm dni, ale jutro zaraz.“

Nazajutrz obaj bracia przełożyli rzecz sąsiadowi. Ten pomówił z córką, lecz dziewczyna łzami na pytanie jego odpowiedziała. W końcu uspokoiwszy się rzekła: „Mój ojciec ja rozstrzygnąć nie mogę; Waltego i Rudego znam od dzieciństwa, obaj byli zawsze dla mnie jak najgrzeczniejsi i jak najlepsi. Obydwom też wiele mam do zawdzięczenia. Ostatniej jesieni poślizgnęłam się i skaleczyłam sobie nogę tak mocno żem iść nie mogła, wtedy mnie Walti wziął na ręce i przez dwie godziny dźwigał z góry, chociaż jemu samemu nie byłoby łatwo zejść na dół. Znowu w zimie, kiedy mi jeszcze noga niewydo-brzała, napadł na mnie wściekły wilk, byłabym zginęła gdyby nie Rudi, który przyskoczył i wściekłe zwierze, życie swoje narażając, zabił. Widzisz więc ojciec, że obu mam za co kochać i żebym za nic w świecie żadnego z nich niechciała zasmucić.“

Zamilkła dziewczyna, a ojciec się przekonał, że miała racya. Pocałował ją w czoło i rzekł: „Kiedy tak moje dziecię, to zostawmy tę rzecz Panu Bogu, nie-

chaj on osądzi.“ Wrócił więc do młodzieńców i powtórzył im odpowiedź dziewczyny.

„Wiedziałem o tém,“ zawołał Rudi, „wiedziałem. Elsi nie mogła inaczej odpowiedzieć, zdajmy się na wolą boską“ — i po tych słowach pożegnali się.

Trzy tygodnie upłynęło w smutku. Bracia wprawdzie pracowali chętnie, ale robota nie cieszyła ich wcale. Żaden z nich nie poszedł do tańca, obaj w zabawie niechcieli brać udziału. Elsi podobnie siedziała w domu, a z bladój jój twarzyczki wyczytać było można, że serce miała ciężko strapione.

Pewnego dnia Walti przyszedł do brata i powiedział mu: „Tak dłużej być nie może, trzeba to raz przecie zakończyć. Ty się dręczysz, ja się martwię, Elsi posmutniała tak że aż sąsiedzi gadają iż chora. Jak mi Bóg miły, nie widziałem jój od tego czasu, tylko ze słów ludzkich dowiaduję się iż tak pobladła, a ludzie jak zaczną myśleć to i przyczyny się domacają. Eli obu nas kocha, może nawet zarówno; jeżeli żaden z nas o nią się starać nie będzie, wszyscy troje będziemy smutni, a tak przynajmniej dwojgu będzie lepiej. Całą noc spać nie mogłem, przyszła mi więc myśl. Musimy zdać się na wolą bożą, niechaj On da nam znak, weźmy strzelby, pójdźmy w góry, jeden uda się w prawo, a drugi w lewo; kto pierwszy kozę ubije i przyniesie, ten się będzie starał o rękę Elsi. Drugi musi kraj opuścić i pójść w świat. Cóż ty na to bracie, zgoda?



„Zgoda!“ zawołał Rudi i ścisnął brata za rękę, „ale musimy to powiedzieć staremu.“

„Pójdźmy zaraz,“ rzekł Walti, i obaj wzięwszy strzelby na ramiona i opatrzwszy torby myśliwskie ruszyli w drogę.

Elsi ujrzała ich z daleka i pokazała ojcu, a ten się dorozumiał, że mają mu coś ważnego do powiedzenia i wyszedł na przeciw. Powiedzieli mu więc co postanowili. Stary wysłuchawszy zawołał Elsi. „Dziewczyno!“ rzecze, „gdyby jeden z tych dwóch prosił jutro o twoją rękę, czybyś go odprawiła z niczém?“

Elsi spuściła oczy ku ziemi i milczała. „Oni postanowili,“ mówił dalej ojciec, „spuścić się na wyrok opatrności, komu się dziś najprzód poszczęści na polowaniu, ten jutro po ciebie przychodzi. Czy mu przyrzekasz, że pójdziesz za niego?“

Zdawałoby się jakby Elsi ciężką walkę w sercu swoim toczyła, nakoniec po chwili odpowiedziała: „Przyrzekam ojcze, tak mi Boże dopomóż“ — i spojrzawszy w niebo, ręce podała braciom.

Wszystkim w oczach łzy się zakręciły, nikt słowa nie mógł powiedzieć, nareszcie Elsi rzekła: „Obu was ustroję na polowanie.“ I uciawszy dwie róże z krzaka przypięła je każdemu do kapelusza, poczém dała im ręce na pożegnanie. Walti uściskawszy starego odszedł. Rudi nie chciał puścić ręki dziewczyny. Łzy puściły się mu z oczu, Elsi zadrzała, padła na kolana, a młodzieniec zemdlał oddał w ręce ojcowskie.

## 2.

Milcząc wdrapywali się bracia na góry, opuściwszy zielone wzgórza i przyszedłszy do właściwych skał, ujrzeni miejsce rozstania.

„Nadeszła chwila,“ rzecze Walti, „kiedy los nasz mamy oddać w ręce Boga; jeden z nas niech idzie na prawo, drugi na lewo; jeżeli nie napotkamy zwierza, to obszedłszy górę zejdziemy się przy źródle pod wielkim kamieniem. Jeżeli zaś jeden napotka i zabije, niech prosto idzie do domu, bo ten co przyjdzie później, jeszcze dość wczesnie przekona się o swém nieszczęściu. Teraz losujmy kto ma iść na prawo.“

Ciągnęli węzełki, Walti udał się w lewo, Rudi w prawo. Już uszli kilka kroków, kiedy mimowolnie obaj obejrżeli się na raz, zdało im się jakby ich głos Boga przywoływał, wrócili więc i uściskali się tak serdecznie jakby wiedzieli, że to był ostatni uścisk.

Ścieżka Rudego wznosiła się coraz wyżej, bo on chciał jak najprędzej dostać się na miejsce, gdzie zwyczajnie kozy przebywają. Był to strzelec wprawny, wiedział dobrze gdzie zwierze najprędzej utrafi, pełzając się na brzuchu wspinał się coraz wyżej, aż nareszcie dotarł do płaszczyzny, na której kozy się pasły. Rudi przycisnął się do skały, nie dając żadnego znaku życia; chciał, aby koza bliżej do niego przyszła, bo strzał niepewny byłby odstraszył całą trzodę i na cały dzień odjął nadzieję zdoby-

czy. Koza stojąca na czatach zwracając się to w jedną to w drugą stronę, raz wietrząc, to znów śledząc bystreimi oczyma, zbliżyła się właśnie do skały, po za którą ukrył się Rudi. Teraz była już blisko; zmierzył się, serce mu biło gwałtownie, bo cóż to za strzał! brat stanął mu przed oczyma, zadrzała ręka, chwiała się strzelba, nie mógł zwiérzyny wziąć na cel; już więc na ślepo chciał wystrzelić, kiedy odległy strzał zagrzemiał i odbił się o skały wielokrotném echem. To była strzelba Waltego. Koza spłoszona odskoczyła i znikła. Rudi opuścił ręce, z oczu popłynęły łzy, brat trafił pewno, bo on nigdy nie chybia, więc Elsi zginęła dla niego na wieki!

### 3.

Przez chwilę jako posąg stał oparty o strzelbę, i myślał czy nogą trącić w kurek i kulę w piersi wpakować, czy też rzucić się krok naprzód i wśród rozpadlin skalistych niewysłowionój boleści koniec położyć. Wreszcie przyszedł do siebie. „Naprzód,“ zawołał, „muszę polować, dopóki albo ze zmęczenia nie upadnę albo przecie zwiérzyny nie ubiję i do domu nie odniosę, wtedy przynajmniej powiem, że zrobiłem co mogłem.“

Na nowo począł się wdrapywać, kiedy z daleka pomsyślał szum, ucho jego wprawne poznało natychmiast, że



to lawina; obejrzał się więc dokoła i nad głową spostrzegł wielką szparę tworzącą się w massach śniegu. Życie było mu ciężkie, lecz nagła śmierć przeraziła go w duszy, obudził się instynkt, który mu kazał szukać środków obrony, w mgnieniu oka rozważył on, z której strony jest jeszcze możliwy ratunek, po niebezpiecznej ścieżce skakał jak koza i chwycił się oburącz za skałę. Ledwo się przyczaił, kiedy ze straszliwym hukiem spadła tuż obok niego lawina, a za nią toczyły się kamienie zsypujące się w przepaść. Otrząsnawszy się ze śniegu, uniknąwszy nieszczęścia, które go o oczywistą zgubę przyprawiało, wpadł na myśl, że nie musi go czekać samo tylko zmartwienie, skoro Bóg tak cudownie uratował mu życie, i tą myślą pokrzepiony bądź co bądź chciał ubić zwiérzynę, chociaż nie sądził, aby mu ta zdobycz na wiele się przydała. Przez kilka godzin drapał się on wśród skalistych bezdrożów, przedierał się po niebezpiecznych lodziskach, a zawsze na próżno, bo spłoszone kozy pokryły się w szczelinach.

Już słońce z południa zsyłało gorące promienie — bo nawet w tej wysokości w godzinie południowej panuje nieznośny skwar, schronił się więc pod cień skały i posilił się skromnym zapasem, który myśliwy zawsze z sobą nosić musi; a spojrzawszy na dół ujrzał pod swemi nogami całą wieś rozłożoną w dolinie, chatę swoją i dom gdzie mieszkała Elsi. Wtedy ciężko mu się stało na sercu i z boleścią zawołał: „Jakże dziwne się dzieją rzeczy, wszyscy tak gorąco się kochamy, wszyscy życzymy sobie dobrze,

a przecież wszyscy szczęśliwymi być nie możemy. Bo ja znam Waltego; widząc ból na mojej twarzy, wesołym być nie może, choćby też niewiedzieć jak kochał Elsi.“

Tak smutnemi myślami przejęty spojrzał w odległe strony. Na niebie ukazywały się lekkie chmurki, a choć było spokojnie, to przecież od zachodu dął powiew wiatru, który mógł sprowadzić chmury. Po upale dziennym trzeba się było spodziewać burzy, bo powietrze w tej nawet wysokości, zazwyczaj czyste i lekkie miało w sobie coś dusznego, tak że ptaka trudno było zoczyć, milczenie zalegało góry. Po krótkim spoczynku zerwał się Rudi i pobiegł jeszcze wyżej na skały. Upłynęły znowu dwie godziny zanim spotkał zwiérzynę. Z przezornością i zręcznością na jaką się góral zdobyć może, wdarł się aż na najwyższe pastwiska; czepiając się skał obszedł miejsce na którym staje zazwyczaj czata i wdrapawszy się między rozpadliny, ujrzał kozę. Strzał był trudny, ale nie niepodobny; z resztą nie miał czasu do stracenia, bo słońce schylało się ku zachodowi. Nie bał się, już rękę miał pewną, oko widziało jasno, wymierzył celnie, przycisnął, grzmot rozszedł się i zwiérze padło. Jak strzała umknęła trzoda po śniegu, Rudi zaś powoli zeszedł po skałach aż na miejsce, gdzie leżała ubita zwiérzyna, wziął ją, związał nogi i zarzuciwszy na barki niósł ku domowi.

## 4.

Był téż już wielki czas do powrotu, bo chmury zebrały się na zachodzie i czarna burza groziła. Jeszcze Rudi nie doszedł na miejsce, gdzie rano chciał wystrzelić, kiedy z daleka posłyszał głuchy łoskot grzmotu odbijający się od skał i rozlegający się po dolinach. Słońce zapadło za ciemne zasłony chmur i ich brzegi majestatycznie ozłociło. Ciemny, szeroki cień padał na skaliste ściany i całą ich pochyłość zakrywał. Rudi przyspieszał kroku, bo wiedział jakie grozi niebezpieczeństwo temu, kogo w tych przepaściach burza zastanie. Lecz im więcej się spieszył, tém trudniejsze nasuwały się przeszkody przy zstępowaniu z gór, a zabite zwierze ciążyło mu na plecach.

Po godzinie drogi, zbliżał się nareszcie w te strony gdzie się z bratem pożegnał, ale gęste krople już padać zaczęły i gwałtowny wiatr zerwał się. Coraz ciemniej się stawało, chmury zbierały się tuż nad skałami, łoskot piorunów łączył się w nieustannym grzmocie, a czerwone błyskawice przebijały przez gęste i czarne morze mgły. Tu niebezpieczeństwo było największe, bo ścieżka szła tuż nad przepaścią, a wiatr dął tak gwałtownie, że ciężko było utrzymać się. Naraz jakby się rozwarły wszystkie bramy niebios, lunął dészcz nawalny pomieszany z gradem. „Jeśli w ciągu kilku minut nie dojdę, myślał sobie, do wsi, zginę nieochybnie, bo ze szczelin skalistych zwałą się rwiące potoki, a z niemi toczyć się będą jak zazwyczaj



ogromne kamienie, które mię jednym rzutem daleko w przepaść poniosą.“ Niewiele więc miał do stracenia, ważył się na najśmielsze skoki, suwał po chwiejących się kamieniach z niewypowiedzianą zręcznością, aż nakoniec wysiłony, dostawszy się na bezpieczne miejsce, upadł na ziemię jak martwy.

Dusza jego była dziwnie wzruszona; nie wiedział czyli ma dziękować Bogu, że się nim tak widocznie opiekował i z oczywistej zguby ocalił, czy też na to tylko został wyratowany, aby wlec dalsze życie w najstraszniejszych boleściach. Jednakże przez całą drogę jakiś tajemniczy głos naglił go do pośpiechu, a dopióro teraz pojmował, że ten pośpiech ocalił mu życie. Miał więc Elsi jeszcze raz obaczyć, pożegnać się z nią na zawsze, a potem, — potem chciał umrzeć.

Tymczasem burza nieustawała i Rudi musiał się spieszyć, aby przed zmrokiem zupełnym dojść do domu. W godzinę był już u siebie. Z ciężarem na sercu zbliżał się do mieszkania, bo myślał że tam już zastanie brata ze zdobyczą. Po cichu otworzył bramę, w sieni złożył strzelbę i kozę, i bez żadnych oznak myśliwych wszedł do izby. Zdziwił się nie zastawszy w niej Walthego. „Pewno“, rzekł z cicha do siebie, „poszedł już do Elsi i złożył jój swój tryumf, o bodajbym mógł umrzeć tej nocy.“ Stroskany padł na krzesło ojcowskie i wlepił oczy przed siebie. Na dworze burza trwała ciągle, zapadła noc, a jasne promienie piorunów oświecały obłoki

i okolicę. Już była dziesiąta, a Waltego nie było widać. „Nie mogą się z sobą rozłączyć“, pomyślał i westchnął głęboko.

Lecz na wieży zamkowej wybiła i jedynasta, Walti nie nadchodził a Rudi samotności swojej znieść nie mógł. „To już za wiele!“ krzyknął i zerwawszy się pobiegł spiesznie do mieszkania Elsi, chcąc ujrzeć czy się tam jeszcze świeci. Z daleka ujrzął słabe światło, kierował się więc ku niemu prosto, kiedy mu zaszedł drogę jakiś człowiek.

„Czy to ty jesteś Walti?“ zapytał Rudi.

„Jesteście przecie!“ odpowiedział głos, a był to głos ojca Elsi — „lękałem się o was, już trzy razy wyszedłem z domu, wiedziałem, że jeżeli was burza zaskoczyła w skałach, nie potraficie się wyratować, a w domu nie widziałem u was światła.“

„Jako, Waltego niéma u was?“ zapytał Rudi z zdziwieniem.

„Niéma go, nie był dotąd,“ odpowiedział sąsiad.

„Daj Boże, aby znalazł gdzie schronienie, bo i w domu go niéma,“ zawołał z przerażeniem Rudi, zapominając przez chwilę, że godzina szczęścia dla niego wybiła.

„Musiał się schronić w jakimś szałasie,“ odparł stary, „a jakżeż czy strzelałeś?“

Gwiazda szczęścia błysła w oczach Rudemu jako błyskawica. „Tak jest,“ wyrzekł pospiesznie — „zabiłem“; ale nagle zamarł mu głos w piersiach, bo mu przyszła myśl o Waltim, i wspomniawszy sobie własny ból i z niego wnosił, jak ciężką musiała być boleść brata.

„Zabiłem wprawdzie kozła“, dodał z wolna, „ale nie mówmy o tém do jutra, aż Walti wróci. Czy Elsi jeszcze nie śpi?“

„Przędzie na kołowrocie i milczy“, odrzeknie stary, „prawie słowa jednego nie powiedziała.“

„Pozdrówcie ją odemnie serdecznie“, rzecze Rudi „i kaźcie jój położyć się aby nie zachorowała. Dobra noc ojczy.“

## 5.

Obaj włościanie powrócili do siebie. Rudemu na sercu tysiące trosk ciężało, trwoga o brata odejmowała mu sen. Znał on okropności burzy i wiedział jak ciężka jest rzecz, kiedy ona człowieka napadnie. Tego tylko nie mógł pojąć, że Walti zaraz po pierwszym strzale nie wrócił. „Przecież to on najpierwszy strzelec w okolicy, nie chybia nigdy, wcześniej nie strzela, przecież to on mię zaprawiał do tego niebezpiecznego polowania. Cóż go więc mogło spotkać, z resztą drugi raz nie strzelił, przynajmniej nie słyshałem strzału, a dotąd nie wraca, co to jest!“ Nie mógł się więc zdecydować pójść do łóżka i całą noc przepędził w krześle.

Atoli całodzienne wysilenia i tylokrotne wyężenie umysłu pozbawiły go sił, że od czasu do czasu napadała go drzémka, z której go budził grzmot piorunu. — Już



i dzień zaświtał a niebo nie chciało się rozjaśnić, gęsty dészcz padał ciągle i góry utonęły w nieprzejrzanym mgłach. Rudi poszedł do sąsiada, powiedział mu że brata niéma i zapytał co ma robić. Stary kazał mu czekać kilka godzin, bo brat zapewne nadejdzie lada chwila, skoro go noc zatrzymała w jakimś szałasie. „Jeżeli nie wróci, to pójdziemy obadwa w góry i tam zapytamy.“

Tymczasem wybiła 8<sup>ma</sup> godzina, Walti nie nadchodził i dészcz nie ustawał. Wtedy już Rudi dłużej wytrzymać nie mógł; nie mówiąc słowa z Elsi, której nawet uniikał, wywołał jój ojca z chaty i poszli obaj w góry. Tam rozdzielili się, z osobna zwiedzili wszystkie szałas, pytali wszystkich pasterzy i górali, ale żaden z nich nie widział Waltego. Ciężka niespokojność opanowała go o brata. „O Boże!“ krzyknął, „jeżeli go burza napadła w skałach, a on dość wczesnie nie trafił do jaskini — wtedy niewiem, lękam się wszystkiego. Ale zawsze nie rozumiem dla czego tak długo zwlekał z powrotem.“

Zeszli się więc napowrót i postanowili śledzić w górach, tam gdzie Walti polował i prosili kilku pasterzy aby im towarzyszyli w drodze. Pasterze jednozgodnie odpowiedzieli, że w takiej porze niepodobna coś przedsiębrać, co najwięcej, chyba dawać sygnały. Zdjęli więc strzelby z pleców i wystrzelili raz trzy razy, a strzały głośno po raz w górach zagrzmiały. „Te strzały, pomyślał Rudi, dojdą nie wiem gdzie, jeżeli on jest istotnie w niebezpieczeństwie, to nam odpowie.“

Czekali czas niejaki, lecz nic nie przerwało milczenia. Tylko dészcz pluskał i woda górską potokami się ze skał waliła. „Mnie się zdaje, że tu niéma nikogo,“ zawołał pasterz, „ale próbujcie jeszcze raz.“ Wystrzelono więc znowu i to mocniej — żadnej odpowiedzi! Podobnież i trzecią razą. „Już teraz mogę wam zaręczyć,“ dodał, „że w górach niéma żywej duszy, bo niepodobna, żeby tak długo zwlekał odpowiedź. — Komu grozi niebezpieczeństwo, ten strzał myśliwego uważa za hasło pomocy i odpowiada zaraz; dziecko by zrozumiało takie sygnały jak nasze, a nie dopiéroż taki myśliwy jak Walti. Powiadam wam, że go tu z pewnością niéma.“

„Lecz,“ odrzeczł drugi, „jeżeli mu proch zamokł albo strzelba?“

„Tego nie przypuszczam,“ odpowie pierwszy, „o tém strzelec nie zapomina nigdy, bo wie, że to jest jego jedyny środek ratunku.“

„Może téż,“ przemówił Rudi, „nie słyszy nas — kto wie czyli strzał nie ginie po drugiej stronie góry w dészczu, albo téż czy Walti nie zabłąkał się właśnie w strony potoku, który teraz grzmotem swoim wszystko musi zagłuszać. Słuchajcie mnie przyjaciele, pójdźmy trochę dalej.“

„Dalej, w tę stronę, i na taką porę — czyś rozum stracił Rudi? Puszczając się w skały, gdzie droga jest właśnie najniebezpieczniejszą. Piędziesięciu kroków nie ujdiesz, a porwie cię błędny strumień, jeżeli piérwój wichur nie popchnie cię w przepaść.“

Rudi przekonał się, że doświadczony góral miał rację, ale mimo to postanowił próbować. „Znaczny kawał choć z niebezpieczeństwem można ujsć jeszcze,“ zawołał, „dopóki więc zajsć można, dotąd pójdę. Kto idzie ze mną?“

Oprócz ojca Elsi, znalazł się jeszcze młody pasterz, który był tyle odważny, że się zerwał na podobną przeprawę. Wszysey trzej wzięli strzelby i ruszyli naprzód. Atoli słowa górala sprawdziły się. Nie uszli kwandransa drogi, kiedy spotkali potok, przez który przebrnąć nie było podobna. Przez drugi kwandrans szukali przeprawy, ale i to na próżno. Musieli więc zaniechać zamiaru. Lecz że już byli w górach o jakie tysiąc kroków od szałasów, wystrzelili znowu trzy razy na które żadnej nie usłyszeli odpowiedzi. Nie sprawiwszy więc nic musieli wrócić, i postanowili czekać dopóki dészcz nie przestanie, bo wtedy potoki w kilka godzin zupełnie spływają.

Rudi ażeby być w pobliżu pozostał w szałasie, stary zaś jego sąsiad wrócił do córki, bo nie chciał zostawiać Elsi tak długo, bez pociechy i wiadomości. Tymczasem w szałasie rozłożono ogień, pasterze przemokli do koszuli, wysuszyli przy nim odzienie i rozpoczęli zwykłe zatrudnienie, w którym im młody wieśniak gorliwie dopomagał.

Dészcz nie ustawał, ale owszem padał coraz rzęsiwszy, a że był ciepły, musiał więc śniegi stopić, przez co zapewne w górach ogromne potworzyły się zalęwy. Do-



piéro około zachodu słońca, chmury poczęły się rozdziierać i kilka promieni słonecznych zajaśniało. Wszakże nadchodząca noc stawała na przeszkodzie, a że obłoki coraz bardziej ustępowały i gwiazdy poczynaly świecić, wróżono więc pogodę na jutro.

W rzeczy samej ranek był jasny, zaraz więc pasterze z Rudim wyruszyli w drogę. Lecz rwiące potoki nie uskromiły się dotąd, massa dęszczu i roztopionego śniegu była za wielka, tak że dopiéro za kilka godzin można sobie było obiecywać ustąpienie zalewów.

Tymczasem koło południa słońce doskwierało mocno, trzeba było się obawiać nowój burzy, i w rzeczy samej, zanim ślady pierwszej zniknęły, usłyszano już grzmoty drugiej i chmury powlokły widnokrąg. Z taką samą wściekłością jak pierwój zaryczała w górach burza, zerwały się chmury, a błyskawice krzyżowały się po całym niebie. Nie było podobna myśleć o poszukiwaniach, zwłaszcza że po burzy dęszcz nastął jeszcze ulewniejszy niż pierwszą razą.

## 6.

Przez trzy dni trwała niepogoda; wprawdzie bywały chwile, że ulewa ustawała, lecz niebo nie chciało się wyjaśnić. Rudi nie opuszczał szafasów i cały ten czas przepędził w największej trwodze i boleści, bo gorąco kochał

brata. Kiedy nakoniec szóstego dnia słońce zajaśniało i zadał wschodni wiatr, wysuszając wilgoć, zapłakał nieszczęśliwy Rudi, bo wiedział, że pięknego słońca już brat jego nie ogląda. Nic mu więc nie pozostawało jak wyszukać zwłoków nieszczęśliwego, a górale poczytują to sobie za najświętszy obowiązek wiedząc, że ta usługa jest pociechą dla pozostałych po zmarłym i usilnie starają się o to, aby ciało zmarłego wydobyć z przepaści i uczcić chrześcijańskim pogrzebem. W tym celu zebrało się 30 górali, a na czele smutnej wyprawy stanęli Rudi i ojciec Elsi. Udali się ścieszką, którą poszedł Walti, wprawdzie później droga stawała się nie pewną, ale w ogólności znano okolicę, w której polował. Rozdzielili się ludzie i w trzech miejscach szukali starannie, umówiwszy się pierwój, że skoro jedni znajdą jaki ślad, drugich natychmiast strzałem uwiadomią i zbiorą się wszyscy przy potoku pod wielkim kamieniem, gdzie się mieli zejść Rudi z Waltim.

Przez cały dzień z niewypowiedzianą gorliwością szukali górale, a gdy się koło wieczora znaleźli w umówioném miejscu, pokazało się że żaden z nich nie spotkał nic takiego, coby mogło służyć za ślad jakowy po zmarłym. Na zajutrz szukano znowu dzień cały, lecz i tą razą na próżno; trzeciego dnia Rudi wziął podwójną ilość ludzi, szukał po najwyższych szczytach, gdzie tylko stopa ludzka dojść mogła, zapuszczał się w najniższe głąbinie, śledził koło jeziora, spuszczał się w przepaście patrząc azali brat jego nie stoczył się i gdzie na skale nie zawisł, lecz nadaremno —

Walti zniknął i z przyciśnioném sercem Rudi musiał wrócić do domu.

Dopiero wtedy ujrzał on Elsi po raz pierwszy od czasu rozstania się z bratem. Wyszła do niego z wesołym obliczem, lecz niewiedziała co mówić, ani też Rudi nie znalazł słowa, któreby gwałtowne wzruszenie jego serca mogły oddać. Siedzieli obok siebie długo i milczeli, nakoniec Rudi przerwał milczenie.

„Ktoby to pomyślał Elsi że ja ciebie tak obaczę? Ach gdybym przypuścił, że takie miało być rozwiązanie naszego zakładu, wolałbym się raczej rzucić do jeziora, aniżeli przystać na projekt Waltego. Jakże okropną musiała być jego śmierć!“

„Bóg czuwał nad nim w ostatniej godzinie,“ odrzekła Elsi, „i powołał go do swojej chwały, aby go obdarzyć nagrodą którą przyobiecał. Miał on serce poczciwe, był on...“ tutaj gorzkie łzy stłumiły jej mowę i ani słowa więcej powiedzieć nie mogła. Rudi zapłakał także serdecznie, bo wspomniawszy sobie na brata, który był prawym człowiekiem, a w gorącym jego sercu nigdy kłamstwo nie powstało.

Chwilę milczenia przerwała znowu Elsi. „Jakżeż wiele ja mu mam zawdzięczyć! Kiedym w górach się potknęła i spadła, a nikogo niebyło w pobliżu, całą noc musiałabym przepędzić wśród skał, i może tam zginąć — gdyby nie on mój wybawiciel. Niczyje oko na mnie nie patrzyło tylko jego, kiedy się wpinał po szczytach i ujrzawszy mnie spadającą czém prędkiej pośpieszył. Każde jego słowo



było dla mnie balsamem, bo każde wychodziło z pocziwéj duszy. Będę się za niego modliła, niech mu to p. Bóg odpłaci.“

„Módlmy się razem“, rzecze ojciec — i tak myśląc o zmarłym siedzieli w głębokiém zadumaniu.

## 7.

Tymczasem upływały tygodnie i miesiące, jesień przyszła i przeszła, trzody spędzono w doliny, wróciła smutna ponura zima, a w serce Rudego i przyjaciół nie wrócił spokój. Z wiosną zieloność pokryła góry, śnieg topniał na skałach i w bystrych potokach i grzmiących lawinach staczał się w doliny. Alpy odżyły na nowo; pasterze ruszyli w góry, rozwarły się szałaszy i wesołość szerokiém echem zabrzmiała. Rudi nie mógł przyjść do siebie z ciężkiego strapienia, nawet gospodarstwo jego zamożne poszło w nieporządek. Nie zachodził nawet do Elsi, po drodze omijał dziewczęta i wesołych parobeczków i zawsze widziano go tylko w górach, jak błąkał się wśród bezdrożów lub strzegł pasącój się trzody.

Kiedy i wyższe szczyty stały się dostępnymi, Rudi ze strzelbą na plecach przepędzał tam dnie całe; najulubieńsza była mu droga w tę stronę, gdzie się razem z bratem udali; wybierał ścieżkę swego brata myśląc sobie, że i on kiedyś

nią więcéj nie wróci. Wszakże pewnego razu udając się tą ściészką, odkrył nową drożynę i postanowił iść nią daléj dopóki można; ona pięła się nad brzegiem przepaści coraz wyżej, prawie prostopadle do ziemi; lecz Rudi, choć wiedział że powrót będzie bardzo niebezpieczny, wdrapał się na nią śmiało i wszedłszy na skałę, odpoczął. Tutaj spojrział do koła, a choć widział trudną przeprawę, zapomniał nawet o niéj, skoro mu na szczycie wpadła w oko koza stojąca na czacie; tu więc musi być pastwisko, którego on dotąd nie znał, ale ono schodzi się zapewne z inną górą, przez którą powrót bez wątpienia będzie łatwiejszy.

Zdawało mu się łatwiej spać się na wyżyne, niżeli powrócić tą samą drogą, pełzał się więc na czworakach nie spuszczać z oka zwiérzyny, którą miał nadzieję ubić. Już wdrapywał się na szczyt, kiedy kamień zachwiał się pod jego nogami i szybko ręką uchwycił jakiś krzak ciernisty, drugą uczepił się skały, a tymczasem z pod nóg jego usunęły się kamienie i pędząc w szalonych poskokach zwały się w przepaść.

Trzymając się oburącz, wisiał tak nad przepaścią, zimny dreszcz przejął jego członki; wszakże nie stracił przytomności, nogami szukał jakiej podpory, aż znalazłszy ją, wyprężył się i jednym susem stanął na szczycie, gdzie kilka stóp miał wolnych i bezpiecznych.

Lecz któż opisze jego zdumienie, kiedy na skale ujrzał torbę myśliwską i strzelbę, którą od pierwszego razu poznał, że była Waltego. „O mój Boże! więc złął on się

zwalif!“ wykrzyknął i nagle zaciemniło mu się w oczach, zakręciło w głowie tak, że czémprędzej chwycił się skały aby w przepaść nie runąć.

Po kilku minutach wrócił do przytomności; nie bez wzruszenia wziął w rękę torbę i szukał w niej, czyli czego nie znajdzie, coby mu mogło wytłómaczyć los nieszczęśliwego brata.

W torbie był nóż myśliwski, róg z prochem, ołów i postronek, którym się zazwyczaj przywiązuje kozę, ale więcej nic. Popatrzył w strzelbę, wprawdzie mocno zardzewiała, ale widać było z niej wystrzelono, nawet kurek był spuszczone. Ztąd to pomyślał sobie strzelił mój brat i może ta sama trzoda, która się dziś tutaj pasie, stała się przyczyną jego śmierci. Spojrzał więc w górę za zwiérzyną, i zdało mu się dostrzedz, że coś białego się rusza; w rzeczy samej wiatr powiewał białą chustką a ta okoliczność wyjaśniła mu wszystko. „Ztąd strzelił, trafił, i chciał iść po zwiérzynę, co było powodem, że złożył strzelbę i torbę, aby tym łatwiej się wdrapać, lecz mu się nie powiodło, bo nie znalazł drogi.

Wywieszona chustka była sygnałem, którym się domagał pomocy i tutaj na dole pozostawił strzelbę, nie mógł więc na nasze sygnały odpowiedzieć. Te okoliczności wyjaśniły mu wszelką wątpliwość, i wypędziły podejrzenie, które się już kilka razy nasunęło, że Walti sam sobie życie odebrał. Stał więc przez chwilę niepewny co ma robić, ale chęć przekonania się przemogła. Wprawdzie



brat jego na tém miejscu znalazł śmierć, lecz coś mu w duszy mówiło, że od tego kroku zależeć będzie związek jego z Elsi.

## 8.

Z największą odwagą przedsięwziął Rudi tę niebezpieczną podróż. Naprzód strzelił on do kozy, ale umyślnie chybił dla przekonania się którędy ona uciecze. Skrzyła się w ścianie granitowej. Była więc rzecz widoczna, że uciekła przez rozpadlinę skały. Wówczas z torby swego brata wyjął nóż, postronek i proch jeszcze dobry i strzelbę jego przywiązał do swój torby tak, że mu zawadzać nie mogła i poszedł naprzód.

Ścieżka w rzeczy samej była niebezpieczniejszą niż się zdawało; kamienie leżały jako zsypane rumowisko, tak że prawie nigdzie z pewnością stąpić niebyło można, zkad wniósł że tędy o powrocie myśleć niepodobna. Ale nie stracił odwagi i wdrapywał się ciągle, chociaż im wyżej wstępował tym coraz straszniej było. Tu znowu przyszło mu na myśl, że jeśli brat jego mógł się tutaj w górę wdrapywać, to chyba w tej nadziei, że znajdzie inną drogę, widać, że jej nie znalazł. Ale już wracać się było za późno, — nawet obejrzyć się Rudi nie śmiał, bo pomimo wprawnego oka widok okropnej otchłani, tuż pod nogami, odjąłby odwagę najodważniejszemu.

Jeszcze chwila a cel był dopięty. Chustka powiewała mu nad głową, nadzieja cudowną jakąś mocą napełniła jego serce, wspinał się niemal po prostopadłej skale, nareszcie ręką schwycił się o szczyt i zręcznie podskoczywszy był już na nim. Naprzód spojrział na chustkę, była Waltego, ale gdzie on sam? Ścieszka nie prowadziła nigdzie dalej, skała wnosiła się prosto, aż pod niebiosa, tylko w skale widać było szczelinę, przez którą człowiek mógł się przecisnąć. Poszedł więc w tamtą stronę, kiedy nogą potrącił o coś. To było ciało Waltego! Nie tylko suknie się zostały, ale ostre i świeże powietrze gór dochowało nietykalnie rysów twarzy. Zapominając o własnem niebezpieczeństwie patrzył się na zwłoki i ze łzami w oczach przyglądał się cierpieniu, które na twarzy Waltego zastygło. Wtedy rzut oka na przepaść przypomniał mu jego własny los, zadrzał, bo się przekonał, że chyba cud go ztąd ocali. Mimo to szedł naprzód; znowu krok dalej i napotkał zabitego kozła, który był nietknięty; widać więc, że Walti nie umarł z głodu, ale z nadzwyczajnego wysilenia upadł i odurzony powietrzem usnął na wieki. Rudi pełzał dalej przez szczelinę, która tak się zwężyła że wprawdzie człowiek mógł się wyratować, ale koza nigdy. Lecz pomyślał sobie: „Jakżeż łatwo byłby się mógł Walti ocalić!“ — i nożem wyrobiwszy w skale dziurę nasypał ją prochem, a przyłożywszy sznurek załtany usunął się w głąb. Za chwilę z strasznym trzaskiem wysadziła mina, a gdy dym i proch opadł, Rudi ujrzał, że

z łatwością mógł się precyzyjnie przycisnąć przez otwór. Po bezpiecznej ścieżce z drugiej strony zeszedł do szafasów, gdzie był także szafas ojca Elsi. Już z daleka ujrzał on ją i podwoił kroku. Z początku niemógł słowa powiedzieć, ale później opisawszy cały wypadek, z płaczem rzucił się przed nią na kolana. Przystąpił ojciec i pobłogosławił związek, który życzył sobie zawrzeć z serca.

Nazajutrz Rudi z wieloma mieszkańcami udał się w góry i sprowadził zwłoki Waltego, a we dwa miesiące później sakrament małżeński połączył go z Elsi.





Czcionkami C. H. Storcha i Spółki w Wrocławiu.

# Nowy Katalog Książek Polskich

nakładem

## Zygmunta Schlettera

w Wrocławiu.

- Atlas historyczny do dziejów Polskich przez Lelewela. 1845. 15 Gr.
- Brettner, A., wykład fizyki. 1846. 1 Tal. 10 Gr.
- wykład rachunków praktycznych szczególnie dla klas niższych szkół gimnazjalnych. Z niemieckiego na polskie przełożony przez W. Milewskiego. 1846. 12½ Gr.
- Dzieje Polski przez Lelewela. Wydanie szóste z mappami. 1849. 8. 1 Tal. 22½ Gr.
- Gawiński, nowe kazania passyonalne, przygodne i pogrzebowe. Wydanie drugie. 1845. 8. 1 Tal. 7½ Gr.
- Korzeniowski, M., pisarz listów powszechny. 1849. 1 Tal. 10 Gr.
- Marja. Powieść Ukraińska przez Antoniego Malczewskiego. 1851. 10 Gr. opraw. 16 Gr.
- Nodier, nouveau théâtre français, à l'usage de la jeunesse, ou collection choisie des pièces les plus intéressantes des auteurs modernes. Edition en un volume. relié. 1846. 12. 25 Gr.
- Nowy Sowizrał figlarz jakich mało. z 8 rycinami 1847. 8. 15 Gr.
- Nowy słownik podręczny języka polskiego i francuzkiego przez Piotra Dahlmann. 2 tomy. 1846. 1 Tal. 25 Gr.
- Obrazy wieku dziecinnego. Zbiór powieści dla dzieci od 6ciu do 9ciu lat przez Bronisławę Kamińską. z 4 obraz. opraw. 1850. 2 Tal.

- Powieści i pisma humorystyczne Fryd. Hr. Skarbka. 7 tom. 1840. 1  
7 Ta
- Polsko-niemiecki i Niemiecko-Polski Słownik kieszonkowy przez X.  
F. Łukaszewskiego i A. Mosbacha. Czwarte wydanie stereotypow  
1850. 1 Tal. 10 G
- Radziwiła, Mikołaja Krzystofa, pielgrzymka do ziemi świętej. 1847.  
1 Tal. 15 G
- Szafarzyka słowiański Narodopis przełożył Dahlmann. 1843.  
1 Tal. 10 G
- Tańska-Hofmanowa, nowa biblioteczka poświęcona dzieciom i młodym  
panienkom. 5 tom. 1843. 12. wydanie drugie. 3 Ta
- Życie świętej Elżbiety. 1838. 12. 25 G
- Wieczory Jesienne. Powiastki moralne dla Młodzieży przez Tomasz  
z Kęt. I cztery powiastki przez Panią Tańską-Hofmanową, z 4 obraz  
opraw. 1849. 1 Tal. 5 G



128

3

11565